

# KUŹNICA

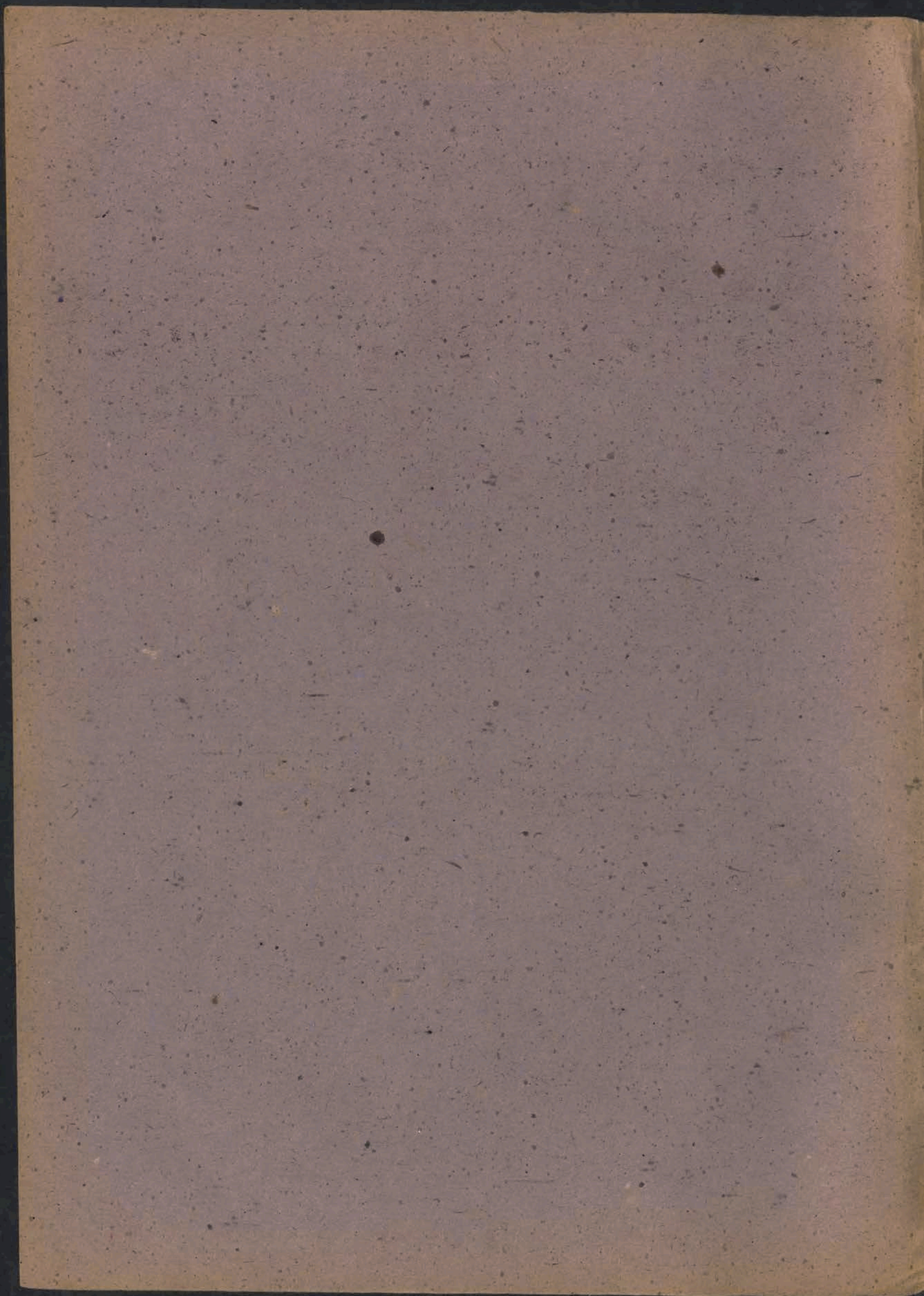
## PISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

### TRESC NUMERU

Cień Eligiusza Niewiadowskiego ■ B. Dobrowolski — Uniwersytety i instytuty ■ L. Krzywicki — Fragment z pamiętnika ■ A. Ostrowski — Hugo Kollątay ■ Z. Nałkowska — Nowe żądania ■ J. Borejsza — Nieurojona suwerenność ■ Z. Libera — Antysemityzm ■ K. Wyka — Po dwóch wojnach ■ A. Rudnicki — Kartka znaleziona pod murem straceń ■ M. Jastrun — Pieśń Jarosławny — Wojna w stepie — Fragment odnaleziony — Zwycięstwo ■ T. Breza — Mury Jerycha ■ W. Rymkiewicz — To nic ■ P. Hertz — Proust — Dialektyka ■ B. Pasternak — O Szopenie ■ St. Pięta — Nagle odwiedzi ■ St. Żółkiewski — Miejsce na ziemi ■ B. Dudziński — Polityka prasowa hitlerizmu podczas okupacji ■ H. Szipper — O stratach wśród polonistów ■ 1 września ■ Umarł Stefan Jaracz ■ Kronika zagraniczna ■ Książki nadesłane ■ Wydawnictwa „Czytelnika” ■ Zjazd literatów w Krakowie.

**CENA 10 ZŁ.**







# KUŹNICA

PISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

## CIEŃ ELIGIUSZA NIEWIADOMSKIEGO

W Łodzi polata się krew polska. Dnia 8 sierpnia zamordowano działaczy robotniczych Piotra i Michalinę Zakrzewskich. Tegoż dnia w powiecie sokołowskim zamordowano 10 oficerów i żołnierzy wojska polskiego. A w trzy dni potem w Krakowie polata się krew żydowska: dnia 11 sierpnia r.b. gromada uliczników obrzuciła kamieniami synagogę, w mieście zdemolowano szereg mieszkań żydowskich, zabito od kuli rewolwerowej Zofię Berger, która dopiero co powróciła z obozu hitlerowskiego. Ta sama ręka kierowała zabójstwem Polaków i Żydów.

Czy aby tego nie za dużo?

Zapytujemy Ministra Sprawiedliwości obywatela Świątkowskiego i Ministra Bezpieczeństwa Publicznego obywatela Radkiewicza czy zabrakło sznura i belki aby oderwały się od naszej ziemi ciała tych, których włóczy po kraju duch Adolfa Hitlera? Bo 150 lat temu lud Warszawy nie mogąc doczekać się sprawiedliwości sam ją wymierzył. Dziś chyba wyręczy robotników, zajętych żmudną pracą odbudowy — ręka sprawiedliwości demokratycznego Państwa.

Zapytujemy Ministra Administracji Publicznej obywatela Kiernika, czy nie sądzi przypadkiem, że za wiele już natłoczyło się do aparatu państwowego elementów nic wspólnego z demokracją nie mających? Albowiem jeśli sobie obywatel Minister przypomina — przed laty bezbronny lud Krakowa, nie obawiając się ani granatowej policji, ani groźnych sądów doraźnych stawiał czoło wsteczniectwu. Dziś mając swoje wojsko, swoją milicję i administrację, ma dane aby dokonać obrachunku ze swymi zbyt powolnymi wobec zbrodniczej reakcji urzędnikami.

I zapytujemy Ministra Oświaty ob. Wycecha, czy te groźne objawy wśród młodzieży nie nasuwają Mu niepokojącej myśli, że nie wystarczy *post factum* potępić zbrodniarzy, a że należy *ante factum* oczyścić wyższe uczelnie z reakcji. Możeby obywatel Minister zechciał wejść w analizę przebiegu i motywów tego, co dzieje się na Uniwersytecie Jagiellońskim i zapobiec nieopatrzny wpływom niektórych profesorów?

Bo tego już jest naprawę za dużo.

Nie mamy podstaw ani powodów ustępować na krok tym szczerom i nietoperzom mroków hitlerowskich, którzy pragną wyjść na światło dzienne i ogrzewać się w ciepłe snobizujących pseudo-demokratów, liberalizujących mięczaków — a co gorsza swoich wysłanników walenrodzujących w naszym obozie. Rząd Jedności Narodowej nie może oznaczać amnestii dla wsteczniectwa. A skoro domagamy się postawienia przed naszym

sądem Franka, to chyba nie po to aby tolerować wyczyny zbójckie domorosłych francząt i franczątek.

Należy jasno i otwarcie powiedzieć — nad Polską zawisł cień Eligiusza Niewiadomskiego.

Naonczas, kiedy padł pierwszy strzał zdawałoby się odosobnionego mordercy — starano się uspić czujność demokratów, że to przecież odosobniony wypadek. Ale po czynie Niewiadomskiego poprzez krwawe wypadki krakowskie zjawily się pierwsze próby, a potem już znaczne wyczyny hitleryzmu polskiego: Chjenopiast łączący wsteczne siły na wsi i w mieście. Jeśli ktoś zapomniat, czym był Chjenopiast w Polsce, gotowi jesteśmy przypomnieć i to ze szczegółami, które może będą przykre dla ucha niektórych noworodków demokratycznych. Chjenopiast skompromitował się szybko w oczach mas; jemu w sukurs przybyła sanacja, łudzac naród z początku frazesem pseudolewicowym, by po tym urzeczywistnić wszystkie postulaty Chjenopiasta. Ozon był kontynuacją i urzeczywistnieniem programu Chjenopiasta, był jego nieślubnym dzieckiem, wypierającym się wobec narodu swego ojca.

Z kolei sanacja zbankrutowała w oczach narodu. Dziś sanatorzy wypierają się sanacji. Skupiając ogień demokracji jedynie i wyłącznie na sanacji — zapominamy częstokroć o jej nieodrodnym krewniaku, gromadzącym siły wsteczniectwa. Jeśli się komukolwiek przyśniło, że pod maską walki z sanacją można zagłować na wolnym wietrze ku przystani Chjenopiasta, jeśli ktokolwiek marzy o tym, aby dokonać restitutio in integrum stanu sprzed 1926 roku, idzie po niebezpiecznej drodze. A jeśli Chjenopiast jeszcze nie istnieje, to musimy sygnalizować tendencje ku jego restytucji.

Dziś wsteczniectwo w Polsce ma poparcie tego motochu zdeklasowanej, szabrowniczej i spekulancckiej warstwy, którą w spuściznę pozostawił nam hitleryzm. I z tych szumowin narastał, pęczniał, i wyrastał zawsze faszyzm. Horst Wessel i Eligiusz Niewiadomski — to symbole wykołajeńców, a potem ideologów reakcji. Z tego samego klimatu wyrastają mordercy z Krakowa, Łodzi czy powiatu sokołowskiego. I nie pomniejszamy tej groźby, jaka kryje się w wypadkach krakowskich, nie-tolerujemy „ideologii faszyzmu”.

Ale dziś nasz obóz, wyrosły z Manifestu Lipcowego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, z pracy i trudu Tymczasowego Rządu, którego kontynuatorem jest i będzie Rząd Jedności Narodowej jako nierozłączna całość — stanowi egzekutywę tej siły, wielkiej i niezachwianej, jaką jest po raz pierwszy w dziejach naszego narodu demokracja polska. Poprzez upaństwowienie węzłowych gałęzi naszego przemysłu, poprzez reformę



rolną, poprzez nadanie realnych praw politycznych i społecznych proletariatu miasta i ludowi wsi, zdobywamy nienaruszalne podstawy postępu i rozwoju. Budźmy czujność tych, co na swych barkach niosą ciężar odbudowy Państwa. I budźmy czujność społeczeństwa. Żadne siły nie zmuszą nas, aby reprzywatyzować, oddawać ziemię obszarnikom i wielkie przedsiębiorstwa kapitałowi, nawet jeśli to odbywać się będzie pod protektoratem międzynarodowych potentatów kapitału finansowego.

**A. B. DOBROWOLSKI**

## UNIwersytety i Instytuty Naukowe jako Szkoła Badaczy Naukowych „Czystych” i Badaczy Naukowych „Praktycznych”

### UCZENI I AMATORZY

Jedną z kardynalnych własności nauki, wspólną innym sferom życia w epoce kapitalistycznej, obcą zaś dawnym drogom poznania, jak zresztą całemu dawnemu życiu, jest jej nieustanne „coraz”, będące odpowiednikiem w sferze poznawczej — tym samym technicznej — ówego „coraz” ekonomicznego, naczelnego hasła kapitalizmu, owych opętających stopniowo, kraj za krajem, całą ludzką nadziei nieograniczonego awansu życiowego, wyrosłych z odkrycia, pierwszy raz w dziejach, nieograniczonych rynków zbytu. To nieustanne „coraz” — „naprzód” jest tak ściśle związane z samą istotą nauki, że stanowi jakgdyby jej definicję: nauka, to „coraz”, to „naprzód”, to nieustanny przyrost poznawczy. To właśnie „coraz”, to właśnie „naprzód” stworzyło naukę jako niesamowitą — jakże udaną, jak wspaniałą — *hipertrofię naszej władzy poznawczej*, jak nigdy przed tym *uaktywnionej*, odpowiednio do niesłychanego w dziejach uaktywnienia dziedziny ekonomicznej, stąd zaś całego życia nowoczesnego. Ono to pochodowi nauki nadało postać istnej lawiny, odbijającej się w lawinowym charakterze jej tworów: techniki nowoczesnej.

I ono to również sprawia, że zawód badacza naukowego to właśnie *obowiązkowe posuwanie nauki naprzód*. Zawodowym więc badaczem naukowym — nie tylko amatorem — może być owocnie naprawdę jedynie człowiek nie tylko zdolny do wytrwałego, intensywnego na długą metę wysiłku umysłowego i do takiego wysiłku wytrenowany, ale prócz tego specjalnie uzdolniony do owego posuwania naprzód swęj nauki, zatem o więcej niż przeciętnych aktywnych zdolnościach poznawczych: odkrywczych i wynalazczych, nie zaś taki, który zdolny jest tylko do dziedzictwa danej nauki wchłonać i przyswoić. *Amatorami* zaś nauki — ludźmi oddającymi się nauce w chwilach wolnych od zajęć codziennych — może być bardzo wielki procent ludzi o zdolnościach przeciętnych, byleby z obudzonymi zainteresowaniami poznawczymi i wykształceniem na poziomie gimnazjalnym, nauka bowiem rozbudowuje się coraz szerzej, mnożą się dobudówki wciąż nowych specjalności, każdy więc może tu znaleźć dla siebie punkt odpowiedni swym zainteresowaniom, nie wymagający specjalnych uzdolnień. To samo oczywiście i powiedzieć należy o technice i sztuce. Z zaprowadzeniem *obowiązkowego gimnazjum powszechnego* — bodaj w dotychczasowej bardzo niedokończonej postaci, nie tylko udzieliłoby się zastęp wybitnych, twórczych mózgów, ale cała ludność, z wyjątkiem jednostek anormalnych, będzie mogła czynnie i bezpośrednio jako amatorzy, uczestniczyć w budowaniu gmachu nauki, techniki, sztuki, nie tylko odciąża-

I bez względu na to, czy rzecznikami nawrotu będą ludzie sanacji czy Chjenopiasta.

Kraków i Łódź — to wielkie napomnienie dla demokracji walczącej. Cień Eligiusza Niewiadomskiego zawisł nad krajem.

Caveant consules. I niech czuwa obóz walczącej demokracji.

Ani kroku wstecz. Za nami — przepaść faszyzmu.

Zespół „KUŹNICY”.

jąc bardzo wydatnie przodowników kultury, ale razem, masowym zespołem drobnych produkcji naukowych, technicznych, artystycznych, przyczyniając się w wysokim stopniu do kulturalnego postępu ludzkości, mogąc nawet tworzyć naprawdę wielkie dzieła.\*) To właśnie dopiero byłaby prawdziwa „demokratyzacja”, prawdziwa „popularyzacja” kultury.

Dla twórców nauki, dla zawodowych badaczy naukowych, niezbędne są ogniska twórczości naukowej zarówno jak ogniska nauczania — przygotowujący twórców naukowych. Od dawna oba te ogniska zespoliły się w *uniwersytetach*. Rutyna, bezwładność tradycji — podobnie jak w innych (trzeba to pamiętać) „nadbudówkach” duchowych ekonomii kapitalistycznej — sprawiła, że uniwersytety, w znacznej części jeszcze nawet w Ameryce, średniowieczne, nie zupełnie dokładnie są do tego zadania przystosowane, są one „za dużo” i „za mało”. Spełniają zadania z tym zadaniem mało mające wspólnego, zadania nie naukowe, nie służą — jakby powinny — jedynie temu zadaniu, a nie mają u siebie ognisk twórczości innej, z twórczością czysto naukową zgodnej i twórczość tę wspierającej. Tej właśnie sprawie głównie poświęcony jest niniejszy artykuł.

### NAUKI PRAKTYCZNE

Pod względem celu, nauki można podzielić na *czyste* i *praktyczne* — właśnie czyste nie zaś teoretyczne gdyż badania w celu praktycznym dążą wszak do stworzenia teorii danej praktyki — i *praktyczne*, nie zaś „stosowane”, gdyż nauki praktyczne, to — jak zobaczymy — nie tylko nauki stosowane; — z drugiej strony stosowanie bywa nie tylko praktyczne: wyniki nauk czystych są stosowane również do innych nauk czystych, np. prawa fizyki do geofizyki, do biologii.

Struktura nauk praktycznych musi być oczywiście zupełnie swoista. Oto podstawowe osobliwości nauk praktycznych:

Wszelka praktyka opiera się zawsze — bo opierać się musi — na jakiejś *wiedzy*, jest ona zawsze *stosowaniem* odnośnej wiedzy, która jest jej *uzasadnieniem*. Stosowanie polega na tym, że twierdzenia odnośnej wiedzy, mówiące o tym co i jak *jest*, rozpatrywane są z punktu widzenia celów danej praktyki i *zmieniane* na zdania o tym, co i jak *powinno być*, czyli z wiedzy i celów wyciąga się potrzebne *wskazania* — *szczegółowe, bezpośrednie* (rady, reguły, przepisy)

\*) Nawet już dziś — i nie od dziś dopiero — praca amatorów — owa „mała” nauka, „mała” technika, „mała” sztuka — gra pewną rolę w życiu wielkiej nauki, wielkiej techniki, wielkiej sztuki.



oraz ogólne, pośrednie (postulaty i zasady danej praktyki, projekty, pomysły, plany i programy).

Im dalej posunięta i skomplikowana jest praktyka, tym lepszej wiedzy i więcej wiedzy wymaga. Dziś coraz mniej wystarcza różnym praktykom wiedza praktyczna, płynąca z samych tych praktyk, z nagromadzonego i gromadzącego się stopniowo doświadczenia praktycznego; coraz częściej praktyka wymaga wiedzy płynącej z *systematycznych badań*: z badań naukowych — tam, gdzie się to da (głównie w praktykach natury materialnej) — w znaczeniu właściwym tego wyrazu, tam zaś, gdzie się to jeszcze nie da (głównie w praktykach dotyczących spraw ludzkich) — w znaczeniu badań przednaukowych, możliwie jednak zbliżonych do prawdziwie naukowych.

Wyniki, o które idzie w praktyce, tj. wyniki praktycznie stosowalne, dać jej mogą dwa zgoła różne a uzupełniające się wzajemnie rodzaje badań:

1) Stożące bliżej lub dalej od praktyki *badania czyste*, więc o wynikach nie zamawianych i tylko przypadkowo stosowanych — t. zw. nauki pomocnicze nauk praktycznych — i to zarówno badania natury ogólnej, od danej praktyki dalekie (np. w praktyce metalowej fizyka, fizykochemia, krytalografia ogólna, w wychowaniu psychologia ogólna i socjologia ogólna), jak i mniej lub więcej szczegółowe, danej praktyce bliższe (np. fizykochemia metali, psychologia i socjologia wieku dziecięcego i wieku młodzieńczego).

2) Stożące najbliżej praktyki *badania praktyczne*, t. zn. bezpośrednie badania tych wszelkich rzeczy, które daną praktykę bezpośrednio obchodzą, dokonywane z jej punktu widzenia, na jej zamówienie i często na poczekaniu, sposobami jakimi się da, tam gdzie można naukowymi, często jednak — zwłaszcza w sprawach ludzkich — zupełnie przednaukowymi (zawsze jednak jak najbardziej zbliżonymi do naukowych); praktyka nie może czekać aż odnośne nauki czyste zainteresują się jej kwestiami, lub aż w danej dziedzinie wyrobiją się metody badania prawdziwie naukowe. Te badania „praktyczne” naukowe i przednaukowe stanowią osobną naukę, którą praktyka tworzy u siebie dla siebie: *autonomiczną naukę praktyczną*.

I to wszystko razem, wraz z samym stosowaniem wyników, tj. przekształceniem ich na wskazania praktyczne, tworzy całość nauki dotyczącej danej praktyki: daną naukę praktyczną, o budowie — jak widzimy — dość różnorodnej i skomplikowanej, ale dającej się zupełnie wyraźnie określić.

Otóż ciekawym jest stosunek wartości tych dwóch zasadniczych składników wszelkiej nauki praktycznej do postępu praktyki. Autonomiczna nauka dotycząca danej praktyki — nauka zamawiana — jest konieczna ale niedostateczna. Jest ona dobra na codzień, ale naprawdę wielkie — często rewolucyjne — kroki w postępie praktyki nie zjawiają się na zamówienie: naprawdę wielkie owoce praktyczne spadają zawsze — choć nigdy nie wiadomo z góry jakie i kiedy — właśnie z odnośnych nauk czystych, niepraktycznych i — wbrew „zdrómemu rozsądkowi” krótkowzrocznych praktyków — tym większe, im odnośna nauka czysta jest ogólniejsza, czyli im dalej stoi od danej praktyki. Prawda ta wynika z samej istoty nauk czystych, zarówno jak z doświadczenia, które od samych początków nauki aż dotąd coraz częściej o tym nas uczy.

Powyższe rozważania nasuwają szereg postulatów:

## POSTULAT PIERWSZY

Właściwie w interesie praktyki — na dalszą metę, za to na większą skalę — *należy popierać przede wszystkim nauki czyste* i tym więcej im są ogólniejsze, im dalej stożą od praktyki.

Nie rozumieją tego praktycy, nie rozumieją ministrowie oświaty, a często i sami uczeni. Zrozumiało jednak b. prezydent Stanów Zjednoczonych Hoover, praktyk, businessman, nie uczony — w swoim orędziu, nawołującym do popierania nauk czystych, jako tych właśnie, które najwięcej posuwają naprzód praktykę. Rządy i społeczeństwa kapitalistyczne chcą — jeżeli w ogóle chcą — „nauki stosowanej”, praktycznej, nie czystej. Ze wszelkie badanie zrodzi *kiedyś jakieś* owoce praktyczne, to ich mało obchodzi; oni chcieliby zaraz takich, jakich im zaraz potrzeba, nie innych: nauka ma dla nich sens jedynie jako służebnica ich aktualnych potrzeb i pragnień. A przecież nauka, to twór kapitalizmu. Tak, ale bezwiedny, „nie zamówiony”, rodzic nie wie, co zrodził, i nie bardzo myśli o dalszej przyszłości.

W konsekwencji tej oczywistej a dotychczas nie rozumianej prawdy *należy zwalczać podział nauk czystych na więcej i mniej ważne dla praktyki*, gdyż nie wiadomo nigdy z góry, jakie badanie jaką korzyść praktyczną przyniesie. Z drugiej strony przedstawiciele nauki czystej w interesie tejże nauki czystej powinni wypowiadać się za *maksymalnym wyzyskiwaniem praktycznym zdobyczy czysto naukowych* zarówno jak za maksymalną rozbudową badań praktycznych — w daleko większej mierze, niż to się dziś czyni, te bowiem badania i stosowania bywały, są i będą nieraz odskocznią dla nowych zagadnień i badań czysto naukowych.

Drugi nasuwający się z tejże podstawowej prawdy wniosek, równie pierwszorzędnej wagi dla praktyki, to *konieczność coraz ściślejszego kontaktu między nauką a praktyką*, co znaczy: konieczność coraz liczniejszego *sztabu naukowego praktyki*, specjalistów-naukowców z nastawieniem praktycznym: *badaczy naukowo-praktycznych*, różniących się od badaczy czysto naukowych jedynie innym nastawieniem, różniących się zaś istotnie od zwykłych, codziennych praktyków, nawet o dostatecznej dla tej zwykłej, codziennej praktyki podstawie naukowej. I oni, również jak naukowcy czysti, potrzebują dla swej pracy i dla przygotowania naukowców praktycznych, swych własnych ognisk. Otóż zwykle politechniki zupełnie nimi nie są, są „za mało”, ale zwłaszcza „za dużo”, przygotowując zasadniczo owych zwykłych, codziennych praktyków, element zupełnie inny. Tu i ówdzie istnieją jednak instytuty, kształcące właśnie naukową elitę praktyków. Z tych najstarszym w Europie, założonym jeszcze za Wielkiej Rewolucji, jest słynna *Ecole Polytechnique* w Paryżu, w Ameryce słynny *The Massachusetts Technological Institute*, założony w roku 1865, najświeższym zaś projektem takiego instytutu jest projekt polskiego Instytutu Nauk Technologicznych, przedstawiony przez inż. Juliana Bondera Ministerstwu Oświaty i dyskutowany — niestety niedostatecznie, bo zbyt pośpiesznie — na specjalnym dla tej sprawy posiedzeniu, zwołanym przez Departament Nauki i Szkół Wyższych w dniu 30 czerwca. Wadą nie wada, ale w każdym razie brakiem bardzo ważnej, bo istotnej kropki nad „i” jest tutaj — podobnie jak w uniwersytetach i instytutach czysto naukowych (obacz wyżej) — to, że instytuty te nie



są jednocześnie ogniskami twórczości innej, ich twórczości jednak pokrewnej i twórczość tę nawet wenerującej.

#### POSTULAT DRUGI

*Naukowcy czysti i naukowcy z nastawieniem praktycznym powinni kształcić się i polem pracować twórczo w tych samych instytucjach dla badaczy naukowych: uniwersytetach czy instytutach.*

Postulat ten jest tak ważny a równocześnie tak nowy, więc z góry wystawiony na najrozmaitsze spory, że pragnąłbym go jak najlepiej uargumentować — argumentami dodatkowymi własnymi i argumentami z zewnątrz.

Od siebie wystawiam dwa podstawowe argumenty, zda mi się nieodparte. Przede wszystkim badania czyste praktyczne wraz z nauką codziennej praktyki zbyt różnią się od badań naukowych czystych i od przygotowywania do tych badań, aby było celowym łączenie jednych z drugimi w jednym systemie nauk, w jednej instytucji. Natomiast badania naukowe, stosowane do praktyki, w swych górnych piętrach, najbardziej „teoretycznych”, zarówno jak prace nad zagadnieniami czysto naukowymi, bliskimi jednak zagadnieniom praktyki, powzięte dla tej praktyki, powinny mieszkać razem z bezinteresownymi naukami czystymi, we wzajemnym kontakcie i we wspólnej atmosferze naukowości. Dlatego górne teoretyczne piętra wyższych szkół praktycznych — politechnik i innych — powinny przylączyć się do uniwersytetów, z których powinny odejść niższe piętra medycyny i prawa, pozostawiając w nich piętra naukowo-badawcze i zapewniając w ten sposób jednolitość uniwersytetom, a sprzyjając atmosferę wspólnoty — wybitniejszym umysłom badawczym. A że uniwersytety coraz mniej pozostają — i coraz mniej pozostawać muszą — jedynymi ogniskami nauki, rozmnażając się w postaci mniej lub więcej specjalizowanych instytutów naukowo-badawczych dla badaczy czystych i dla badaczy z nastawieniem praktycznym, więc i tu życzyć by należało żeby te instytuty były wspólne dla jednych i drugich — czy to będą instytuty mające w programie podobnie do uniwersytetów, także przygotowanie specjalistów-naukowców, czy też instytuty przyjmujące w swe mury tylko już ukończonych specjalistów z wartościowymi pracami drukowanymi. Chyba że instytut powstał do pracy nad jednym zagadnieniem czysto naukowym lub naukowo praktycznym (np. Instytut badania choroby raka), lub stworzony został dla jednego wybitnego badacza. Uniwersytety i instytuty wyodrębniłyby się wtedy jako: 1) ogniska nauki i jej naukowego, twórczego stosowania, 2) skupienia wybitniejszych umysłów badawczych „czystych” zarówno jak z nastawieniem praktycznym, 3) szkoły naukowego badania czystego zarówno jak z nastawieniem praktycznym. Tym bardziej się to połączenie nasuwa, że owe górne naukowe piętra szkół praktycznych, przeniesione do uniwersytetów i instytutów, powinny mieć możliwie najmniejszą specjalizację w szczegółach, jak najwięcej szerokiego oddechu, zainteresowania praktyczne powinny tu być możliwie najogólniejsze. Wzajemne obcowanie fachowe wpływając musi bardzo dodatnio na naukowców czystych i naukowców praktycznych przez zapewnienie naukowcom praktycznym atmosfery naukowej — tego ducha naukowego, a naukowcom czystym —

odskocznymi do zagadnień i rozwiązań czysto naukowych; przez danie sposobności wzajemnego zapożyczenia metod, chwytów, techniki pracy; przez umożliwienie rady i pomocy naukowców praktycznych naukowcom czystym w dziedzinie pomysłów i realizacji — wymagających także zmysłu praktycznego — nowych środków obserwacji i eksperymentów, nowych instalacji. Ten jeden argument już powinienby wystarczyć.

Powtórze podkreśliłbym już wyżej ów organiczny związek nauki z techniką, zarówno z techniką naukową, stanowiącą coraz większy procent produkcji przemysłowej, jak z techniką życiową, coraz więcej dostarczającą niezbędnych elementów instalacjom i przyrządom naukowym. Naukowcy czysti zmuszeni bywają coraz częściej wymyślać i realizować instalacje i materialne środki badania, a wtedy stają się naukowcami praktycznymi, np. naukowcami-inżynierami. Poza tym naukowiec czysty staje się często — na jakiś czas lub na stałe — naukowcem praktycznym i odwrotnie; historia nauki jest pełna takich wypadków; jednemu i drugiemu powinno być wolno formalnie przerzucać się w ogóle z jednej dziedziny do drugiej, gdy do tej drugiej uczuje ciągnąć, i w tym nie napotykać na żadne przeszkody, na żadną formalność: chce, niech więc się przerzuca, trzeba mu zautiać teraz, skoro mu się ufało, jako badaczowi, dotychczas; ma się przecież dane, że jego praca będzie owocna i w nowej dziedzinie, skoro była owocna dotąd. Najważniejszym tutaj warunkiem są zdolności i jeszcze raz zdolności, no i trening w jakiejkolwiek już starszej, okrzepłej dziedzinie badań. Pasteur, nie mający pojęcia o tym, co to jest poczwarka, za to świetny chemik, bada jednak i leczy skutecznie chorobę jedwabnika.

Skoro jednak nie można oddzielić wyraźnie naukowca czystego od praktycznego, to nie trzeba oddzielać ich od siebie sztucznie, umieszczając ich w różnych uczelniach i różnych instytucjach; trzeba ich łączyć.

Teraz pozwolę sobie przytoczyć jako argumenty, dwa kompetentne głosy, mianowicie: głos kierownika jednego z instytutów technologicznych amerykańskich — najstarszego i bodaj najwydatniejszego, oraz głos projektodawcy Instytutu Nauk Technicznych w Polsce, dowodzące — mimowolnie — że oba te instytuty — ów istniejący i ten projektowany — nie są naprawdę — i nie powinny być organizacyjnie i statutowo — tylko techniczne; że nazwa, statut, organizacja nie odpowiadają treści realnej, że więc należy połączyć w nich — i we wszelkich instytutach podobnych — naukowców praktycznych z naukowcami czystymi podobnej dziedziny (więc w danych wypadkach: z fizykami i matematykami) i nauczanie naukowo-praktyczne z nauczaniem nauk czystych.

Więc nasamprzód światowej sławy fizykowi (nie fizykowi stosowanemu) amerykańskiemu K. T. Comptonowi, kierownikowi Instytutu Technologicznego w stanie Massachusetts. Uczony ten pomieścił 15 lat temu bardzo ciekawy dla sprawy, którą tu rozpatrujemy, artykuł o stosunku nauki czystej do stosowanej i o kształceniu naczelnym i twórczym kierowników przemysłu pt. *The Massachusetts Institute of Technology* w czasopiśmie amerykańskim *Science* Nr 1850 z 13 czerwca 1930 r. Instytut ten wywarł olbrzymi wpływ na rozwój przemysłu Stanów Zjednoczonych, dając wielki zastęp dzielnych i wybitnych pracowników, rozsianych obecnie po całym kraju. „Są to dziś — mówi Compton — budowniczo wielkich zakładów przemysłowych, organizatorzy i administratorzy wielkich spółek, ludzie o naczelnym sta-



nowiskach w naukach przyrodniczych, inżynierii i architektury; profesorowie uniwersytetów i politechnik". A więc — pozwalam sobie to podkreślić — Instytut kształcił nie tylko naukowców praktyków, ale również naukowców czystych: wybitnych przyrodników, profesorów uniwersytetów. Nie był więc wyłącznie Instytutem Technologicznym. „Ten wielki sukces pedagogiczny Instytut osiągnął dzięki linii, po której dążył konsekwentnie od chwili swego powstania, za główny cel szkoły politechnicznej uważając nie nauczanie szczegółów i manipulacji technicznych, lecz przede wszystkim danie przyszłym pracownikom — rzetelnym teoretycznych podstaw przyrodniczych”.

Tak zdaje sprawę z wyników pedagogicznych instytutu technologicznego wybitny fizyk „czysty”. Następnie w ten sposób formułuje wytyczne dalszego programu uczelni, zwracając uwagę na sprawy szczególnie żywe w dobie dzisiejszej: „...Po pierwsze wysunąłbym potrzebę położenia większego nacisku na nauki podstawowe, jako niezbędne same w sobie oraz będące fundamentem poszczególnych gałęzi inżynierii. Sztuka inżynierska staje się z biegiem czasu coraz bardziej złożona, niemożliwością przeto jest zaznajomienie słuchaczy w czasie studiów z dokładnymi procesami myśli i manipulacji, których wymagać będzie od nich praca zawodowa. W miarę wciąż wzrastającego postępu naukowych odkryć i ich zastosowania wzrasta też prawdopodobieństwo napotykania zagadnień leżących daleko poza utartym szlakiem. Również wielu ludzi, rozpoczynających pracę jako inżynierowie, staje się później urzędnikami lub administratorami. We wszystkich tych sytuacjach szerokie i rzetelne wykształcenie w zakresie podstawowych zasad pozwoli im lepiej sprostać zadaniom, niż drobiazgową znajomość szczegółów... Od uczelni technicznej wymagaliśmy: zaznajamiania ludzi z prawami naukowymi i techniką ich zastosowania. Obecnie wymagamy: przewodnictwa w posuwaniu naprzód badań naukowych i nauki najnowszych metod technicznych”. A więc — podkreślam to powtórnie — w Instytucie Technologicznym mają się wychowywać również ci, co mają posuwać naprzód badania naukowe czyste. „Należy baczną uwagę poświęcić podstawowym naukom przyrodniczym, przepoić je duchem badawczym i dążyć do nowych zdobyczy naukowych (a więc czystych nie tylko naukowo-praktycznych, podkreślam to po raz trzeci)”.

Tyle Compton.

Referat inżyniera Bondera zawiera zupełnie przekonujące argumenty, oparte na wnikliwym wejrzeniu w ewolucję stosunku przemysłu do nauki, za koniecznością utworzenia naukowego sztabu przemysłu, za oddzieleniem ich kształcenia od politechnik i utworzeniem osobnego naukowego instytutu technologicznego — jak przekonujące, że jakiegokolwiek zarzuty mogą tu polegać tylko na nieporozumieniu, zwłaszcza wobec faktu, że takie instytuty są, że niektóre są nawet od dawna i że grały i grają bardzo poważną i coraz poważniejszą rolę w rozwoju przemysłu. Nie widzę jednak argumentów za oddzieleniem naukowców przemysłu od naukowców czystych, chociaż — zdaje się — takie oddzielenie projektodawca zakłada, a może nie przychodziła mu po prostu do głowy myśl połączenia. Natomiast widzę w tymże referacie — podobnie jak u Comptona — cały szereg nieumyślnych argumentów właśnie za połączeniem tych dwóch rodzajów naukowców i ich przygoto-

waniem w jednej instytucji. Cytuję (podkreślenia i nawiasy moje):

„Dzięki zgodnej i owocnej współpracy (więc połączenia) umysłów o wybitnych uzdolnieniach teoretycznych (więc naukowców czystych) z badaczami nie tracącymi nigdy z oczu twardego gruntu rzeczywistości, *École Polytechnique* stała się w krótkim czasie najbardziej atrakcyjnym ogniskiem nauki francuskiej (nauki w ogóle, nie tylko stosowanej). Stąd... obficie czerpała nauka i technika... nowe idee i ożywcze natchnienia do wnikliwych dociekań... oderwanych i stosowanych. Świadczy o tym... cała plejada nazwisk profesorów szkoły politechnicznej takich jak — Monge, Lagrange, Laplace, Fourier, Poisson — nazwiska, z którymi nierozdzielnie związane są najbardziej podstawowe twierdzenia nauk matematycznych, fizycznych i technicznych... Nieraz rozwiązania doniosłych zagadnień teoretycznych... długo musiały czekać na swe właściwe zastosowanie w twórczości technicznej...”

„Na gruncie elektrotechniki najwcześniej może przychodzi do powtórnego zbliżenia teorii do praktyki... Wynikające stąd korzyści są obustronne...”

„Większość tych fabryk (samolotów) utrzymuje żywy i ścisły kontakt z naukowymi instytutami badawczymi a niektóre nawet budują własne laboratoria aerodynamiczne i wytrzymałościowe, w których sztab pracowników naukowych prowadzi często nie tylko badania eksperymentalne, ale i teoretyczne...”

„Radiotechnika jest w tym samym stopniu dziełem techniki co i fizyki matematycznej”.

„Obecnie przemysł... bardzo często (i coraz częściej) zwraca się do naukowców, dobrych teoretyków, bądź zdolnych eksperymentatorów...”

„Pierwsze lata proponowanego instytutu powinny być poświęcone w pierwszej linii (czy nie lepiej wyłącznie, aby tym gruntowniej?) gruntownemu przyswojeniu podstawowych nauk ścisłych i kształcenia ducha eksperymentalnego (a więc wspólnie z kandydatami na fizyków czystych). Ostateczne jego formy skryształizują się niewątpliwie dopiero po latach owocnej współpracy nauk z techniką polską... O tym, jak w INT ma przebiegać linia podziału na wydziały, powinny w pierwszym rzędzie decydować względy metodyczno-naukowe... Wydział Radio- i Telekomunikacyjny miałby za zadanie: a) kształcenie wybitnych specjalistów-naukowców jako doradców i badaczy... (jak trudno będzie ich odróżnić od naukowców czystych w odnośnych dziedzinach!), b) prace naukowe z dziedziny emisji elektronów przez ciała ogrzane, promieniowania magnetycznego itd. (to będą przecież badania naukowe czyste). Wydział Przyrządów Precyzyjnych (czy będzie się różnił od pracowni przyrządów 'czysto-naukowych?')”

Dość więc chyba mamy argumentów za połączeniem ognisk badań naukowych czystych i ognisk badań naukowych praktycznych, zarówno jak ognisk odnośnego nauczania. Wspólna organizacja, wspólny statut, wspólny budżet. Programy w pierwszych latach wspólne, chyba tylko z małymi koniecznymi różnicami. Później wydziały praktyczne — wykłady, seminaria, laboratoria — bez sztywnych granic, możliwie związane z czysto naukowymi. Przedstawiciele jednych i drugich powinni korzystać ze sposobności wzajemnego kontaktu, więc należeć do tych samych towarzystw nauko-



wych. Tak np. dotychczasowe Polskie Towarzystwo Fizyczne powinno przyjąć do siebie fizyków z nastawieniem praktycznym, fizyków-inżynierów, utworzyć wspólne towarzystwo fizyki czystej i stosowanej (można by pod dawną nazwą, jako nie specjalizującą), razem urządzić zjazdy

W tym jednak do naszych, nie zaś do dawnych czasów przystosowanym układzie, w czasach, gdy uniwersytet przestał już być średniowieczną *Universitas*, gdy już ani w swej całości, ani nawet w pewnych przedmiotach (uważanych przez niektórych niesłusznie za obdarzone właściwościami ogólnokształcącymi) nie jest szkołą ogólnokształcącą, ale specjalizującą zawodową, łączenie wszechnaukowych specjalności w jednej instytucji traci rację bytu. *Uniwersytety tracą rację bytu*. Praktycznie (podobnie jak Akademie) rozbiły się one na poszczególne specjalności, na instytuty (zakłady itp.), fizyczne chemiczne, geologiczne, botaniczne, zoologiczne, socjologiczne itd. z osobnymi nawet gmachami, bibliotekami, muzeami itp., urzędowo, formalnie tylko należącymi do uniwersytetu. Przemienione na niezależne instytuty naukowe czyste, mogłyby się połączyć z odpowiednimi instytutami naukowo-praktycznymi i utworzyć instytuty naukowe wspólne. Tak np. w Warszawie matematycy, fizycy i fizykochemicy razem z naukowcami proponowanego instytutu Nauk Technicznych mogliby stworzyć jeden instytut matematyki, fizyki i fizykochemii; mógłby to zresztą być instytut węższy lub przeciwnie, szerszy, zależnie od różnych okoliczności.

Dziś, wobec katastrofy, która dotknęła nasze szkoły wyższe — personel i instalacje — i której się nie ma widoków rychło zamienić na stan normalny, koniecznością staje się niezależnie nawet od proponowanej wyżej reformy, w niezmiennym *status quo*, jak najoszczędniejsze gospodarowanie tym co jest, więc oczywiście nie rozrzucenie po wielu szkołach wyższych, lecz przeciwnie, skupianie specjalistów i instalacji w jak najmniejszej liczbie uniwersytetów politechnik (i innych szkół wyższych), lub skupienie każdego z głównych działów nauczania uniwersyteckiego i politechnicznego w osobnym uniwersytecie, w osobnej politechnice. Każda z tych uczelni miałaby swą specjalność. Np. uniwersytet warszawski, w którym są już skupieni w sporej liczbie fizycy i który ma najodpowiedniejszy dla zakładu fizycznego gmach, mógłby być znany ze swej specjalności: fizyki, gdyby danym mu było dodać sobie z innych miejsc matematyków i dobrać jeszcze fizyków

Niezrozumiałe zupełnie, bo nie liczące się z rzeczywistością, są dezyderaty prof. Zygmunta Szymanowskiego (ob. Nr 1 „Kuznicy”) stworzenia jak największej liczby ośrodków akademickich. Z czego? Jak wyglądać będą te ośrodki? ich instalacje, personel? Co do tego ostatniego, to prof. Szymanowski zakłada chyba po prostu hasło „zrównania w dół”, hasło; asystentów i byle kogo na katedry, więc zupełne obniżenie poziomu i tak już nie zawsze dawniej dość wysokiego. Ale jakim cudem rozmnoży niezbędne pracownie, instalacje, przyrządy, biblioteki? Chyba żebyśmy dostali z Niemiec większą liczbę szkół wyższych w całości — z instalacjami i... personelem! Argument: szkoły te winny być jak najbliższej siedziby rodziny studentów — nie potrzebuje nawet

zastanowienia, żeby upaść. Twierdzenie zaś, jakoby szkoły wyższe były rozsądnymi w danym mieście i okolicy kultury i ruchu umysłowego, jest w obliczu rzeczywistości mocno przesadzone.

#### SELEKCJA KANDYDATÓW

Jak to już podkreśliłem wyżej — i co jest oczywiste — do szkół badaczy naukowych powinna być przyjmowana wyłącznie młodzież nie tylko o *uzdolnieniach więcej niż przeciętnych* do długich, wytrwałych wysiłków umysłowych i do przyswojenia wiedzy o najwyższym poziomie, ale także o *uzdolnieniach twórczych* w obranym kierunku — odkrywczym i wynalazczym. Środkiem odwiecznym do rozpoznania uzdolnień pierwszej kategorii są egzaminy. Ponieważ uzdolnienia te są do pracy naukowej konieczne (choć nie dostateczne), system więc egzaminowy — mimo wszystkie, aż nadto dobrze poznane swoje strony ujemne — stanowił jednak pewne, choć przeważnie zbyt mało gęste (czasami znowu niepotrzebnie gęste), sito do odsiewania niedostatecznie uzdolnionych. Gorzej z rozpoznawaniem uzdolnień twórczych; tu żadne jeszcze kryterium nie było nie tylko skutecznie stosowane, ale nawet z dostatecznym uzasadnieniem proponowane. Sprawa ta jest ściśle związana ze sprawą *metody nauczania w szkole*; próbę nowej dydaktyki, umożliwiającej rozbudzanie, trenowanie i rozpoznawanie uzdolnień aktywnych, nie tylko receptywnych, opartą na siedmioletnich wysiłkach w tym kierunku w szkołach polskich b. Kongresówki (1907 — 1914), uzupełnioną odąd szeregiem eksperymentów indywidualnych lub w małych grupach, mam właśnie zamiar ogłosić drukiem. Sprawę dydaktyki w samych szkołach badaczy poruszę na innym miejscu.

#### INNE WYŻSZE SZKOŁY

Do wszystkich innych szkół wyższych: szkół i kursów silnie kierowniczych, organizatorskich, administracyjnych dla różnych dziedzin praktyki (np. szkół inżynierskich: politechnik ze zmienionymi programami); szkół nauczycieli-wychowawców; szkół lekarzy (miejsce lekarzy-naukowców jest w szkole badaczy naukowych); szkół prawników, dziennikarzy, bibliotekarzy i innych, jakie wysunie życie, szkół opartych jednak na solidnych podstawach naukowych, — wystarczy — zgodnie z doświadczeniem, a wbrew utartym mniemaniom — tzw. mała matura, uzupełniona egzaminem wstępnym.

Praktyka i badania praktyczne są dziś w coraz większej zależności od wyników badań naukowych. Dlatego te wszystkie — poza szkołami badaczy naukowych — szkoły wyższe, mimo iż czysto praktyczne, winny być przeniknięte duchem nauki. W tym zaś celu przede wszystkim nie powinno być i tu nawet zbyt wąskiej specjalizacji, która okazuje się szkodliwa z punktu widzenia samej praktyki; następnie ich personel profesorski powinien składać się przynajmniej częściowo z profesorów szkół badaczy naukowych, którzy potrafiliby wśród słuchaczy wnieść ów duch nauki, a prócz tego wyhuskiwać umysły naukowo twórcze i skierowywać je do szkół nr



LUDWIK KRZYWICKI

## FRAGMENT Z „PAMIĘTNIKÓW”

(ze spuścizny pośmiertnej)

Przez długie lata milczeniem pokrywano oddziaływanie umysłowości rosyjskiej na młodzież polską. Nie ma co dziwić się temu — warunki były ciężkie, ręka okupantów dławiała wszystko i ujawniać wpływy idące od książki rosyjskiej było by jedynie zachętą dla polityki rządu carskiego, zdumionej oporności Polaków. Czasy te minęły i dzisiaj można by pomówić o niektórych stronach tego oddziaływania. Zaczęło się to bodaj od pozytywistów, którzy o istnieniu A. Comtea dowiedzieć się mieli od Rosjanina, profesora Nikolskiego. Nie sprawdzałem tego faktu, choć słyszałem o nim z ust osób wiarygodnych.

Nie będę jednak podejmował tej sprawy w całej jej rozciągłości. Chodzi mi tylko o jeden odcinek życia — o ruch rewolucyjny.

Byłem jego uczestnikiem i dlatego mogę twierdzić z całą stanowczością: socjalistyczny ruch w Kongresówce powstał pod bezpośrednim wpływem ruchu rosyjskiego. Lata siedemdziesiąte w Kongresówce były okresem kiedy lojalizm polityczny, ubrany w hasła pracy organicznej i niekiedy w nazwę pozytywizmu, panował wszechwładnie nad umysłami. Ale w zakresie myśli filozoficznej i w stosunku do kościoła pozytywizm w swoim lewym odłamie wniósł oddawna nieznaną u nas w takiej mocy dążność wolnomyślną, a nadto targnął się we wszystkich swoich odcieniach na uświęcone wiekami przodownictwo warstwy ziemiańskiej nad społeczeństwem. I w Galicji ówczesnej rej wodzili Stańczycy, tak samo stojący na gruncie lojalizmu, ale bez owej wolnomyślności i rokoshu przeciw szlachcie, wyróżniających pozytywizm warszawski. Dojrzewająca młodzież w najlepszej swojej części hołdowała również hasłom pracy organicznej, przesyconym wiarą w potęgę wiedzy i stosunkiem krytycznym do wszystkiego, czemu nauka nie udzieliła swojego poparcia. Z zachodu przemycano na wielką skalę nie tylko pozytywizm, lecz również darwinizm, a niekiedy filozofię naiwnego materializmu, ale wszystko to było jakoś kuse, a przede wszystkim rozmieniane na drobną monetę publicystyki w łamach tygodnika i nawet takich dzienników jak *Nowiny*. Panował wielki zapał do nauki, lecz ograniczał się do nauk przyrodniczych. One to gorączkowały ówczesne umysły młodzieży. Była to dla niej dobra szkoła: już w wyższych klasach gimnazjum pochłaniały artykuły *Przeglądu Tygodniowego*, a później *Prawdy*, przysięgano na Darwina i Herberta Spencera, którego naówczas znano raczej z nazwiska niż z dzieł jego, rozprawiano o Büchnerze i Draperze, przysiadano fałdów nad Bucklem. Naturalnie, ruch ten nie ogarniał całej młodzieży, jednak o tyle był pokazywany, pod względem ilościowym i zyskanej powagi, iż dawał ton obliczu młodego pokolenia: nawet ten, kto nigdy nie zajrzał do wymienionych autorów, ani nie czytywał czasopism wojującego pozytywizmu, przecież za przodującymi postaciami zespołu szkolnego, wymieniał to lub inne nazwisko i bronił z kiego, poglądów nieprzetrawionych.

Jeszcze raz powtarzam: była to dobra szkoła.

Mówię to z własnego doświadczenia.

Zasadniczy rdzeń swoich poglądów filozoficznych, swoje pojmowanie rozwoju kosmosu, swój stosunek do naukowego sposobu myślenia, jako jedynie upraw-

nionego, wyniosłem z ławy gimnazjalnej. Późniejsze studia w tym względzie nic mi nie dodały. I nie ja jeden wyniosłem taki dorobek z ławy szkolnej: wśród nas dwunastu, którzy jednocześnie opuszczaliśmy mury gimnazjalne, było nas zupełnie zdecydowanych pięciu, a nadto paru przyjmujących na wiarę to wszystko, co dla nas było sprawą przemysłaną. Pozostała gromadka nie przeciwstawiała się nam naówczas jako zespół złożony z osób odmiennego poglądu — milcząco godziła się na nasze poglądy, acz właściwie była jako tabula rasa, na której nie wiadomo było co życie napisze, ale cokolwiek zapisałoby, całkowicie nie wypleni z ich duchowości tonów wolnomyślnych. Tak, byliśmy wyrobieni, o ile można mówić o wyrobieniu wśród młodzieży osiemnastoletniej. Ale to wyrobienie nasze było mocno jednostronne. Albowiem poza zagadnieniami filozoficznymi, zgoła nie zaprzataliśmy się zagadnieniami natury społecznej. Byliśmy ulepieni z tej samej lojalnej gliny co nasze społeczeństwo. Może, jak bywa w młodym wieku, konsekwentniejsi i logiczniejsi. Jednak pod wpływem wysuwania przez pozytywistów pracy organicznej na miejsce poczesne, dokonaliśmy kroku jednego dalej: wyidealizowaliśmy zasadę pracy, jako zasadę jedynie moralną i właściwą życia społecznego. Powtarzam: był to krok naprzód w porównaniu z pospolitymi dążnościami organiczników. Przynajmniej, gdy chodzi o mnie osobiście, nadałem nazwę *Praca* redagowanemu przeze mnie i pisanemu w jednym egzemplarzu pismu szkolnemu. I gdy dzisiaj odtwarzam ówczesne swoje poglądy, zdaję sobie całkowicie z tego sprawę, iż na własną rękę i własnym wysiłkiem dochodziłem wtedy do poglądów Saint-Simona, nie wyróżniających jeszcze w dostatecznej mierze pracy przedsiębiorcy od pracy robotnika. Nie miałem najmniejszego wtedy pojęcia o antagonizmie między kapitałem a pracą, choć pierwsiastki do zrozumienia tego przeciwieństwa wylegały się już w moim umyśle. Bezwiednie ciążyłem ku hasłu rehabilitacji pracy fizycznej. Co więcej, zacząłem się uczyć stolarstwa i tokarstwa. W domu matki w suterynie mieszkał stolarz Wegeman, u którego wiosną i jesienią pracowałem godzinę i więcej wczesnym rankiem przed początkiem wykładów w gimnazjum. Samoistnie zrobiłem jeden i drugi stołek. Tak samo w godzinach poobiednich przykładałem się na tokarni. I w tym wypadku mogłem się pochwalić wyrobami ręki swojej, jakimi — już dzisiaj nie pamiętam (Nadto kolega Aleksander Dębski, później jeden z przywódców *Proletariatu*, wtajemniczał mnie w arkana intraligatorstwa — dotychczas mam u siebie Lubbock *Dzieje cywilizacji*, które oparłem osobiście przed laty sześćdziesięciu). Nie zdaję sobie dzisiaj należytej sprawy, jakie pobudki skierowały mnie ku tym rzemiosłom: może zamiary wstąpienia do Instytutu Technologów lub Mechaników i uzyskania z doświadczenia własnego znajomości różnych robót. Ale, ponieważ to przykładanie się do umiejętności rzemieślniczych co do czasu wiązało się z wydawaniem przeze mnie *Pracy*, sądzę, iż był to w gruncie rzeczy hołd bezwiednie złożony przeze mnie obowiązkowi pracy, jako zasady naczelnej życia, a może jeszcze tak samo żywiołowa chęć zrehabilitowania pracy fizycznej w swoim własnym poczuciu, przyłożeniem się osobiście do zajęć fizycznych. W każdym razie daleki



byłem naówczas od jakichkolwiek założeń swoich późniejszych poglądów społecznych, które w późniejszym okresie pchały mnie do wzięcia się do pracy fizycznej jako sposobu zarobkowania, a przede wszystkim jako środka oddziaływania na otoczenie robotnicze (Vollmer miał mnie adoptować, przynajmniej takie były zamiary Jankowskiej i osadzić na Śląsku w charakterze działacza robotnika). I nie tylko ja jeden byłem w tym położeniu. Hildt, jedna z najciekawszych postaci socjalizmu polskiego podczas jego kielkowania — bodaj przebył drogę do mojej podobną. Ale znajdował się w dogodniejszych ode mnie warunkach: syn fabrykanta, od dzieciństwa obcował z personelem pracującym niewielkiego zakładu ojcowskiego, zasmakował w gawędach z robotnikami, zżył się jeszcze bardziej z nimi w okresie następującej dojrzałości, uczęszczając do knajp i ogródków, gdzie robotnicy w niedzielę odpoczywali, zabawiali się i swawolili. Gdy spotkał pierwszych socjalistów i od nich dowiedział się o socjalizmie, był uczuciowo całkowicie przygotowany do przyjęcia nowej religii. Socjalizm był bowiem podówczas religią, nie tylko w Polsce lub w Rosji, ale i w Niemczech. I prawdopodobnie w wielu innych wypadkach socjalizm znajdował takie podłoże przygotowane i jedynie samorzutne sympatie i zainteresowania ujmował w tory założeń teoretycznych i świadomej działalności, uświęcającej rokosz robotników przeciwko warunkom ustroju kapitalistycznego. Prawdopodobnie takie nastroje uczuciowe, podyktowane przez czyjąś sytuację jako robotnika fizycznego, pracującego na utrzymanie społeczeństwa a przecież lekceważonego, a uzupełnione przez mniej lub więcej napięte pożądania jakiejś walki o swoje prawa, kielkowały w jaźni różnych Kobylańskich, Sieroszewskich, wyrzuconych z warstw zamowniejszych do zastępów robotniczych. Ferment ów niewątpliwie był konsekwencją hasel pracy, apoteozowanej przez komunarda Karola Świdzińskiego, a wziętych jako ich hasło przez pozytywistów, ślizgających się po wierzchu i nieumiejących pod wyrazami wyszukiwać głębszej treści społecznej. Świdziński, kuzyn Jarosława Dąbrowskiego, mówił o pracy w tym znaczeniu, jakie temu wyrazowi nadała pierwsza Międzynarodówka, pozytywiści zaś (patrz Chmielowski: *Zarys literatury współczesnej* — dla Chmielowskiego Świdziński pozostał „skądinąd mu nieznaną”) podsunęli pod nią swoją pracę organiczną. Ale nawet wśród pozytywistów byli tacy, co pracy organicznej umieli nadać żywszy charakter, jako to uczynił Ochrowicz w swoim hymnie na cześć pracy:

...My chcemy walki co kraj oświeci  
Od piwnic aż do poddaszy.

O! bo pieśń nasza to ludów wrzawa,  
Huk młotów i turkot maszyn.

Bądź co bądź pozytywizm, do szpiku kości plód widnokręgów mieszczańskich, torował bezwiednie drogą nowym prądom w społeczeństwie polskim. Prądom, które zerwą z lojalnością polityczną organiczników, będą uragały płytkości ich pojmowania stosunków społecznych, ale w spuściznie po pozytywizmie wezmą swoją wolnomyślność, swoje opieranie się na nauce jako jedynej instancji, wyrokującej o tym czemu mamy wierzyć, a co odrzucić.

Przytoczyłem drogi swego dorabiania się idei społecznych, ale drogi owe utykały gdzieś w jakąś pustkę. I tak samo było z Hildtem. Pozostawieni samym sobie, w latach późniejszych pielęgnowaliśmy szacunek wszelkiej pracy, ceniliśmy człowieka według jego

wywiązywania się z obowiązków, krzewiliśmy ideę pracy honorowej na rzecz społeczeństwa, ale ponadto niewiele więcej. Spotykałem później w podsztych latach przedstawicieli obozu pozytywnego, którzy właśnie wyznawali takie poglądy: górnik Kondratowicz, doktorostwo Dobrscy i wielu, wielu jeszcze innych — dzielnych, uczciwych pracowników — obywateli, ale trzymających się tuż nad ziemią. Ich ideologię oddał w swojej publicystyce przewybornie Bolesław Prus. Ze „praca” jest siłą dziejową, która ma kiedyś w przyszłości wykrzesać z siebie nowy świat, że chwilą poczęcia się tej siły jest uświadomienie sobie przez robotnika, iż w każdej sytuacji jest i będzie wyzyskiwany przez kapitał, który tuczy się tym wyzyskiem, że wreszcie najważniejszym wynikiem tego uświadomienia musi być wiązanie się rzesz pracujących w gromady zorganizowane do walki z kapitalizmem, o tym wszystkim nie było w nas świadomości, a tym bardziej gotowości czynu — tak samo jak do końca życia nie było tego u Dobrskich i Kondratowicza. Do świadomości doszliśmy cudzym rozumem. Światło przyszło od Wschodu, z Rosji. Wprawdzie Rosja świeciła nam nie własnym światłem, lecz pożyczonym, a nawet, jak później zrozumiałem, mocno przełamany i wykoszlawiony: prądy społeczne Europy Zachodniej wywołały tam wśród inteligencji rosyjskiej żywe poruszenie, które musiało z konieczności zwrócić się przeciwko caratowi — poruszenie pełne entuzjazmu, zaparcia się siebie w imię idei. Było to jak gdyby objawienie nowej religii, a jej wyznawcy śmiało szli po wieniec męczeński. Niewątpliwie, jest to jeden z okresów bohaterkich rozwoju idei społecznych. Ze te idee pod wpływem otoczenia rosyjskiego i właściwego mu wyrobienia społecznego zeszyły na drogi naiwne, niekiedy klójące się z doświadczeniem Zachodu, ta okoliczność nie zmniejsza wartości moralnych ruchu rosyjskiego. I właśnie tą stroną bohaterką Rosja pociągała ku sobie młode nasze umysły. Dojrzywałem tutaj na miejscu, w Warszawie, zdala od osobistego zetknięcia się z przedstawicielami ruchów rosyjskich. Były to jeszcze czasy, gdy rząd pozwalał na drobniagowe drukowanie odbywających się procesów politycznych. Ciągnęły się te sprawozdania drukowane zwartym drukiem przez jedną i drugą stronicę olbrzymich arkuszy petersburskiego *Gołosa* i innych pism liberalnych. Po parę godzin dziennie przesiadywałem w cukierni Staropińskiego na rogu Kruczej i Wspólnej, opuszczając wykłady i zaczytywując się w tej legalnej opowieści o ludziach innego świata, bo zbudowanego na miarę Fidasza. A więc o Kwiatkowskim i Barannikowie, o Lizogubie. Wymieniam te nazwiska, które wtedy po raz pierwszy przedostały się do mego mózgu i odtąd ani na chwilę nie wypełzły z mojej pamięci. Podziwiałem tych bohaterów aż do uwielbienia, choć jeszcze dobrze nie wiedziałem o co walczą, prócz tego, że walczą przeciwko caratowi i że ideały takich ludzi są na pustkowiu rosyjskim jak perły w śmietniku. I znowu sądzę, że nie ja jeden dorabiałem się swoich poglądów. Szukałem klucza do otwarcia tych nieznanych mi jeszcze tajemnic, ale w Warszawie rozpostarła się pustka i milczenie po aresztach 1877 — 78 roku. Dopiero przypadek zetknął mnie ze zwiastunami nowiny społecznej. Było to bodaj w r. 1880. Bawiąc u ojczyma pod Łomżą, zetknąłem się z niejakim Borowskim, wychowawcą Instytutu Leśnego pod Moskwą, a wtedy urzędnikiem bodaj Kontroli Państwowej. Nie była to interesująca osobistość (W przyszłości, poszukując żony, zwrócił się do mnie z południowej Rosji o pomoc w tej sprawie. A kiedy



przyjechał, skierowałem go do Janostwa Popławskich, z którymi jeszcze byłem w stosunkach bliskich. Popławska i Józef Hłasko trzymali do chrztu mego najstarszego syna. Popławska wyszukała jakąś pannę dla Borowskiego, który, otrzymawszy z rąk Popławskiej żonę, z biegiem czasu wchłonął sojusz ideowy z powstającą endecją, aż w końcu ulgnał całkowicie w różnych woltach tego obozu. Może kiedyś ubolewał nad tym, że wśród jego znajomych znajdował się jakiś Krzywicki. Ale na razie Borowski odegrał dużą rolę w rozwoju moich poglądów. Zaznał mi z jakimś zesłanym do Łomży studentem. Był to z ubioru nihilista czystej wody: długie włosy, czarny kapelusz z wielkimi skrzydłami, a zimą zamiast palta pled według całego arcyzmu pledowego zawinięty: pled składano wzdłuż długości pasami mniej więcej stopowej szerokości. Jeden koniec lokowano około pachy, dajmy na to lewej, pled przeciągano przez prawe nadramię, a stamtąd ku lewemu bokowi, przepasywano go dokoła ciała od przodu i z prawego boku przerzucano przez lewe ramię, a zwieszający się drugi koniec przesuwano przez pled, który jako pas już opasywał figurę. Przy odpowiednim ułożeniu całości, zwłaszcza przy użyciu paru agrafek, cała górna część była dobrze zabezpieczona od zimna. Kim był ów zesłaniec, Polakiem czy Rosjaninem, nie umiem powiedzieć. O ile był pochodzenia polskiego, to swoim nastawieniem i zachowaniem całkowicie wsiąknął w koła nihilistyczne studenterii rosyjskiej. Zresztą był jednym z tych umysłów, które nie zaprzętały się pogłębianiem swojej wiedzy społecznej, lecz więcej dbały o mundur nihilistyczny: a więc długie włosy i inne akcesoria tego rodzaju, o częste energiczne spluwanie na ziemię, o używanie „krepkich” (mocnych) wyrazów i apoteozowanie Bazarowa, bohatera jednego z utworów Turgeniewa. Pospołu z Borowskim niewiele mogli mi dać. A właściwie dali jedno: nazwisko Marksa jako tego, który napisał nową ewangelię, imię zaś tej ewangelii *Kapitał*. Dzieło to, jak się przekonałem, treścią swoją nie bardzo odpowiadało treści podanej mi przez moich znajomych. Obaj go nie czytali — rzecz jasna. Opowiadali z dziesiątych ust, mieszając treść *Kapitału* z założeniami działalności publicystycznej i politycznej Marksa. Zresztą Borowski na jednym poziomie z Marksem stawał Iwaniukowa, z którym w latach przed wybuchem rewolucji często się widywałem w Warszawie: był profesorem ekonomii w politechnice. Płytki — frazesowicz... Jaskrawe, ale swoją nieokreślonością nie kompromitujące frazesy wobec młodzieży i wciąż wysuwane, aby lśniły swoją białością, mankiety przed domami. Mniejsza o to umiłowanie Borowskiego. W pół roku później dorwałem się już do *Marxa*, pierwszej książki ekonomicznej, którą czytałem, a w miesiąc później ustaliłem na resztę swego życia swój stosunek do zagadnień społecznych. A obok Marksa nadal czerpałem ze skarbnicy procesów politycznych i kształtowałem swoje podejście uczuciowe do walki politycznej i społecznej.

Naturalnie, ci z pośród młodzieży polskiej, którzy studiowali w uniwersytetach rosyjskich, a zwłaszcza tacy, którzy jako przebywający na Kresach dawnej Rzeczypospolitej już w gimnazjach zetknęli się bezpośrednio z ruchem rosyjskim i mieli do czynienia z żywą ustną tradycją, z wieczorynkami studenckimi, z działalnością praktyczną jak przechowywanie bibuły, udzielanie noclegu itd., w sposób szybszy ulegali wpływowi oddychającego rokoszem otoczenia studenckiego.

Książka rosyjska odgrywała wśród nich pokaz

na rolę, o wiele wpływowszą niż w Warszawie, gdzie dopiero przez przyjezdnych zwiasunów radykalizmu dowiadaliśmy się o tym lub innym autorze. Kazimierz Sosnowski, usadowiwszy się w Warszawie, przywiózł z sobą niemal całą bibliotekę, wyłącznie w języku rosyjskim: był tam Marks, pisarze rosyjscy obozu radykalnego, Herbert Spencer cały, Lecky itd. itd. Były to druki legalne, lecz ich dobór tak kompromitujący iż Sosnowski w pewnej chwili uważał, iż jego biblioteka będzie już w razie katastrofy świadczyła przeciw niemu. U Krusińskich zawsze można było znaleźć na stole którąś książkę radykalnych mieszczyńców rosyjskich — czasopism starannie redagowanych i obfitujących w treść nie tylko poważną, ale dostarczaną w sposób utalentowany. Socjaliści 1877 — 78 roku rozczytywali się w nich w Warszawie, korzystając z wypożyczalni niejakiego Frühlinga pod filarami Teatru Wielkiego. Literatura rosyjska kompletnie ciążyła wtedy nad młodzieżą bardziej zamilowaną w poważnym czytelnictwie. O tej sprawie systematycznie milczano w naszej publicystyce. Jak zaznaczyłem, starsze pokolenie nie dotykało tej drażliwej sprawy, żeby nie nadawać jej rozgłosu. Tylko w rozmowach poufnych narzekano na to „ruszczenie się” młodzieży. Warto nieco powiedzieć o tej całej sprawie i po latach kilkudziesięciu wynieść ją na światło.

Ruch umysłowy w Rosji w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych toczył się wartkim potokiem. My w Warszawie słyszeliśmy o wielkich przodownikach myśli w Europie Zachodniej i, co najwyżej dowiadaliśmy się o ich poglądach z nielicznych artykułów w naszych tygodnikach. W Rosji tłumaczono ich natychmiast, a co więcej, wobec rozległego rynku, sprzedawano po niskiej cenie. Jak w latach późniejszych powieści Orzeszkowej i Sienkiewicza ukazywały się w przekładzie rosyjskim niemal współcześnie z polskim oryginałem, tak samo działo się w Rosji z pracami Lyella, Herberta Spencera, Milla, Drapera. Przy tym nie były to proste przekłady. Do Milla pisał komentarze Czernyszewskij, które swoją głębokością przewyższały wywody oryginału. Marks był przełożony wnet po swoim ukazaniu się w języku niemieckim. Był to pierwszy przekład jego dzieła na jakikolwiek inny język. Wziąłem te dwa przykłady. Mogłbym przytoczyć mnóstwo innych. Należy do tego dodać całą plejadę utalentowanych pisarzy, którzy w krytyce literackiej lub w felietonie naukowym przemycali zjadliwe oświetlenie stosunków społecznych: Czernyszewskij, Dobrołubow, Pisarew, Michałowski. I gdy porównamy tę siłę książek, to bogactwo oryginalnych wywodów, zdzieranie bez żadnej ogródki obłudy społecznej, a przede wszystkim wielki urok potężnych talentów pióra i moc ich zapału, pojmiemy jak każdy młodzieniec, chciwy rozleglejszych widnokręgów, ciążył ku tym zasobom myśli. Odpychał go niekiedy język, w którym te rzeczy były napisane, lecz przyciągały idee. Konopnicka, do której docierały te różne idee przez Jana Gadomskiego, przecież kumającego się naówczas z socjalistami, przez Tadeusza Wróblewskiego i innych w rozpaczy kiedyś pisała:

A nasz młynek na strudze

Obraca plewy swojskie i cudze...

I dodajmy, że to oddziaływanie nie ograniczało się do młodzieży uniwersyteckiej. Poczytało się bowiem już w klasie trzeciej i czwartej gimnazjów. Malców zamilowanych w czytelnictwie pociągały książki. W naszej bibliotece gimnazjalnej w Płocku znajdowały się w przekładzie rosyjskim i to w przekładzie dobrym wszystkie dzieła Schillera, Goethego, Heinego i Byro-



na, a nade wszystko wszystkie opowieści Mayne — Reida i Vernego, tak chciwie polykane przez dzieciaków. Piśmiennictwo polskie nie mogło pod tym względem iść w zawody z rosyjskim. Gdy paru z nas na ławach szkolnych zaczęło upajać się czytelnictwem, znaleźliśmy ujście poza szkołą między innymi w czytaniu francuskich powieści, zwłaszcza historycznych Dumasa-ojca, a w końcu w sensacyjnych utworach Favalów, Gabrriau z wypożyczalni Bukiego. Czytelnia ta starała się mieć najnowsze książki, lecz na ogół nie była zbyt zaopatrzona w książki. Druga wypożyczalnia, Stablewskiego, obumierała śmiercią naturalną: książki znikły od zużycia, zwykle stempla bardzo starego, nowe nie pojawiały się na ich miejsce. Pochłanialiśmy z tych pożyczalni Korzenjowskiego i Kraszewskiego; a nawet prenumerowaliśmy powieści historyczne pana Józefa Ignacego, zaglądaliśmy do Rzewuskiego. Ale tego wszystkiego było za mało na nasze młode apetyty, nietylko żarłoczne, lecz i wybredne. Pisarze ci pasowali do ówczesnych nastrojów w naszym otoczeniu zalekzionym, lojalnym, mającym jedno pragnienie — przetrwać spokojnie w swojej wergetacji. Z konieczności ten i ów rzucał się na Heinego i Goethego w rosyjskim przekładzie, zaglądał do biblioteki szkolnej po inne książki. Były to lata 1875 — 78, kiedy Sienkiewicz i Prus jeszcze nie wysunęli się naprzód swoją twórczością i kiedy tylko *Przegląd Tygodniowy*, przez paru z nas chciwie czytany, był jedyną placówką urągającą powszechnej senności.

Tak było w jednym z większych miast Kongresówki, w mieście wprawdzie mało ruchliwym, lecz wykształconym, ustępującym może Lublinowi i Kaliszowi, lecz przewyższającym inne ówczesne miasta gubernialne swoim poziomem umysłowym. A co dziać się musiało dalej ku wschodowi, w Żytomierzu i Niemirowie, w Mińsku nawet Wilnie. Książką polską pomiatano jako o treści przestarzałej, nie umiejacej pociągnąć młodych umysłów. Młodzież tamtejsza już na ławie gimnazjalnej kumała się z ruchem rewolucyjnym rosyjskim, wchłaniała książkę rosyjską. Kijów przodował, po nim szło Wilno. Niejeden całkowicie wsiąkał w społeczność rosyjską. Byli to zazwyczaj najmniej ideowi i wychowani w otoczeniu, w którym na wielu marzeniach ojców i dziadów był zapomnienia rozsiadł się grubą warstwą. Bardziej ideowi bratali się po to, ażeby ginąć w młodych latach w walce z caratem, ale zaznaczając jak Hryniewiecki, jeden z uczestników zamachu na Aleksandra II, iż „gdy pójdziecie do lasu, przyjdę do was, teraz walczę tutaj, bo tu ciosy nasze są skuteczniejsze”. Zwrot nastąpił dopiero po opadnięciu wielkiej fali entuzjazmu społecznego w Rosji i wytepieniu gromady śmiałków, co mierząc siły na zamiary, porwali się na carat. Nastąpiło załamanie ostrego ruchu rewolucyjnego rosyjskiego. A tymczasem radykalizm polski znalazł u siebie w kraju posterunki wydajnej pracy społecznej. Aż w końcu wieku XIX role ulegną odwróceniu — gdy młodzież rosyjska będzie się uczyła po polsku, aby czytywać nasze tygodniki radykalne i przekłady na język polski Marksa i Engelsa, a manifestacje w Warszawie w rodzaju pogrzebu Tańskiego, dadzą pobudkę do podjęcia znowu manifestacji w Rosji.

W ruchu rosyjskim Polacy odegrali ważną rolę. Wnosili tutaj zamiast smętnej, niekiedy nieco Chrystusowej filozofii niekałania mózgow swoich myślą o jakiejś konstytucji, która będzie ostoją rządów nowej uprzywilejowanej mniejszości nad ludem, jasno i stanowczo hasła walki politycznej. I to walki zorganizowanej. Już Aleksander Więckowski, choć ciałem i duszą tkwił jeszcze w chaotycznej filozofii „Ziemi i Woli” i w swoim mieszkaniu drukuje jej organ, wykazy-

wał przecież niezaprzeczoną dążność do wniesienia do ruchu rewolucyjnego takich pierwiastków politycznych. W Kijowie w tym gnieździe „buntarej” anarchistów, powieszony Walerian Osiński marzy o terrorze politycznym. A był to Polak niewątpliwie, choć na stronicach historii ruchu rewolucyjnego fosijskiego figuruje jako Rosjanin. Na zarzuty, iż tkwi w ruchu rosyjskim, prawdopodobnie odpowiedziałby słowami Hryniewieckiego: gdy pójdziecie do lasu, przyjdę do was. Wł. M. Kozłowski, który mieszkał z nim w tym samym domu w Kijowie, opowiadał mi kilkakrotnie, iż z Osińskim toczył długie rozmowy, naturalnie w języku polskim. Z Kijowa wyszli bracia Izbicy, których nazwisko wiąże się z jednym z pierwszych zbrojnych oporów w stosunku do wkraczającej żandarmerii. Z natury rzeczy, Polacy od samego początku istnienia „Narodnej Woli” musieli sympatyzować z tym bohaterskim ruchem niewielkiej garstki straceniów. Wśród tej garstki znajdziemy zbiega z Warszawy, Ludwika Kobylańskiego, który uniknął tutaj aresztu w r. 1878, przetrzącił się do Rosji i niebawem będzie współzawodniczył z Sołowjewem, który z nich ma strzelać do cara. Inny Polak, Mirski wychowaniec gimnazjum w Niemirowie, będzie uczestniczył w zamachu na Mezencewa. Pomijam Kwiatkowskiego, potomka zesłańca polskiego a bliskiego krewnego Polki, żony Bakunina, Kwiatkowskiej z domu Kunicki będzie członkiem organizacji „Narodna Wola”, co mu nie przeszkadza oddać szyję swoją pod stryczek w sprawie warszawskiego „Proletariatu”. Waryński, gdy przybył do Warszawy, właściwie zamierzał stworzyć tutaj posterunek „Narodnej Woli”, ale agitacyjna praca wśród robotników pochłonięła go całkowicie i skierowała na inne tory. Rzecz skończyła się na powołaniu do życia „Proletariatu”, jedynie terror, wysuwany stale przez Waryńskiego przy każdej okazji, świadczył o wpływach ideologii rosyjskiej na program „Proletariatu”. Dębski i Rechniewski odbywali konferencję z przywódcami „Narodnej Woli” a dalším wyrazem solidarności był wspólny Komitet „Narodnej Woli” i „Proletariatu”. W r. 1883 bywała stałym gościem w domach sędziów Dobrowolskiego i Badowskiego Antonina Lisowska — również była Polką, a jej brat, Henryk, był pociągany w r. 1881 w sprawie polskich organizacji rewolucyjnych. Swoją urodą robiłaby furorę na balach, ale wolała wybrać inną drogę życia — niebawem stanęła przed sądem wojennym, bodaj ostatnim, jaki odbył się nad narodowolcami. Wreszcie członek „drugiego” „Proletariatu”, Mancewicz, po powrocie z Syberii jako kierownik tajnej drukarni odegrał dużą rolę w okresie, gdy z resztek narodowolców wykluwali się eserzy. Wreszcie w ostatnim zamachu narodowolców Łukasiewicz, potomek profesora uniwersytetu wileńskiego i sam w przyszłości profesor wskrzeszonej wszechnicy Stefana Batorego, brał czynny udział i za to przesiedział lat kilkanaście w Szlisserburgu, a pociągnął za sobą do ciężkich robót Bronisława Piłsudskiego i Paszkowskiego (Nie wspominał o Piękarskim i paru innych, którzy tkwili w „Narodnej Woli” w jej ognisku, lecz chłonili się od wpadnięcia w łapy żandarmerii).

Zatrzymałem się nieco przydłużej nad „Narodną Wolą” z powodu tych sympatii, jakimi cieszyła się wśród młodzieży radykalnej polskiej. Zatrzymam się jeszcze nieco nad nią, lecz tylko o tyle, o ile stykałem się z nią bezpośrednio na gruncie warszawskim. Inne moje zetknięcia wychodzą poza obręb kraju naszego. Opowieść o nich nie dorzuciłaby nic nowego do działalności osób, z którymi się stykałem. Ich działalność pełniej i szczegółowiej odtwarzają kroniki ruchu rewolucyjnego rosyjskiego.



ADAM OSTROWSKI

## HUGO KOŁŁATAJ I ŁAGODNA REWOLUCJA 1791 r.

Przyszło Kołłatajowi działać w epoce niezwykle burzliwej. Na dwu krańcach Europy, we Francji i w Polsce waliły się twierdze feudalizmu, ustępując pod naporem nowej klasy społecznej — mieszczaństwa. Jak zwykle bywa w takich przełomowych momentach dziejowych, tylko jednostki potężne, przerastające znacznie swych współczesnych, zdobywają się na zrozumienie wyjątkowej doniosłości chwili, oceniają trafnie nieunikniony kierunek rozwoju wypadków i stają na czele nowej klasy, ujawniającej „dojrzałość dziejową” do przejścia spadku po klasie odchodzącej z widowni historycznej.

Do takich właśnie jednostek — przewodników należał Hugo Kołłataj, chorąży mieszczaństwa polskiego, bojownik postępu i sprawiedliwości.

Kariera polityczna Kołłataja rozpoczyna się w roku 1785, kiedy znudzony rektorstwem i ciągłymi zatargami z akademią, — zwrócił się do króla, prosząc o jakiś urząd bliższy jego osobie, aby — jak pisze — „zgromadzenia naukowe widziały, jak łaskawy monarcha wynagradza zasługi”. Chodziło mu o urząd cywilny, chleba duchownego nie pragnął, miał już zresztą kilka tysięcy beneficjów, nie pełniąc nigdzie obowiązków duszpasterskich. Król — w podziękcie za dziesięcioletnią pracę na polu szkolnictwa — dał mu order św. Stanisława i urząd referendarza litewskiego. W rezultacie Kołłataj przenosi się do Warszawy, nawiązuje przez swego protektora prymasa Poniatowskiego stosunki z czołowymi osobistościami politycznymi, głównie Ignacym i Stanisławem Potockimi oraz Sewerynem i Kazimierzem Rzewuskimi. Na ich prośbę pisze „Do Stanisława Małachowskiego, referendarza koronnego Anonyma listów kilka”, dzieło czterotomowe, poświęcone zagadnieniu reformy ustroju w Polsce. Publikacja ta osiągnęła cel podwójny: jeden — zamierzony przez jej inicjatorów ze stronnictwa patriotycznego — zjednania Małachowskiego dla reprezentowanej przez nich orientacji politycznej i skłonienia go do przyjęcia stanowiska marszałka przyszłego sejmu (czteroletnie go), oraz drugi — którego pod uwagę nie brano — rozgłoszenie nazwiska młodego kanonika w ówczesnych kołach politycznych, zwrócenie uwagi na interesującego autora projektowanych reform. To pierwsze większe dzieło Kołłataja, pomijając bardzo piękną formę, nie odznaczało się zresztą niczym nadzwyczajnym i formułowało jedynie poglądy stronnictwa patriotycznego, a więc żądania trwałości sejmu, dziedziczności tronu, opieki dla chłopów, dopuszczenia mieszczan do władzy prawodawczej przez utworzenie osobnej izby itd. „Listy te trudno nazwać rewolucyjnymi, nie wskazywały one jeszcze na przyszłego „Robespiera polskiego”, świadczyły jedynie, że autor pozostaje pod wpływem doktryn polityczno-społecznych Zachodu, głównie J. J. Rousseau i filozofów angielskich, ale równocześnie nie jest ślepym doktrynerem, zdaje sobie sprawę ze specjalnych warunków polskich, z istniejącego układu sił klasowych i dlatego ogranicza się do wysuwania żądań mających szanse realizacji. Ten realizm Kołłataja, cechujący go przez całe życie, trafnie scharakteryzowano: „Kołłataj bowiem należał do rzędu nie tych ludzi, którzy wybiegają za nadto daleko przed swoim narodem..., lecz do tych, którzy nie oddalają się bardzo od swego narodu, lecz idą ciągle pro-

dem i ciągle naprzód” (B. Limanowski, „Historia ruchu społecznego w drugiej połowie XVIII stulecia”, s. 281).

Zyczliwość okazana w „Listach Anonyma” dla sprawy miejskiej zbliżyła Kołłataja rychło do wybitniejszych przywódców mieszczaństwa, głównie do ówczesnego prezydenta Starej Warszawy Dekerta, adwokatów Barssa i Mędrzyckiego i in. Następuje szereg rozmów, intymnych posiedzeń, w czasie których prawdopodobnie dojrzewa w księdzu — referendarzu myśl śmiała, obca niewątpliwie jego arystokratycznym protektorom, myśl rewolucji mieszczańskiej i obalenia istniejącego ustroju choćby siłą oraz ujęcia władzy przez „stan trzeci”. Ze ambicje osobiste grały w tych zamierzeniach dużą rolę, o tym nie można wątpić, zważywszy, iż już w owym czasie Kołłataj zarówno przez przyjaciół, jak i przez wrogów uważany był za najwybitniejszy umysł między współczesnymi, a i sam bezwzględnie podzielał to mniemanie. Niektórzy ze współczesnych mu zdawali sobie sprawę z tych dalekosiężnych planów, o czym świadczy np. uwaga jednego z obserwatorów sejmu czteroletniego, że Kołłataj miał zamiar nadania przewagi stanowi miejskiemu, „na którym oparty, wzbicie się mógł w coraz większe znaczenie, dalej kierować wyłącznie całego sejmu obradami, chociażby w następstwie czasu mieć i motłoch w odwodzie. Widoki bowiem jego daleko, daleko poza obecną chwilę sięgały”. (M. Czacki, „Wspomnienia z r. 1788 po 1792”).

Rezultatem tego zbliżenia Kołłataja do mieszczan była wzmoczona działalność propagandowa zarówno jego samego, jak i grona jego najbliższych współpracowników ze sławnej „Kuźnicy” i siostrzanego „Klubu radziwiłłowskiego”. „Kuźnicą” zwano skupiające się w domu Kołłataja na Solcu (w tzw. „pasztecii”) grono jego najbliższych współpracowników, ośrodek myśli radykalnej tego okresu, skąd dwunastu „apostolów” kołłatajowych na wszelki możliwy sposób, drogą bezpośrednich rozmów, rozpraw naukowych, pamfletów, powieści, a nawet paszkwilów, roznosiło w świat zarazki „jakobinizmu”. Blisko Kuźnicy stał klub (jak wówczas mówiono „klop”) w pałacu radziwiłłowskim, „siedlisko wszelkich i najgorszych nawet nowości” — jak się wyraża jeden ze współczesnych — gdzie szersze już grono osób, dochodzące do 80, rozprawiało z zapałem o aktualnych problemach politycznych i społecznych, rzucając hasła, godzące już nie w przywileje nawet, lecz wręcz w samo istnienie klasy szlacheckiej. O klimacie w klubie świadczy np. dostatecznie fakt, że kanonik (jeszcze jeden!) Franciszek Salezy Jezierski, doskonały satyryk i pamfletista, w owym czasie prawa ręka Kołłataja, zwykł był kończyć swe oracje zwrotem: „Co było na górze, będzie na dole — a co było na dole, będzie na górze”. Tenże sam Jezierski przełożył na język polski głośną broszurę Sieyesa: „Qu'est ce que le thiers état?”, uzupełniając ją swymi uwagami.

Poglądy Kołłataja i będących jego tubą członków klubu, oddaje doskonale jedna z licznych, gryzących ironią broszur Jezierskiego pt. „Katechizm o tajemnicach Rządu Polskiego”. Oto kilka wyjątków: „Mieszczanin... nie jest zupełnym człowiekiem, lecz pośredniczym jestestwem między człowiekiem — Szlachcicem, a nieczłowiekiem — chłopem... Co do majątku, wygod-



zycia, edukacji, jest ze wszystkim jak Szlachcic, i Szlachcic się nie różni od niego w tej mierze tylko Orderami, Herbami i Mundurami Wojewódzkimi, nawet Szlachcic kłania mu się, potrzebując pieniędzy pożyczyc... z drugiej strony, „...mieszczanin zbliża się podobieństwem do chłopu” nie może bowiem posiadać „wszystkich władz ozdabiających naturę człowieka... Nie może dostąpić pewnych stopniów powołania w religii, bo mu prawo zakazuje być Opatem zakonnym i Biskupem dyecezyi; nie może mieć cnoty męstwa, bo jemu nie wolno być Officerem; nie może radzić swojej Ojczyźnie, nie może być gospodarzem rolniczym, bo mu zakazane dziedzictwo ziemi... Miasta składają się z nazwisków swoich i z gruzów, a mieszkańcy ich są okryci zaszczytami praw dawnych, pogardą ustawiczną od Szlachty i uciskiem od Starostów... Szlachcic ma nad sobą prawo, które sam stanowi i którego nie słucha... Stan Szlachecki nakazuje podatki, — wypłaca zaś ich Chłop, Mieszczanin, Żyd i Xiądz”. „Katechizm” kończy się słowami: „Wierzę i wyznaję wolność stanu Szlacheckiego w Polsce, stworzycielkę nierządu, ucisku, ohydy, która wyzuła chłopów z Prawa człowieka, a Mieszczanina z prawa Obywatela; z której się potęgowało możnowładztwo Panów, wyrządzające niezgodę, podłość i podział Szlachty na partie, idące za duchem szalbierstwa i zuchwalstwa możnych...”

Reakcja nie pozostawała oczywiście „Kuźnicy” i klubowi dłużna, odpowiadała tą samą bronią, stąd potop wszelakich pism, broszur, wierszy itp. podnoszących temperaturę umysłów obu stron.

W tej atmosferze podniecenia odbył się w listopadzie 1789 r. z inicjatywy Kołłątaja, a na wezwanie Dekerta, zjazd 269 przedstawicieli ze 141 miast królewskich. Z większych brakło jedynie arcybiskupa Krakowa, który widząc w tej imprezie rękę Kołłątaja, obawiał się przyłączyć do akcji, mającej charakter pewnego rodzaju spisku. Pamiętamy przecież zatargi Kołłątaja z kapitułą i akademią krakowską, kiedy to Kołłątaj „obruszył na siebie większą część praatatów, a wiele znacznych osób po mieście, którym Akademia matką była (a zgrzybiałe jej profesory relikwiami świętymi” (L. Łętowski, „Katalog” III, 149).

Ten liczny zjazd mieszczan wywołał panikę wśród rządzących magnatów i biskupów: widmo rewolucji staowało się coraz wyraźniejsze. Paryż był zresztą na ustach wszystkich. Rozgrywały się sceny zupełnie analogiczne do tych, które poprzedziły wybuch rewolucji we Francji. Charakterystyczny epizod przytacza np. Stanisław August w swych pamiętnikach (cytuje za W. Kalinką „Sejm czteroletni”, I, s. 651): żona prezydenta Warszawy, Dekerta, bawiąc w teatrze została przez księcia Sapiehę zmuszona bezprawnie do odstąpienia połowy swej łoży dla jego faworytek; gdy butny marszałek litewski posłał stolarzy aby zrobili w abonowanej przez nią łoży przedział dla jego metres, Dekertowa rzekła zniecierpliwiona: „Niechby ks. Sapieha pamiętał, co się w Paryżu dzieje!” To odezwanie się przestraszyło magnata do tego stopnia, że gdy Dekert w czasie zjazdu urządził na ratuszu iluminację, dał się tam zaprowadzić i bardzo nisko mu się kłaniał, tłumacząc swym bliskim, że czyni to, gdyż „nie chce wiecieć”!

Powszechnie oczekiwano wybuchu rewolucji na dzień 25 listopada, w rocznicę koronacji królewskiej. Jeden nawet z magnatów cały wieczór w tym dniu przesiedział z pistoletami nabitymi na stole.

Skończyło się jednak tymczasem na memoriale, zredagowanym całkowicie przez Kołłątaja „w tonie gór-

nym i... w którym czuć było powiew z nad Sekwany” — jak zauważa reakcyjny historyk W. Kalinka („Sejm czteroletni”, I s. 652). Memoriał ten został wręczony 2 grudnia królowi i marszałkowi sejmu przez reprezentację miast. Owa „czarna procesja” mieszczan, którzy w 50-ciu przeszło karetach, czarno ubrani, ze szpadami przy bokach, pojechali na zamek i tam milcząc wręczyli swe żądania, zrobiła na współczesnych ogromne wrażenie i odbiła się nawet głośnym echem za granicą. Tak np. markiz Lucchesini, poseł króla pruskiego, relacjonował swemu dworowi, że „gdyby ta klasa przyszła do udziału w administracji kraju, mogłoby to wielu mieszczan zagranicznych sprowadzić do Polski, a nadto przykład ten stałby się zaraźliwy dla państw sąsiednich” (cyt. za Kalinką, „Sejm czteroletni”, I, s. 660).

Memoriał, aczkolwiek sformułowany w mocnym stylu, żądał jedynie przywrócenia dawnych swobód stanu mieszczańskiego, jak prawa „neminem captivabimus”, wolności nabywania dóbr ziemskich, udziału w sejmie i głosu przy zawieraniu traktatów handlowych.

Gdy pierwsze wrażenie „procesji mieszczańskiej” minęło, zagrożona w swych przywilejach szlachta zaczęła szukać wyjścia z kłopotliwej sytuacji. Bardziej krewcy doradzali ukaranie zuchwałych „buntowników” („na autora spisku ścisłą inkwizycją i kary wyznaczyć” żądał w sejmie jeden z mówców), inni — sprytniejsi — radzili spacyfikować nastroje przez nobilitowanie czołowych przywódców mieszczańskich. Istotnie w ciągu dwu zaledwie miesięcy uszlachcono 422 mieszczan, co zresztą było intratnym przedsięwzięciem, gdyż każdy nobilitowany płacił 500 dukatów.

Wspomniany Jezierski przestrzegał mieszczan przed przyjmowaniem tego rodzaju machiavelowskich prezentów w spejalnej broszurze: „Głos na przedce do stanu miejskiego”.

Sejm radził przeszło rok nad wysuniętymi postulatami i dopiero zwycięstwo stronnictwa patriotycznego przy nowych wyborach w listopadzie 1790 roku, przede wszystkim wejście do sejmu posłów zbliżonych do „Kuźnicy” kołłątajowskiej popchnęło sprawę na właściwe tory. Między innymi został wówczas posłem sekretarz klubu radziwiłłowskiego Trębicki, który stał się łącznikiem między sejmem a „Kuźnicą”. Kołłątaj natomiast nigdy posłem nie był, a jednak stanowią — jak się ktoś wyraził — „największą siłę roboczą tego sejmu”. Wiadomo, że często pisał nawet mowy dla posłów, których używał do przeprowadzenia swoich planów. W tym czasie zresztą wedle opinii niechętnego „nowinkarzom” publicysty: „klub był sejmem nad sejmem; ani było w tem sekretności, że co było na klubie uchwalonem, stanie się na sejmie prawem” (Wolski, „Obrona Stanu Augusta”).

Ostatecznie 19 kwietnia 1791 r. uchwalono „prawo o miastach”, które spełniało prawie wszystkie wysunięte żądania, dając mieszczanom (królewskim tylko) nietykalność osobistą, wolność nabywania dóbr, dostęp do wszelkich urzędów, rang i godności, samorząd wewnętrzny, przedstawicielstwo przez plenipotentów w asesorii, komisjach skarbowych i policji oraz w sejmie, ale tylko w sprawach dotyczących miast i to z głosem doradczym. Ta ordynacja sejmowa spowodowała głębokie przeobrażenie ustrojowe Rzeczypospolitej szlacheckiej. Jak potem pisał Kołłątaj, różnica między mieszczanami a szlachtą po uchwaleniu ustawy kwietniowej odnosiła się „tylko do possessji, nie do osób: bo szlachcic, nie mający possessji ziemskiej, chociaż



wszystkie swobody miał zapewnione, nie mógł jednak być czynnym w Rzplitey; a mieszczanin, nabywający possessyi ziemskiej, nie mógł mieć sobie odmówionego szlachectwa i przez to samo stawał się czynnym" (Kołłataj, „O ustanowieniu i upadku konstytucji 3 Maja”, I, s. 243). Znaczenie polityczne pochodzić więc miało w przyszłości nie z urodzenia rycerskiego, ale z władania ziemią, a zatem z majątku, z bogactwa. W ten sposób szlachta w dawnym, feudalnym znaczeniu przestawała istnieć, przeobrażała się w klasę właścicieli ziemskich bez różnicy pochodzenia, słowem — ustrój feudalny przeobraził się w plutokratyczny.

Ordynacja kwietniowa zadowolila burżuazję całkowicie, zwłaszcza, że polechtano jej próżność w ten sposób, iż przywódcy większości sejmowej z Małachowskim na czele wpisali się na ratuszu warszawskim do księgi mieszczan. Spiritus movens całego dzieła Kołłataja, jak go w owym czasie nazywano „przyjaciół ludu” był specjalnie honorowany, a w łańcuchu zabaw i iluminacji urządzonych z okazji ustawy miejskiej nie omieszkało uroczystie święcić jego imienia wspaniałym balem, gdzie bratali się wszystkie stany, mieszczanie oblewali królowi suknie winem a wiwatom na cześć reformy nie było końca.

Tak zdawałoby się, że sprawa mieszczańska została już załatwiona w drodze ustępstwa ze strony klasy panującej na rzecz burżuazji miejskiej. Wbrew pozorom jednak uspokojenie umysłów było chwilowe i tyczyło jedynie patrycjatu miejskiego. Bardziej rewolucyjna, z plebejskich przeważnie elementów złożona część mieszczaństwa, miała niebawem, bo już w r. 1794, dojść do głosu, przyczem poważny udział w tym dziele rozbudzenia świadomości klasowej miał przypaść Kołłatajowi i jego wyznawcom politycznym. Bo trzeba wiedzieć, że popularność tych „jakobinów” wśród ludu warszawskiego, była bardzo duża; zasięg ich wpływów ujawnił się przy organizacji tego sui generis zamachu stanu, jakim było uchwalenie Konstytucji 3 Maja.

Rzecz miała się następująco: Obrady sejmu nad reformą ustroju przeciągały się i zachodziła obawa, że grożąca wojna uniemożliwi w ogóle naprawę Rzplitej. Wówczas w głowie Kołłataja zrodził się pomysł przygotowania potajemnego ustawy konstytucyjnej i narzucenia jej sejmowi w sposób całkowicie niepowszedni. Wykorzystano, przedłużającą się poświęteczną

nieobecność dużej ilości posłów ewentualnej opozycji (własnym polecono nie wyjeżdżać z Warszawy), przygotowano w toku obrad u Kołłataja tekst konstytucji, wtajemniczono i pozyskano dla sprawy króla, poczem wieczorem 2 maja w klubie radziwiłłowskim wobec licznie zgromadzonej publiczności wśród ogólnego aplauzu uchwalono historyczny tekst. Wtedy Kołłataj, chcąc uniemożliwić jakąkolwiek opozycję reakcyjnej części sejmu, postanowił zastraszyć ją „ulicą” i w tym celu w ciągu nocy przez swych zaufanych Konopkę i Dmochowskiego zmobilizował lud warszawski do asystowania przy uchwalaniu ustawy na sejmie. Wedle relacji niechętnego konstytucji, późniejszego sekretarza Targowicy, Tomaszewskiego, widok był niezwyčajny: „po przyległych Zamku ulicach snują się rozhukanego Pospólstwa kupy; dziedziniec napelniony uzbrojonym ludem, oczekującym niecierpliwie polskie go Katyliny skienienia. Izba Seymowa napelniona tłumem wszelkiego rodzaju Arbitrów, przeznaczone dla Posłów bez żadnego względu zasiadających miejsca, Duch Partyi, Duch Rewolucyi nad spokojney wolności umysłami się wznosi, grozi wetyrzeniem i ręką” („Dyzmy Bończy Tomaszewskiego nad konstytucyą i rewolucyą dnia 3 maja 1791 roku Uwagi”, s.10).

Ta doskonale przez Kołłataja przeprowadzona bezkrwawa rewolucja wzmogła jeszcze jego znaczenie, świadczyła bowiem nie tylko o jego zmyśle politycznym, ale i o tym, że plany jego mogą liczyć na poparcie przez rzesze mieszczaństwa. To też siła jego była tak znaczna, że król, który całe życie nie znosił Kołłataja i żywił przed nim ciągłą obawę, był zmuszony ulec naciskowi stronnictwa patriotycznego i — mimo silnej opozycji biskupów i reakcji magnackiej — dał mu tekę ministerialną, mianując go 17 maja 1791 r. podkanclerzym koronnym. Ta nominacja, powitana entuzjastycznie przez żywioły postępowe, wzmocniła zarazem stanowisko „jakobinów” na terenie sejmu.

W tym czasie klub w pałacu radziwiłłowskim przyjął nazwę „Klubu przyjaciół konstytucji 3 maja” i stał się największą siłą polityczną, radykalizował rządzące stronnictwo patriotyczne, coraz częściej i wyraźniej sławiąc rewolucję francuską, a zwłaszcza zwycięstwa owianej wspaniałym duchem armii rewolucyjnej nad obcą interwencją.

ZOFIA NAŁKOWSKA

## NOWE ŻĄDANIA

Literatura przed wojną znajdowała się na miejscu dość dalekim w hierarchii zainteresowań państwowych. Napróżno zjazdy literackie, zarządy literackich związków i stowarzyszeń, nawet Polska Akademia Literatury domagały się ukrócenia spekulacji wydawniczej, zasypującej rynek przekładami cudzoziemskiej powieści brukowej. Romans kryminalny przenikał szeroko między czytelników — jako tańszy i łatwy do spożycia — psując smak nowych warstw odbiorców i demoralizując stare.

Kilka głośniejszych nazwisk osiągało większe nakłady, ale książki pisarzy młodych wychodziły w dwóch lub jednym tysiącu egzemplarzy. Stało się zwyczajem, że pierwsza powieść nie przynosiła autorowi żadnego honorarium. Pisarze ratowali się załośnymi stypendiami, celowali do literackich nagród.

Wszelkie zabiegi o obrócenie tak zwanych dóbr materialnej ręki to jest znacznych dochodów, płynących z wydawnictw pisarzy dawno zmarłych, na korzyść popierania młodej twórczości literackiej były daremne.

Układ rzeczy sprzyjał twórczości mniej wartościowej. Książka tłumaczona była znacznie tańsza od oryginalnej, a małe, nie narażające na żadne ryzyko nakłady kompensowały się wysoką ceną egzemplarzy, co tymbardziej odgradzało pisarza od czytelnika. Ten stan rzeczy wytwarzał przygnębienie w świecie pisarskim. Zamiast znaleźć zrozumienie dla swych potrzeb, młodzi pisarze wysłuchiwali rad, że ich twórczość powinna być radosna i krzepiąca, że powinna zniżać się do maluczkich i umacniać ich na duchu.

Jedynym wyjściem wydawało się wówczas rozsze-



wienie sfery czytelników, zjednanie literaturze nowych rzesz odbiorców i uniezależnienie w ten sposób od polityki wydawniczej. Projekt nowej Ustawy Bibliotecznej i walka o „minimum oświaty szkolnej”, podjęta przez A. B. Dobrowolskiego, żywo interesowały pisarzy. Wojna przerwała daremną walkę o reformy, które nie znalazły zrozumienia u rządu ani dostatecznego poparcia w społeczeństwie.

Ludziom, którzy mają jeszcze w pamięci te niedawne sprawy, nie jedno w odezvaniach prasy dzisiejszej na tematy literackie może się wydawać niezrozumiałe.

Zamiast radości wobec otwartych przez reformę rolę i reorganizację szkolnictwa ogromnych perspektyw na zapotrzebowanie książki zarówno szkolnej, jak literackiej, w tonie artykułów krytycznych i polemik widać raczej powstały na skutek tych doniosłych przemian wyraźny kłopot i zamieszanie. Okazuje się bowiem, że tej literatury, teraz gdy będzie potrzebna, właśnie nie ma. Albo — o ile jest — jest nie taka, jaka być powinna.

Co do poezji mianowicie, to ta jest pō dawnemu awangardowa, a jaka ma być — nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że proza powieściowa — niezależnie od tego, jaka jest — powinna być wyłącznie realistyczna i dostępna. Powinna ponadto być związana z rzeczywistością, wynikać z nurtu życia współczesnego i stanowić jego artystyczny wyraz.

Na samym tedy progu nowej wolnej twórczości literaturze stawia się żądania, krępujące od nowa jej tak dotkliwie dotąd hamowany rozrost i ograniczające zakres jej możliwych odmian. Dlaczego? By nie stała się niedostępna nowym czytelnikom i przynosiła pożytek społeczny.

Ujawniona przez postulat pierwszy obawa wydaje się niedelikatna, zdradza bowiem zawnazawiając do wykształconych w nowoczesnej szkole świeżych warstw czytelników robotniczych i chłopskich. Jest też naszym nie umotywowana, opiera się na przesądzie, że robotnik i chłop zawsze pozostaną kimś o odrębnej wrażliwości, kimś nie pełnowartościowym, jako odbiorca sztuki.

Pisze się o nich, jak o dzieciach czy niedorozwiniętych, którzy nie przeczytają lub przeczytawszy i tak nie rozumieją. Tymczasem jest przeciwnie. Robotnicy i chłopi kupują gazety i mogą się z nich dowiedzieć, że oto wśród troski, sporów i zabiegów przygotowuje się dla nich specjalnie literatura „dostępna”, właściwa i pożyteczna.

A przecież wiemy, że zreformowanie szkolnictwa ma na celu to właśnie, by już pierwszej generacji nowoczesnego robotnika i chłopca udostępnić naukę i literaturę w ogóle, nie specjalnie *ad usum Delphini* dla nich spreparowaną. Że da każdemu z nich co więcej przywilej elementarny wolnego wyboru między literaturą, która rodzajowi jego zainteresowań odpowiada, a taką, która tych zainteresowań nie budzi. Podobnie jak każdy z nich, zapoznawszy się z różnymi gałęziami nauk w zakresie szkoły, jedną z nich będzie mógł obrać za przedmiot specjalizacji lub wyższych studiów, dla innych zachowując obojętność. Właśnie wolność wyboru jest tą najbardziej ludzką zdobyczą, najcenniejszym przywilejem samodzielności, której dotąd pozbawiony chłop i robotnik, skazany był na „wyjątki”, popularyzację, literaturę „ludową”, a zwłaszcza sztuki dla teatrzyków ludowych i robotniczych.

Troska o adaptowanie całej nowej twórczości do przypuszczalnego niedorozwoju tej pierwszej generacji, którą reforma szkolnictwa na ogólny poziom kultury wydzwignię, dowodzi niczym nie uzasadnionej

niewiary w zdolności i talenty, zamagazynowane w tej warstwie, przy innych sposobnościach uważanej przecież za „rezerwat sił żywotnych narodu”.

Wystarczy przypomnieć sobie, ilu mamy uczonych i pisarzy pochodzenia robotniczego i chłopskiego w pierwszej generacji, nie mówiąc o miłośnikach książek i sztuki w tej samej warstwie. Rzeczą znaną jest, że pisarze, pochodzący z ludu, nie tylko dają nam wysokie gatunki prozy, ale i najbardziej awangardową poezję. Nic więc nie uprawnia nas do mniemania, że w niedalekiej przyszłości nie znajdziemy wśród chłopów i robotników zastępu chłonnych i co najważniejsze zróżniczkowanych w swej wrażliwości czytelników.

Gdyby pisarze posłuchali stawianych im dziś przez krytykę wskazań, młoda generacja czytelników stałaby wobec literatury znormalizowanej, literatury „dla nich”, zdecydowanej poza nimi. Literatury pożytecznej. Byłaby to dla nich strata nie mniejsza, niż dla nas wszystkich, czytelników zwykłych, których przy tych projektach w ogóle nie bierze się w rachubę.

Nie idę tak daleko, by sądzić, jak Bertrand Russell, że literatura pożyteczna znaczy to samo, co literatura zła. Uważam, że może być dobra. Co więcej, wydaje mi się, że tylko dobra jest pożyteczna.

Ale oczekując po niej doraźnej pożyteczności praktycznej całkowicie jej nie doceniamy. Jej społeczna przydatność ma często inny zasięg, niż to możemy przewidzieć. Nauka nie przerywa swych eksperymentów z chwilą, gdy drogi ich zdają się zbaczać od linii bezpośrednich utylitarnych wskazań. Elektryczność długo była luksusowym przedmiotem badań bezinteresownych, rad — przypadkowym odkryciem na marginesie innych poszukiwań. Wykwintny żart filozoficznych powiastek Woltera zdawał się bawić dość niewinnie dobre towarzystwo, zanim doprowadził do Kultu Rozumu w katolickich świątyniach Francji. Ze *Słownika filozoficznego* widać też, jak głęboko Wolter był zgorzchniony wiadomością o warszawskim zamachu na Stanisława Augusta. Nie przeszkodziło mu to przecież stać się bezwiednym pośmiertnym inspiratorem wyroku na Ludwika Kapeta.

Do użytku szerokich mas czytelnicznych potrzebne są niewątpliwie książki, popularyzujące różne dziedziny wiedzy. Nikt jednak nie doradza, by wobec tego zaniechać pisania i publikowania dzieł, utrwalających zdobycze ścisłego naukowego doświadczenia, by przestać na wszystkim dostępnej ich wersji popularnej.

Zresztą potrzeba literatury dostępnej nie powstaje dopiero dzisiaj, gdy mówi się o niej w oczekiwaniu wielkich socjalnych przesunięć i wydzwignię. Głębsze zainteresowania umysłowe oraz głód bardziej złożonych wzruszeń estetycznych i przedtym — w sferze czytelników „inteligentnych” — nie były wcale powszechne. Jeżeli chodzi o statystykę, to w wykazach czytelnictwa Bibliotek Publicznych przed wojną zawsze amerykańska pisarka Dell, o której milczą jakiegokolwiek rozważania krytyczne, stała na miejscu pierwszym, dystansując o wiele punktów Orzeszkową i Prusa.

Chodzi tylko o to, by „popularna” nie znaczyło to samo, co w złym gatunku. Toteż trzeba pilnować, by o jej jakości i wyborze nie orzekała kalkulacja wydawnicza, tylko wzgląd na wartości literackie i ściśle z nimi związaną przydatność społeczną.

Podobnie jak plakat, oznajmiający o dacie i adresie uroczystości czy widowiska, istnieje obok twórczości malarskiej autentycznej, przejmując od niej sugestię do własnego estetycznego kodeksu, literatura do-



stępna, popularna musi mieć dobry poziom i — istniejąc obok literatury *tout court* — korzystać z jej formalnych osiągnięć. Nie powinna jednak wdzierać się na miejsce literatury tam, gdzie to jest społecznie szkodliwe, nie powinna zaprzeczać jej praw do rozwoju w kierunku form coraz doskonalszych i coraz innych, ani do włączania w zakres swej tematyki najtrudniejszych i najgłębszych zagadnień ludzkiego współżycia.

Nie pozwólmy sobie wmówić, że potrzeba bardziej złożonych wrażeń estetycznych i zdolność doznawania wrażeń intelektualnych jest snobizmem lub antyspołecznym uroszczeniem. Dążenie do osiągnięcia najwyższych swych możliwości twórczych nie tylko jest najcenniejszym przywilejem pisarza. Jest ponadto jego elementarnym społecznym obowiązkiem.

Należy tym bardziej o tym pamiętać, że — jakkolwiek z przykrością — musimy uznać, iż wzięta porównawczo w skali europejskiej, twórczość nasza była zawsze zapóźniona w rozwoju. Była też raczej skąpa w arcydzieła. Można niewątpliwie znaleźć dla tego wstydlwego zjawiska jakieś wytłumaczenie. Można je usprawiedliwić przez warunki geograficzne, historyczne i socjalne. Określony nimi ogólny charakter narodu odznacza się raczej wrażliwością emocjonalną, niż niepokojami intelektualnymi. Dlatego arcydziełem u nas są *Dziady*, *Faust* natomiast powstał gdzie indziej. Gdzie indziej też odkryto, że „*epoka nasza jest świadkiem tworzenia się intelektualnego albo naukowego uczucia*”.

Myslna u nas kredyt nie wielki, nazywa się „wybujalym intelektualizmem” i tolerowana jest tylko w

ściślych dyscyplinach naukowych. Podobnie też dobór słów, jedynie nadających się do wyrażenia danej treści, nazywa się stylem „wyszukanym”.

Ale jak w nauce badania, podjęte w luksusowych celach poznania, przynoszą nieraz nieoczekiwaną korzyść doraźną, ułatwiając nam życie codzienne lub przedłużając doczesne, podobnie literatura dla niewszystkich, zwana niezrozumiałą, nudną albo wariacką, przynosi niejednokrotnie pożytek — w odmiennej skali lub dalszej perspektywie. Podejmując problemy, nie roztrzęsione jeszcze w prasie codziennej, i dając im wyraz, najściślej przylegający do treści nie w cudzych gotowych kliszach, lecz w „wyszukanym” z trudem słowie — nieraz nam się przydaje w tak dla nas kłopotliwym wyścigu międzynarodowej kultury.

W Polsce, „*gdzie Energia jest 100, a Inteligencja jest 3 i to jeszcze w zupełnym lokajskim poniżeniu*”, wydaje się rzeczą ryzykowną z najbardziej nawet leżących na sercu względów obniżać poziom literatury, stwarzając dla jej rozwoju zewnętrzne otamowania, gdy zahamowań wewnętrznych jest aż nadto dosyć. Gdyby nawet gdzie indziej można sobie było pozwolić na „przewycięzanie” Prousta i Joyce'a, — to u nas, gdzie mieliśmy w zakresie literatury „intelektualnej” czy „wariackiej” zaledwie Witkiewicza, zaledwie Gombrowicza i Schulza, lekkomyślnością jest tak uparcie przekreślać te pozycje, zamiast je najstaranniej zinwentaryzować i nowymi edycjami utrwalić. By świadczyły przynajmniej, że nie opuściliśmy tej epoki, że możemy się jakimś do niej wkładem własnym i wybitnie oryginalnym wylegitymować.

**JERZY BOREJSZA**

## NIEUROJONA SUWERENNOŚĆ

### ŚWIADOMOŚĆ I RZECZYWISTOŚĆ

Niestety, najtrudniej zadekretować przemiany świadomości ludzkiej, tak, aby szły one w parze i równocześnie z przekształceniami rzeczywistości.

Mysł jednostek, a po tym klas postępowych wybiega nieraz naprzód, przoduje przemianom społecznym. Ale częstokroć głębokie przekształcenia socjalne, gospodarcze, polityczne szczególnie w okresie powojennym mają tak szybki i wartki potok, że świadomość całych grup społecznych pozostaje daleko w tyle za tymi przeobrażeniami, wólcząc się leniwie w ślad za nimi, a często przeciwstawiając się rzeczywistości, z uporem powtarzając przebrzmiałe pojęcia i hasła, przywracając w marzeniach nieodwracalne i niepowracalne karty dziejów. Między świadomością pozornie najbardziej do myślenia przeznaczoną inteligencji, a rzeczywistością, między słownictwem dnia powszedniego, a treścią tego dnia powstają nożyce szeroko rozwarte.

Druga wojna światowa zmyła we krwi z powierzchni Europy i wdeptała w ziemię całe pokolenie kulturalne. Szybkość myślicców, bombowców i samolotów transportowych przekreśliła granice. Walka o panowanie nad morzami ustępuje miejsca walce o podział nieba i panowanie linii lotniczych. Rozwój motoryzacji wymaga budowania autostrad, przecinających kraje i państwa. Kula ziemską zwęziła się, skurczyła i zeszcupiała. Czolgi i katusze zmieniły stare prawa wojny,

a w ostatnim japońskim akcie dramatu nad sumieniem ludzkości zawisła bomba atomowa. Pokolenia polityków staro-demokratycznego chowu obnażyły swą bezsilność i bezradność, układy sił społecznych, chociażby wskutek lat okupacji, uległy gruntownym zmianom, wola mas i dekretem naszych rządów dokonana została gruntowna reforma rolna w Europie środkowej, we wszystkich krajach, nie wyłączając Anglii, w naturalnej samoobronie przed nowym kryzysem kapitalistycznym jest pęd do uspołecznienia i upaństwowienia węzłowych gałęzi przemysłu, pęd do gospodarki planowej. Mit „nietykalnej” i „świętej” własności prywatnej, ostrzeżony przeszło wiek nasamprzód z kartaczy mistycyzmu saint-simonistów, a po tym z coraz ulepszających się i wzmacniających pozycji ogniowych socjalizmu, runął niczym wał atlantycki Hitlera. Odbiła się olbrzymia wędrówka i zbłątanie narodów po przez lagry i obozy pracy hitleryzmu — słowem: zaistniała zupełnie nowa, odmienna, żadną analogią historyczną nieporównywalna rzeczywistość.

I tę nową rzeczywistość dzieli często od nadbudowy ideologiczno-romantycznej przepaść. Słuchając potocznych dyskusji i to w kołach naszej inteligencji — odnosi się wrażenie, że oto odżyła owa obłąkana wiekańska staruszka, która uwierzyć nie chce, że Franciszek Józef nie żyje i eo ipso więcej nie panuje, i że już więcej nigdy jego cesarsko-królewska apostołska moc nie podpisze manifestu, że ludność podwładnych mu narodów dzieli się na płeć męską i żeńską.



Słownictwo potocznych dyskusji, sformułowania i frazeologia wystąpień publicznych obłądnie odbiegają od tego, co się dzieje w świecie realnym. Niektóre rozważania po drugiej wojnie światowej są jak gdyby żywcem przepisane z przemówień i artykułów po pierwszej wojnie światowej. Ciarki przechodzą po ciele. Zagroża nam ten sam zalew cikliwo-pacyfistycznej, słodkawo-usypiającej, walerianowo-mdłej sieczki słownej z melodramatu mieszczańskiego. Maluczko, maluczko a rozhisteryzowane stare panny płuć będą na groby poległych żołnierzy w imię wieczystego rozbrojenia wobec napastników. Staliśmy na Czerwonym Placu i spoglądaliśmy na wspaniałą marsz tej armii, która po tej najcięższej i najbardziej ofiarnej dla niej wojnie, pozostała nadal wyrazem potęgi swego kraju. I stojący obok, wielce szanowny cudzoziemski pacyfista odezwał się: „był to zawsze wrogiem militarysty; gdyby te olbrzymie wysiłki, które pochłonęły czołgi i artyleria obrócono na wychowanie ducha pokoju...” Z oparów takich oto frazesów jełopowaczny pacyfistycznej zrodził się bękart monachijski, a w jego rezultacie nasza klęska wrzesniowa. I gdyby nie te czerwone czołgi i armaty, naród cały zostałby przeniesiony na wschód od Uralu. Ale to nic i jak gdyby nigdy nic...

Jak gdyby nigdy nic, padają w świat długie przemówienia o wolności i niepodległości narodów, ze starej beczki krasomówczego zakłamania i Winstona Churchilla jeszcze roztkliwia się nad sprawą wolności wyborów i suwerenności krajów europejskich, ułatwiając robotę faszyzmu greckiego. Piszący te słowa, nie wtrącając się, rzecz jasna, do spraw wewnętrznych naszej potężnej sojuszniczki, ani jednej łzy nie uronił po klęsce Winstona Churchilla i ośmiela się twierdzić, że ta jego własna klęska jest — mimo pozorów paradoksu — drugim, mimowolnym i nader cennym wkładem Churchilla do dzieła wyrzucenia faszyzmu z Hiszpanii, Grecji czy nawet Włoch. Wielkość meża stanu mierzy się przede wszystkim postępowością celów i zamierzeń jego polityki i swoją klęskę zawdzięcza Churchill zrozumieniu przez naród angielski tego bezspornego faktu. Ale zestawcie styl jego przydługich przemówień z tym, co w imieniu Anglików oświadczył Cammingo na łamach „News Chronicle”:

„Jako Anglik odczuwam teraz tak samo głębokie przygnębienie, jakie odczuwałem w okresie Monachium... Niewątpliwie, nasi żołnierze walczą teraz przeciwko narodowi greckiemu...”

I zestawcie ostatnie przemówienie Churchilla z czołowym jego premierostwa z oświadczeniem „New Statesman and Nation”:

„Wojska angielskie wylądowały w Grecji nie dla celów wojennych, ale dla realizacji polityki, która polega na tym, aby zdławić grecki ruch oporu. My parzucamy Grecji premiera siłą angielskich bagnatów, — i, o ironio! pod ochroną tych bagnatów wysadzamy wojska hinduskie”.

Równocześnie jednak trwają w prasie konserwatywistów bok o bok długie tasiemce o umiłowaniu wolności i krótkie komunikaty o wypadkach w Grecji. Jak gdyby nigdy nic... Cóż to oznacza? Między spóźnioną świadomością i jej wyrazem słowno-propagandowym z jednej strony — a tą prawdziwą nową rzeczywistością istnieje przepaść. Nie ma automatycznej synchronizacji między zjawiskami z podłoża ekonomiczno-socjalnego, a nadbudową świadomościową. Karol Marx mówi o opóźnieniu świadomości na odcinku przesądów ideologicznych — nieraz o lat pięćdziesiąt. Fryderyk Engels

w swoich studiach literackich raz po raz wracał do haeglowskiej „wechselwirkung”, odwrotnego oddziaływania. Współzależność rzeczywistości i ideologii nie jest procesem prostym, jest zjawiskiem nader skomplikowanym i złożonym. Jeżeli myśl obozu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego wybiegła naprzód i przewidziała rodzaj wypadków w Polsce, a rzeczywistość tę myśl potwierdzała i dotąd potwierdza, nie oznacza to bynajmniej, aby ideologiczna atmosfera w jakiej żyje wielka część naszej inteligencji dorównała kroku wypadkom.

Stąd wynikają anachronizmy, przestarzałość i często naiwność współczesnej propagandy. Czym bo jest propaganda? Jest ona przekładem na język mas, na język codziennego życia pewnej ideologii. Propaganda — to rozmowa ideologa z masami, z narodem. Długoletnia propaganda — pożałuj Boże — ideologów sanacji, a po tym — pożałuj Boże — ideologów hitlerysty zdewaluowała, w oczach narodu pojęcie propagandy, jako takiej.

Dlatego przegrała propaganda Churchilla w Anglii, posiadająca tak wielki atut w ręku, jak osobę premiera zwycięskiego rządu. Dlatego przegrała, że były to słowa bez pokrycia ideologicznego, bez pokrycia rzeczywistości. Dlatego, że przeciętny obywatel Wielkiej Brytanii mógł konfrontować słowa o wolności z prawdą o zakazie reformy rolnej we Włoszech, z prawdą o źródłach władzy generała Franco, z prawdą o walce Grecji o swą niepodległość, a nade wszystko: z prawdą o sytuacji Anglii po wojnie.

Kiepskiej propagandy nie można zwalczyć ani mentorstwem, ani patetycznymi pouczeniami. Trzeba ją odnowić zoraniem ideologicznym wszystkich dotychczasowych pojęć na tle nowej rzeczywistości. Jeżeli propaganda jest rozmową ideologa z masami — jest rzeczą jasną, — że ta ideologia nowej rzeczywistości musi nową treść nadać starym słowom.

## SUWERENNOŚĆ POLITYCZNA

Gdzieś w małej mieścinie rumuńskiej toczyła się dyskusja między przybyszem z Polski a przebywającym tam od 5 lat politykiem, który czerpał wieści o Polsce ze źródeł londyńskich. Przebieg rozmowy był następujący:

— Podstawową sprawą dla nas wszystkich jest sprawa niepodległości Państwa Polskiego. Wy, lubliniacy zgodziliście się na odstąpienie Związkowi Radzieckiemu wielkich połaci naszego państwa na wschodzie. Prawda?

— Stuprocentowa prawda. Uczyniliśmy to w pełni władz umysłowych, nawet z premedytacją...

— A właśnie! Tereny wschodnie, o które trwały od wieków walki oręża polskiego, były zawsze ostoją niepodległości. Niech pan weźmie do ręki pierwszy lepszy podręcznik dla młodzieży; naród cały był wychowany w przekonaniu, że te części naszego kraju są integralną jego częścią. Prawda?

— Prawda, był wychowany w takim przekonaniu.

— Widzi pan, właśnie że tak. Przyzna więc pan, że obóz wasz, zrzekając się tych ziem, osłabił szanse naszej niepodległości...

— Wręcz odwrotnie. Wzmocnił suwerenność państwa naszego — stworzył nieodzowne warunki niepodległości...



— Sans blague!

— Proszę bo zastanowić się, czy sprawa granic dzisiaj oznacza to samo, co przed stu laty, lub pod koniec 18-go wieku, czy nawet to samo, co w 1918 roku? Wydaje się że nie. Proszę odpowiedzieć sobie, czy niepodległość i suwerenność państwa jako realne pojęcie w świecie realnego układu sił w r. 1945 jest tym samym co było na początku kształtowania się współczesnych państw narodowych? Wydaje się, że istnieją dwa pojęcia niepodległości: jedno, które Pan reprezentuje, to konglomerat odczuwanych, sentymentalnych i abstrak-

cyjnych pojęć, mechanicznie przeniesionych ze sposobu myślenia zeszlowiecznego, a drugie to niepodległość, jako pewien realny atrybut wolności narodu...

— Niepodległość — od czasu Kościuszki, po przez poezję Mickiewicza i Słowackiego, aż do Wyspiańskiego pozostaje jednym i tym samym: warunkami, w których naród posiada własny aparat polityczny, państwowy, pozwalający mu kierować według własnej woli całokształtem swego życia narodowego. I na tym polega proces kształtowania się państw narodowych po średniowieczu..

(c. d. n.)

ZDZISŁAW LIBERA

## ANTYSEMITYZM

W 29 numerze „Odrodzenia” Mieczysław Jastrun poruszył aktualne znów zagadnienie antysemityzmu w Polsce. Zdawało by się, że w nowych warunkach życia odbudowującego się Państwa sprawa ta zniknie z zasadniczej problematyki społecznej. Zarówno wymordowanie olbrzymiej większości Żydów, jak i zdyskredytowanie ideologii rasistowskiej, powinno, zdawało by się, zmienić postawę społeczeństwa wobec zagadnienia żydowskiego. Tymczasem okazuje się, że antysemityzm istnieje nadal, a niekiedy przybiera niepokojące objawy. Ogarnia on wprawdzie tylko część polskiego społeczeństwa, ale siła jego promieniuje i staje się siłą niszczącą.

Zagadnienie wymaga dokładnego i rzeczowego zbadania, wszechstronnego przedyskutowania. Antysemityzm jest zjawiskiem, które rozpatrywane być musi na płaszczyźnie dwóch nauk: socjologii i psychologii.

Od stuleci zamieszkujący w Polsce Żydzi tworzyli do końca XVIII w. zamknięte i odrębne środowisko obce pod każdym względem ogółowi narodu. Ogół społeczeństwa stykał się z Żydami za pośrednictwem karczmarzy i drobnych pośredników handlowych. Jedynie dwór królewski i magnaci miewali kontakty z uczonymi i wielkimi kupcami. Czasy wieku Oświecenia i początek XIX wieku sprawę żydowską wysunęły jako problem życia społeczno-politycznego. Rozpoczął się okres emancypacji i częściowej asymilacji Żydów polskich. Sprawa żydowska zajmowała wtedy co wybitniejsze umysły. W dyskusji, jaką się w związku z nią wytworzyła, zabierało głos wielu zarówno przeciwników jak i obrońców Żydów. Ciekawe, że antysemityzm charakteryzował poglądy kół zachowawczych, podczas gdy obrońcy Żydów rekrutowali się spośród środowisk narodowo-patriotycznych. Wyraźnym tego przykładem była polemika między Wincentym hr. Krześcińskim a Walerianem Łukasińskim. O ile Krześciński wyrażał powątpiewanie co do uobywatelniania Żydów i uważał, że nie są oni przywiązani do kraju, o tyle Łukasiński, jakkolwiek wytyka Żydom błędy i winy, stwierdza okropną nędzę mas żydowskich i odpowiedzialność całego społeczeństwa za „wzgardę, którą Żydom okazujemy, wziętą w najogólniejszym znaczeniu”. „Dopóki nie przestaniemy Żydom okazywać tej pogardy, dopóty nie spodziewajmy się, aby mogli stać się czym innym, jak dzisiaj”.

Łukasiński sądzi, że sprawa żydowska związana jest z ogólną reformą społeczną.

W połowie XIX wieku przenikać zaczęli Żydzi do miast, które w tym właśnie czasie zaczęły się w Polsce szczególnie rozwijać pod wpływem nowych warunków

gospodarczych. Żydzi współtworzyli nowoczesne mieszczactwo, zajmując się przede wszystkim kupiectwem i rzemiosłem. Z czasem zaczęli przenikać do tzw. wolnych zawodów, zasilając przede wszystkim stan lekarzy i adwokatów. Stosunek Polaków do Żydów w drugiej połowie XIX w. uległ rozmaitym zmianom. Powstanie styczniowe zbliżyło na pewien czas oba społeczeństwa dzięki patriotycznej postawie części polskiego żydostwa. Czasy powojenne wytworzyły z jednej strony silną grupę tzw. asymilatorów, z drugiej strony budzić się zaczęły nastroje antysemityczne. Pozytywizm wysunął znów zagadnienie żydowskie, które wyznawcy tego kierunku rozpatrywali w duchu humanitaryzmu i użyteczności społecznej. Domagano się oświecenia ciemnych warstw narodu żydowskiego i przygotowania ich do wspólnych form życia gospodarczego i kulturalnego. Orzeszkowa w znanej książce *O Żydach i kwestii żydowskiej* ubolewała nad brakiem wzajemnego zrozumienia i całkowitą nieznajomością życia Żydów w Polsce. Zdając sobie sprawę z winy obu społeczeństw nawoływała do zmiany postawy i głosiła potrzebę szerzenia oświaty, jako najważniejszego czynnika w dziedzinie emancypacji Żydów. Koniec XIX i początek XX wieku stanowił okres rozwoju ruchu socjalistycznego w Polsce. Zarówno w szeregach proletariatu Polskiej Partii Socjalistycznej jak Socjaldemokracji Litwy i Rusi znajdowali się Żydzi obok Polaków. Dla zorganizowanej i uświadomionej społecznie warstwy proletariackiej antysemityzm był zjawiskiem obcym i nieznanym. Na płaszczyźnie dążeń o wyzwolenie społeczne i narodowe, o wydzwignięcie gospodarcze proletariatu polski łączył się z żydowskim. Wprawdzie istniały pewne grupy żydowskich robotników, które zaznaczały swoją odrębność i prowadziły odrębną politykę wewnętrzną, co oddziaływało z kolei na niektóre środowiska polskie, na ogół jednak, jeżeli idzie o ruchy i hasła związków robotniczych, to manifestowały one solidarność wystąpień i jedność w tej dziedzinie. Proletariat rozumiał, że antysemityzm, to narzędzie w ręku wroga, które odwracać miało uwagę od rzeczy najważniejszych, od walki o wolność. Pogromy w Rosji carskiej, organizowane przez ciemne i reakcyjne koła, stanowiły właśnie cenny środek, który z jednej strony osłabiał siłę obozu postępowego, z drugiej zaś wytwarzał ferment w społeczeństwie nie dość jednolitym i zwartym. Właśnie w latach 1905 i 1906, w czasie wrzenia rewolucyjnego antysemityczne hasła i programy stają się głośniejsze, bo ułatwiają rządowi tłumienie rosnącego niezadowolenia. W tym czasie pojęcie „Żyda” zaczęło się różnicować. Był Polak pochodzenia żydowskiego, Polak wyznania mojż-



szowego i wreszcie Żyd. To rozróżnienie zrozumiałe bardziej dla Żydów, mniej było przekonywujące dla społeczeństwa polskiego, które nie rozróżniało tych subtelności i odcieleni. Oczywiście, i w umyśle Polaka rysowała się różnica między baronem Kronenbergiem i cadykiem z Góry Kalwarii, ale w świadomości przeciętnego obywatela zakres pojęcia „Żyd” obejmował zarówno „przechrzta”, „starozakonnego” i „chasyda”.

O ile ruchy postępowe, w pierwszym rządzie partii robotniczych wyraźnie manifestowały wolę współpracy i wspólną walkę o wolność, o tyle hasła antysemitckie wypisane były na sztandarach obozów małowieszczaniskich. Grał tu poważną rolę czynnik ekonomiczny, konkurencja w życiu gospodarczym, w którym Żydzi zaczęli zdobywać coraz większe znaczenie. W Polsce niepodległej nie zniknęły dawne antagonizmy. Obrona mniejszości narodowych, zagwarantowana przez Ligę Narodów, zaostrzała jeszcze niechęć w stosunku do Żydów. Przenikanie do rozmaitych komórek życia politycznego, społecznego i gospodarczego podniecało elementy antysemitckie do ostrzejszych wystąpień, które rzeczywiście z biegiem lat nabierały na sile. Od roku 1933 przyszła antysemityzmowi w sukurs propaganda hitlerowska, której wpływy ujawniły się w wielu dziedzinach życia. Teorie rasistowskie przenikać zaczęły do środowisk elity kulturalnej, a echa ideologii hitlerowskiej dostrzec można było nie tylko w prasie brukowej, ale także w rozmaitych czasopismach literackich i literacko-społecznych. Fakt udziału pewnej ilości Żydów w radykalnych ruchach społecznych każe widzieć w nich wrogów narodu i państwa; a popularny niegdyś zwrot „żydokomuna” świadczy o utożsamieniu radykalizmu społecznego z żydostwem.

Nasilenie antysemityzmu osiągnęło swój szczyt w latach 1937—1939, w okresie osławionych wybrków akademickich, uwieńczonych zarządzeniem ghetta ławkowego. Były to czasy eliminacji Żydów z wojska, z urzędów państwowych, kiedy zarówno „odżydzanie” wszelkiego rodzaju instytucji, jak też handlu i rzemiosła, stało się jednym z naczelných haseł wewnętrznego życia politycznego. Wśród takich to nastrojów i tendencji wybuchła wojna z Niemcami.

Aspekt psychologicznego ujęcia sprawy żydowskiej jest konsekwencją jej socjologicznego ujęcia. Pogardzani przez ogół społeczeństwa, odrębni w swej kulturze, trudniący się przeważnie handlem, wytworzyli Żydzi jako zbiorowisko specyficzne cechy. Miał pieniądza, który im towarzyszył w historii, co znowu związane było z naturą zajęcia, wytworzył pewną przedsiębiorczość i spryt, nierzadko oceniane ujemnie. Długoletni pobyt w ghetcie, w ciemności, w odosobnieniu od kultury zachodnio-europejskiej sprawił, że ludność żydowska w znacznym stopniu żyła jeszcze na poziomie prymitywu. Tradycje pogromów, głośne procesy Drajfusa i Bejlisa wytworzyły wobec Żydów atmosferę niezyczliwości i niechęci, która rosła w miarę antagonizmu ekonomicznego. Żargon o brzmieniu niemieckim pogłębiał jeszcze bardziej różnicę między dwoma żyjącymi obok siebie społeczeństwami. Utwierdzało się w społeczeństwie polskim przekonanie, podsycane przez celową propagandę, że Żydzi stanowią element obcy, niezyczliwie do Polaków usposobiony. Skłonność do uogólniania i zasada zbiorowej odpowiedzialności przekonania te rozpowszechniły. Nieufność w stosunku do Żydów przenoszono również na Polaków pochodzenia żydowskiego, bądź wyznania mojżeszowego, widząc w nich zamaskowanych wrogów narodu. Żeby dowieść swej polskości musiał obywatel pochodzenia żydowskiego ponieść większe aniżeli inni ofiary. Cechy, jakie się zwykło przypisywać Żydom,

a które wytworzyły warunki społeczne i gospodarcze, w jakich żyli w Polsce, wywarły wpływ na niezyczliwy stosunek do nich społeczeństwa polskiego.

Sześćoletnia okupacja niemiecka wysunęła sprawę żydowską jako narzędzie polityki na terenie Polski. Na temat likwidacji Żydów pisano już wiele w prasie konspiracyjnej jak i w prasie Polski odrodzonej. Odbywała się w sposób systematyczny, planowy, perfidny, straszliwie bestialski. Nowy Kurier Warszawski wraz z innymi gazetami wpajał ustawicznie w czytelników przekonanie o szkodliwości Żydów we wszystkich dziedzinach życia. Propaganda oparta na najniższych instynktach, wysuwała przy tym tezy nie nowe, bo kontynuowała pewne kierunki rodzimej myśli przedwojennej. Propaganda hitlerowska odwracała uwagę od spraw zasadniczych, dla narodu najżywniejszych. Ogół społeczeństwa polskiego był zaskoczony stworzeniem ghetta i jego formami zewnętrznymi. W czasie wojny wrażliwość uczuciowa tępieje. Człowiek dotknięty bezpośrednią stratą, czy zagrożeniem najbliższych, mniej myśli o ludziach dalszych, tym bardziej o tych, wobec których tyle się nagromadziło uprzedzeń.

Mало wyrobiony zmysł społeczno-polityczny nie dostrzegł konsekwencji dokonywanej zbrodni, pewne stopienie ogólnej możliwości uczuciowej nie doceniało może potworności ponurego zjawiska. A jednak kiedy wybuchło powstanie w ghetcie warszawskim, cała niemal prasa konspiracyjna z podziwem pisała o bohaterstwie Żydów. Organizacje polskie w miarę możliwości usiłowały pomóc walczącym. Poszczególne głosy ciemnoty i głupoty ludzkiej ginęły w atmosferze powagi i skupienia, jaka panowała w pamiętne dni kwietniowe w 1943 r. Nowe warunki w jakich się Polska odradza i nowe formy życia, w jakie staramy się wtłoczyć naszą rzeczywistość polityczną, społeczną i kulturalną, nakładają na wszystkich obowiązek zajęcia postawy wobec szerzących się objawów antysemityzmu. Społeczeństwo polskie odzwyczajało się od Żydów, społeczeństwo wychowywało się od lat na antysemitckiej propagandzie. Tęgo nawyku myślowego i uczuciowego spontanicznej niechęci nie można usunąć za pomocą ustawy przyznającej Żydom pełnię praw obywatelskich. Społeczeństwo trzeba zacząć dopiero wychowywać i to wychowywać na zasadach racjonalnych przesłanek prawdziwej demokracji. Kwestia żydowska taka, jaka była przed wojną przestała właściwie istnieć wskutek masowego wymordowania Żydów. Rola tych, co pozostali, nie wyrasta w żaden sposób do miary problemu w skali ogólnopolskiej. Idzie tylko o wytworzenie takich warunków życia, w których by wszyscy Żydzi oraz obywatele wyznania mojżeszowego i Polacy pochodzenia żydowskiego czuli się obywatelami w pełnym tego słowa znaczeniu. Idzie o umożliwienie im realizowania ich umiejętności, które obrócić mogą dla dobra kraju. Idzie o zasypanie otchłani nieporozumień i przesądów, zapomnienia dawnych zadrażeń i uprzedzeń w imię dobra powszechnego. Tytuł obywatela nakładać musi jednakowe prawa i obowiązki.

Umożliwienie Żydom pracy na roli, w przemyśle, na kolei będzie wyrazem planowej organizacji życia społecznego według zainteresowań i zdolności, a nie według pochodzenia i wyznania. Przedwojenne warunki, kiedy Żyd miał praktycznie zamknięty dostęp do szeregu zawodów, wskutek czego wytworzyło się zażydzenie innych zawodów, muszą pójść w zapomnienie. Rzadki w Polsce przykład Żyda-rolnika okazywał, że zdolny jest on i do pracy fizycznej na roli i potrafi zaskarbić sobie sympatię sąsiadów gospodarzy. Nie fałszywy mętł pieniądza, nie mistyka tchnący mętł męczeństwa przela-



mie mur dzielący dotąd oba społeczeństwa. Jedyne na realnych i konkretnych podstawach zbudowana organizacja życia gospodarczego i systematyczne rozumne wychowanie mogą wytepić antysemityzm jako szkodliwe zjawisko społeczne. Szkodliwość zjawiska polega nie tylko na tym, że budując nową Polskę unikać chcemy hańsł negatywnych i podnosimy z poniżenia zbrukany sztandar humanitaryzmu. Antysemityzm jest siłą deprawującą myśl i charakter. Odwraca uwagę od rzeczy najważniejszych, zasadniczych. Jako czynnik destrukcyjny osłabia prężność społeczeństwa w wypadku zagrożenia z zewnątrz. Istnieje pogląd, którego wyznawcy powiadają: zostawmy Żydów w handlu, przemyśle, ale chrońmy naszą kulturę duchową, dziedzinę sztuki i oświaty od nadmiernej ingerencji żydowskiej. Znowu wielkie nieporozumienie wynikające z przekonania o jakiejś nieuchwytniej obcości plemiennej i rasowej. Zapominają ci ludzie o Klacze, Askenazym czy Langem, że wymienię choćby trzech zasłużonych Polaków żydowskiego pochodzenia, którzy z kulturą polską sprzęgli się

w sposób oczywisty. A sprawa przynależności kulturalnej wymaga odrębnego studium. Żydom, którzy chcą opuścić Polskę, trzeba ułatwić emigrację. Ci, co czują się Polakami, niechaj nimi naprawdę będą i nie należy im stwarzać żadnych przeszkód. Obywatele Żydzi współmieszkańcy tej samej ziemi niechaj mają prawa faktyczne, nie — papierowe. Jak wiemy o licznych niepokój budzących objawach antysemityzmu, tak wiemy również o głosach żalu i rozgoryczenia ze strony Żydów, których spotyka niechętny i nieżyczliwy stosunek poszczególnych jednostek i grup. Pamięć o Żydach poległych za wolność Polski w szeregach wojska, w oddziałach partyzantów AK i AL, udział w sierpniowym powstaniu warszawskim, a wreszcie wspólny wysiłek nad odbudową kraju dopomogą do wzajemnego zbliżenia. Rozum i dobra wola zadadzą cios potężnej ciemnoty.

Jak przed sześciu laty pierwsza Polska podniosła oręż przeciw przemocy hitlerowskiego barbarzyństwa, tak niech teraz nowa polska demokracja zrealizuje na swej ziemi ideał braterstwa narodów.

**KAZIMIERZ WYKA**

## PO DWÓCH WOJNACH

*Dada reste dans le cadre européen des faibles c'est tout de même de la merde mais nous voulons dorénavant chier en couleurs diverses pour orner le jardin zoologique de tous les drapeaux des consulats.*

*Nous sommes directeurs de cirque et sifflons parmi les vents des foires parmi les couvents prostitutions theatres réalités sentiments restaurants HoHoHo BaugBaug.*

*Tristan Tzara*

I

W sposób całkowicie odmienny przedstawia się sytuacja artystyczna po pierwszej a po drugiej wojnie światowej. Ta różnica atmosfery, czy jak lubiano u nas pisywać tuż przed wojną, *dominandy chwilk*, szczególnie uderza w Polsce. O reszcie Europy trudno w tej chwili mówić, kiedy skazani jesteśmy tylko na wzmianki kronikarskie.

Rozwój artystyczny w Polsce prawie nigdy nie wydał nowych prądów i objawów w sposób samodzielny. Wszystkie nasze przemiany opóźniały się wobec ich rytmu na Zachodzie Europy, a rzadko kiedy po tym opóźnieniu powstawał twór naprawdę samoistny. Za takie prądy uważam tylko klasycyzm stanisławowski i pozytywizm warszawski, oraz w pewnej mierze realizm polityczny i historyzm krakowskiej szkoły. Jeszcze więcej sprawę komplikuje to, że jednak nie te prądy, za wyjątkiem powieści okresu pozytywizmu, wpłynęły na powstanie tradycyjnych polskich zadań wobec sztuki i nie one wydały dzieła o najwyższej wartości artystycznej. Poziomy normy artystycznej i normy rzeczywistej nigdy u nas nie szły w parze.

Tymczasem po pierwszej wojnie światowej nastąpił w Polsce niesłychany wybuch prądów, tendencji, postulatów artystycznych, postulatów niejednokrotnie ograniczonych do zadań, po których nie pojawiały się żadne dzieła, nawet w przybliżeniu odpowiadające zapowiedziom. Ekspresjonizm poznańskiego „Zdroju”, formizm krakowski Czyżewskiego, Winklera, futurizm Jasieńskiego, Młodożeńca, teoria czystej formy Witkiewicza, teoria wielości rzeczywistości Chwistka, kubizm malarski, rychtło konstrukttywizm pierwszej awan-

gardy poetyckiej krakowskiej, później echa dadaizmu i nadrealizmu — oto ten wyrój. Ci sami ludzie, zależnie od gatunku uprawianej sztuki, oddawali się innym pokusom eksperymentu: formista w malarstwie Czyżewski jest naiwnym dadaistą w poezji.

Działo się to z równym nasileniem w każdej gałęzi sztuki, działo się w niezwykłym pośpiechu, wśród ustawicznego likwidowania jednego izmu na rzecz drugiego. Pamiętamy zeszyt „Zwrotnicy” z listem pasterkim Marinettiego do redakcji, głoszącym, że pismo to jest „miejszem zamieszkiwanym przez boskość”. Na odwrócie listu Peiper artykułem „Futuryzm” ujawniał te niebezpieczeństwa prądu, które Marinettiego doprowadziły do Mussoliniego. Była to zaiste uczta bogów, pożerających się bez skrupułu i natychmiast, bo świadomych, że nowy bóg już czeka za progiem na intryzacje.

W Polsce sytuacja szkicowana przedstawia się tak, jak gdyby w wojennej klauzurze podchowane muzy nowości i eksperymentu, dotąd milczące, póki rywalizowały dzieła, zabrały wszystkie naraz głos, skoro tylko dzieła zamilkły. Od strony socjologiczno-literackiej sprawa wygląda tak, jak gdyby cały ten rozmach nowości był pieńszym ogniwem otwierającej się dopiero ewolucji artystycznej, jak gdyby on dopiero stanowił istotne zerwanie z mijającym impresjonizmem, symbolizmem, nastrojowością. W ten też sposób był odczuwany przez uczestników walki — przypominam chociażby głośny artykuł Przybosa przeciwko Kasprończowi „Chamuły poezji”. Jeden Irzykowski przeczuwał wiele, pomrukując na „plagiatory charakter przełomów literackich w Polsce”, ale i on stał zbyt blisko wydarzeń, by mógł dostrzec ich właściwą konstrukcję.

Stawiam bowiem tezę i jej udowodnieniu poświęcony będzie niniejszy artykuł, że podobne ujęcie jest błędne. Stałe opóźnianie się naszej ewolucji skrzyżowało się wówczas przypadkowo z czasem trwania pierwszej wojny światowej. Powstał stąd specjalnie polski błąd perspektywy. Sprawy, w całej Europie przynależne do przedwojnia roku 1914, u nas wypadły tuż po wojnie, skutkiem czego nieprawnie przywłasz-



ezyły sobie argument wynikały z przypadku: że nowa sztuka odpowiada nowej rzeczywistości powojennej i tak dalej.

A dzisiaj? Jeżeli pojawiają się nowości i eksperymenty, są całkowicie tradycyjne — te same co przed laty dwudziestu pięciu. Nie można tego przypisywać wyłącznie hermetycznemu pokrągowaniu Europy przez okupację faszystowskie. Te kraje wżary się w ciału Europy i długo jeszcze będą na nim widoczne, mimo to nie ich działanie spowodowało w Polsce dzisiejsze przesunięcie nacisku na niekorzystny eksperymentu i nowości. Po tamtej wojnie wystarczył jeden baktyl, nieraz bardziej przeczuciem przywitany, aniżeli istotną znajomością przejmowanego izmu, by wybuchła epidemia. Nastąpiło zatem zupełnie wyraźne przesunięcie dominacji od problemu nowości i eksperymentu ku — odbudowie i ciągłości.

Stało się tak zapewne, ponieważ po strasliwym doświadczeniu obecnej wojny właśnie w dziedzinie kultury, po bezpowrotnym zniszczeniu wartości stanowiących bez względu na to, który naród je tworzył, wspólny fundament kulturalny Europy, po takim niszczycielskim eksperymentacie, już nie stać naszej kultury na dalsze eksperymentatorstwo. Zbombardowanie katedry w Reims, spalenie biblioteki w Louvain było podczas tamtej wojny sygnałem wstrząsającym sumieniem kulturalnym świata, a jakież to są drobniaki w zestawieniu z niszczycielskim bilansem wojny obecnej. Brak atmosfery chętnego nowatorstwa należy ostatecznie przypisać temu, że dojrzelśmy, co znaczy naprawdę, kiedy wzorem Marinettiego „śpiewać miłość niebezpieczeństwa, energię i zuchwałość”. Dyskant tej syreny jest zdumiewająco podobny do chichoczącego dyskantów zrzucanych bomb.

Ponadto fakt, że w większości Europy wchodzi do kultury warstwy, dotąd drugorzędnie uczestniczące w jej tworzeniu i konsumpcji, fakt, że dzieje się to w chwili, kiedy masy te widzą, że kultura europejska posiadała ostatnio soki pożercze, zdolne strawić jej własne ściany, stawia przede wszystkim zagadnienie ciągłości, problem przekazania tego co godne pamięci w przeszłym dorobku, problem wreszcie wyboru pedagogicznego. Głośna przed kilkunastu laty, pesymistyczna i bezradna rzecz J. Ortegi y Gasset o „Buncie mas” nie straciłaby swojej bezradnej słuszności, gdyby ten problem nie został rozwiązany przez nasze pokolenie. Szczególną dotkliwość wobec szczególnego rozmiaru strat posiada on w Polsce. Stoimy wobec bardziej pustych niż gdzie indziej zasobów i bardziej wygłodniałych rzesz.

## II

Przypomnijmy fakty.

Pierwszy manifest futurystyczny Marinettiego ukazuje się w roku 1909. Do roku 1914 gotów jest cały pak manifestów. Picasso, kontynuując założenia sztuki Cézanne'a, będącej najczystszy odwróceniem od impresjonizmu, formułuje w swoim malarstwie zasadę kubizmu około 1907 roku. W dziesięć lat później, kiedy jego wpływ zaczyna docierać do Polski, Picasso już jest gdzie indziej, od kubizmu czystego przechodzi do form więcej monumentalnych. *Der blaue Reiter* Kandynskiego pochodzi z roku 1912. Pierwszy almanach futurystów rosyjskich (*Sadok Sudiej*) z roku 1909, w latach 1914 i 1915 ukazuje się *Pierwsze czasopismo futurystów rosyjskich*, Majakowski *Obłokiem w spodniach* debiutuje w roku 1915, Pasternak w 1914. Pierwszy manifest dadaistyczny Tristana Tzary (*Manifeste de monsieur antipiryné*) ogłoszony był w Zury-

chu w lipcu 1916 roku. Nawet w Stanach Zjednoczonych, podobne europejskiemu, odnowienie poezji jest wcześniejsze od przystąpienia USA do wojny.

Możnaby fakty pomnożyć, rzecz to zbędna, bo wywoda ich jest już dostatecznie jasna: tylko dzięki polskiemu opóźnialstwu wybuch eksperymentu małego i literackiego następuje po wojnie światowej. Wszędzie jest on *ostatnim ogniwem liberalnej ewolucji*, która wyłoniła z naturalizmu jego spadkobierców w impresjonizmie, nastroju, motywach symbolu i fin-de-siècle'u.

Jedynie manifest nadrealizmu André Breton'a jest późniejszy, lecz to założenia nie zbijają. Istnieją rośliny, które posiadając wszystkie korzenie, wypuszczają jeszcze dodatkowe i widoczne — wprost z pnia w glebę. To tylko freudyzm i psychoanaliza, których odpowiednikiem jest nadrealizm, były zbyt mało znane w okresie wyrażania się eksperymentów, by do nich sięgnąć.

Nie powinien ludzić, ale właśnie potwierdzać tęzę fakt, że w okresie tego fermentu w Polsce o nim głucho. Jak ostatnie ogniwo stylu symbolicznego nadeszła tu już przed rokiem 1914 odnowa klasycyzmu (najbardziej znamienity jest miesięcznik *Museion*), w stosunku zaś do własnych założeń symbolizmu jakiś wewnętrzny i przywiednięty pseudoklasycyzm, zjawisko paralelne do rosyjskiego akmeizmu. Nie ma czulszego barometru dokonujących się przemian, jak lektury bohaterów Zeromskiego, ich ustawiczne samouctwo według ostatniego wydania. Otóż wśród snobów artystycznych z *Zamieci* i *Nawracania Judasza*, książek, których akcja przypada akurat na lata omawiane, ktoś tam wprawdzie wspomina Sofficiego, ale absolutna cisza o którymkolwiek z gotowych już kierunków. W uczcie snobów pod koniec *Zamieci* występuje taka pani Horn, żona dziennikarza, „która do szafu, do ostatnich granic ekstazy uwielbiała wszystko, będące niejako na kadencji mody w muzyce, malarstwie, na scenie”. Zaraz powinny paść słowa: *cubistes, futuristes, passeistes*. Nie padną w Polsce aż po skończeniu wojny.

By wnioskować dalej, musimy wprowadzić pewien porządek w wiązkę nowatorstw. Jest to tym bardziej konieczne, że w zrozumieliśmy psychologicznie zapalę walki o nowość mieszano zasady, które ściśle biorąc wykluczają się wzajemnie. Na palcach policzysz teoretyków, umiających tak subtelnie i precyzyjnie, jak Peiper w *Zwrotnicy*, oddzielić swoją pozycję od sąciadów. Zasada, mimo namiętnych sporów, bliższa była temu, co uczyniła rosyjska grupa malarzy *Walec Karo*, zowiąc siebie kubo-futurystami, chociaż jest w tym terminie sprzeczność podobna, jak gdyby nazwał ktoś siebie konstru o i m p r e s j o n i s t a.

Sądzę, że ówczesny eksperyment artystyczny rozkłada się na trzy szlaki główne z ich ścieżkami pochodnymi: ekspresjonizm, formizm i futurizm. Duchowi i tendencjom stylu symbolicznego najbliższy jest ekspresjonizm, jako zasada prymatu treści wewnętrznych nad formą, zasada nieskrepowanego wyrazu dla nich. Właściwie każdy prąd irracjonalny i introspektywny u swojego dna musi być przesycony ekspresjonizmem. W tym sensie ekspresjonistyczny jest barok, jest romantyzm, ekspresjonistyczny był symbolizm. Późniejsi ekspresjonści, przeciwstawiając się dążnościom symbolicznym, właściwie przeciwstawiali się tylko pewnej tematyce symbolicznej, pewnemu typowi uczuć wówczas pielęgnowanych, ale nie naruszali samej zasady prymatu wyrazu nad konstrukcją. Dlatego to był możliwy patronat Przybyszewskiego nad po-



znańskim *Zdrojem* w imię nowo odkrywanego ekspresjonizmu, dlatego też nie było przesady, lecz dotarcie do wspólnego nurtu, kiedy Przybyszewski w Słowackim wskazywał praojca zjawiska.

To jednak powinowactwo, ukryte pod rzekomym przeciwieństwem, sprawiło, że ekspresjonizm okazał się najmniej płodny. Żywiony nadto ciężkostrawnymi wzorami niemieckimi, z natury swojej obcy Francuzom, tyle tylko że się zapisał na tablicy prądów. Za ścieżki, które wychodząc z jego szlaku, doprowadzają do samozniszczenia, do rozkładu na bzdurne atomy, uważam dadaizm i nadrealizm: zasadę „twórczego” belkotu i wiernej *écriture automatique*. Dadaizm jest dla sfery języka poetyckiego właściwie tym samym, czym jest nadrealizm dla sfery przeżywania wewnętrznego. Jeżeli dla dorównanego wyrazu (typowe założenie ekspresjonistyczne) brak pocie stów i dźwięków w istniejącym zasobie stów, ma on prawo tworzyć nie tylko słowa nowe, ale nawet same „dźwięki bezpojęciowe” (P. N. Miller). Niektóre z *Pastorałek* Czyżewskiego, *Śpiewanie* Tuwima, *Gidida*, *Dogida*, *Galczyńskiego*. Jakby ktoś usiłował orkiestrę symfoniczną zastąpić małą perkusją.

Dadaizm jest więc swoistym nadrealizmem samych stów, samych dźwięków, puszczaniem ich na taką samą łakę swobody automatycznej, na jaką ze swojej strony wypuszcza przeżycia zasada notowania automatycznego. Nadrealizm tak ujrany staje się dadaistycznym belkotem przeżyć, ich rozkładem na atomy, równoważnym jako symptom tamtemu rozkładowi stów. W postępowaniu zaś takim skrywa się założenie, że wyraz ma prawo sięgać tak daleko, aż zniweczy zupełnie ostatnie ślady form. Mamy tu obraz węża, pragnącego skóry zrzucić w nieskończoność, węża, który zapomniał, że ilość skór jest ograniczona.

Skończonym przeciwieństwem tej zasady są eksperymenty skupiające się wokół formizmu. Kubizm, konstruktywizm, sam formizm wreszcie jako zasada nadrzędna opierają się właśnie na przekonaniu, że ostoja dzieła sztuki jest zawsze forma. Pomijamy w tej chwili w jak przesadny i wysterczający poza właściwą rolę formy sposób formiści ratowali sprawę formy i konstrukcji. Chodzi o to tylko, że wszelkie typy eksperymentu, układające się w zasięgu formizmu, stanowią skończone przeciwieństwo żądań ekspresjonistycznych, a oczyszczanie pola po prądach ekspresjonistycznych dokonuje się zawsze na korzyść formy, a przez nią na korzyść — rzeczy. Przypominam doskonałe analizy niemieckiego estetyka Emila Ullitza w pracy *Ueberwindung des Ekpressionismus*.

Wszelkie typy formizmu nawracają bowiem do nieodcienionych dzisiaj, bo rozwodnionych przez stulecia, zasad równowagi klasycznej, które formułował Arystoteles. Pamięta się z jego „Poetyki” zazwyczaj, że sztuka naśladuje rzeczywistość i Arystoteles uchodzi za ojca wszelkiego realizmu. Ojcostwo przyznawane jest słusznie, ale mało kto pamięta, jak Arystoteles ujmie sprawę rzeczywistości i sztuki: *sztuka naśladuje rzeczywistość poprzez swoisty zespół form, które tylko w niej istnieją*. I dlatego, że tak powiada, u wszystkich twórców poetyki normatywnej aż do pseudoklasycyzmu, sprawy prawdy i naśladowania splatają się w sposób najściślejszy z zagadnieniem formy. *Naśladuje się formą*, stąd dbałość o przepis formalny. Formizm sprzed ćwierćwiecza odkładał na bok problem naśladowania, pozostawał jedynie przy kwestii formy, ale i tego wystarczy, by wskazać jak dalece jest on antyromantyczny, antyekspresjonistyczny, jak bardzo wiąże się

z innym wielkim wątkiem sztuki, któremu na imię: *prawda i forma, realizm i konstrukcja*. Po stronie konstrukcji, chociaż różnie pojmowanej, staje działalność programowa i poetycka Peipera i Przybosia i dlatego zapewne z całego peku ówczesnych nowatorów, ta jedna gałąź przetrwała w swojej aktualności.

Na tle tej wyraźnej antynomii wyrazu a konstrukcji futurizm jest właściwie obojakiem. Nie wiadomo, gdzie go przyporządkować. Jest ramą w pędzie, ale nie jest nawet drogowskazem w ruchu. Jedne argumenty i postulaty artystyczne są typu ekspresjonistycznego, inne zmierzają ku konstrukcji. Kiedy np. Marinetti zaleca onomatopieję, naśladowanie szmerów jako wielkiej wagi sposób poetycki, na jego postulat może się powołać dadaista, chociaż ten niczego nie pragnie naśladować. Kiedy zaś głosi wzajemną zależność przedmiotów i powiada np. „autobus wpada w domy obok których przejeżdża, a domy walą się na autobus i zlewają się z nim” — streszcza, prawdę mówiąc, lub raczej zapowiada, ulubioną konstrukcję Przybosia.

To obojactwo artystyczne, które na każdym kroku daje się wykrywać w postulatami futurystycznych, naprowadza na domysł, że widocznie w tym stanowisku idzie nie o zerwanie w imię czegoś, o konstrukcję w imię czegoś, lecz o zerwanie *wbrew, na przekór*. Naprowadza na domysł, że jest w tym stanowisku widocznie jakiś rozrachunek, któremu wszystko jedno jaki argument, byle był. Teoria Marinettiego do zdumienia przypomina słowa Mussoliniego: *„La coerenza è la barriera che divide l'uomo della sua libertà. Uno spirito libero non si sacrifica alla coerenza”* (Konsekwencja jest zapora, która oddziela człowieka od jego wolności. Wolny duch nie krępuje się konsekwencją). Dosyć? Dosyć — by wiedzieć dlaczego Marinetti u boku d'Annunzia kroczył na Riekę.

Przeciw komu to zerwanie w imię każdego argumentu? Posłuchajmy uważnie trzeciego hasła manifestu futuryzmu: *„Zważywszy, że dotąd literatura wielbiła zadumany bezruch, ekstazę i sen, my chcemy wielbić \*ruch agresywny, gorączkową bezsenność, krok gimnastyczny, skok niebezpieczny, bicie w twarz i uderzenie pięścią”*. *„Burzmy muzea”*. Te i podobne im paradoksalne wysoki rozumie się najczęściej w ten sposób, że to właśnie przeładowany historią i martwością zabytków grunt włoski wyhodował tak gwałtowny sprzeciw. Nie jest to tłumaczenie zupełnie się rozmiągające z prawdą, jest to wyjaśnienie częściowe. Grunt podobnych diatryb szerszy jest od muzeów włoskich, rozpościera się na całą Europę. Któż to głosił szczególnie zadumany bezruch, ekstazę i sen, czy pod maską odległego przeciwnika nie skrywa się przypadkiem ktoś znacznie bliższy?

Manifest Marinettiego jest gorączkową odpowiedzią na formy duchowe, które głosili symbolizm i dekady europejski, jest ostrą rozgrywką z nimi właśnie. Chcąc zrozumieć siłę tej przekornej pasji, która bicie w twarz podnosi do miary wartości, przeciwstawić jej trzeba takie dzieła, jak *A rebours* Huysmansa. Jeżeli u początku modernizmu europejskiego staje ta głośna książka, najjaśniej formułująca ideał hedonistycznego, kontemplatywnego i biernego używania, ideał zadumanego bezruchu na szczątkach całej dotychczasowej historii i kultury, to rozwiązanie jej problematyki nie zawiera się bynajmniej tam, gdzie przypuszczał Huysmans. Ten bowiem z aprobatą przyjmował zdanie Barbey d'Aureville, że po napisaniu takiej książki autor nie ma innego wyboru, jak lufa pistoletu, albo stopy krzyża — uległ złudzeniu, że wy-



brał stopy krzyża. Rozwiązaniem był protest młodego barbarzyńcy, który zawołał: dość przeznawania kultury, niech żyje zuchwałość, odwaga i bunt. Istnieją bowiem formy wysubielnienia a równocześnie eskostnia tego bizantyżizmu kultury, na które jest tylko ta rada, co na sieć pajęczą — potargać.

Obydwa te stanowiska są moralnie perwersyjne. U początku modernizmu staje perwersyjne i przewrotne używanie kultury, u jego kresu niemniej przewrotne jej „tworzenie”. Marinetti wie, że nie wystarczy kontemplować i używać, ale zapytany jak tworzyć, podaje receptę niemniej przewrotną co Huysmans. Nie tylko znużony dandys ze schyłku wieku, z jego organami smaku, w których z poszczególnej tuby spływa inny gatunek wódki, odpowiadający w smaku barwie odpowiedniego instrumentu muzycznego, nie tylko des Esseintes, siedzący przy klawiaturze takich organów, jest przewrotny i zgrywa się na nowy dreszcz. Rękawica bokserka zawieszona na antycznym posągu też jest tylko dreszczem i perwersją.

Tak więc siła i paradoksalność futurystycznego protestu wydaje się być uwarunkowana schyłkowymi formami modernizmu, a sama treść tego protestu, jego bezkierunkowy dynamizm, również posiada swoje korzenie w tej epoce. Treścią tą jest przeciwieństwo nietzscheanizm, tyle że pozbawiony zabarwienia metafizycznego, sprowadzony do poziomu sportu, walki i motoru. Futuryzm stanowi ostatnią konsekwencję nietzscheańskich marzeń o sile, konsekwencję dostosowaną do pojemności duchowej tych, którzy nigdy czytać nie będą *Zaratusztry*, ale u których miłość energii wyraża się najprościej: miłością do kierownicy w samochodzie, do hebla sterowego, do biegu na przelaj. Kto naprawdę kocha ruch agresywny, ten nie ma czasu, by o nim czytać manifesty i rozprawy.

Tak to futuryzm najbardziej ujawnia, że wybuch eksperymentu artystycznego był pewną formą rozgrywki wewnętrznej w obrębie modernizmu europejskiego, że zrozumiałą jest przede wszystkim jako gwałtowne szukanie wyjścia z impasu symbolizmu i biernej nastrojowości. Jest więc nie wnioskiem z wojny, lecz wnioskiem do wojny. Stanowi ostatnie ogniwo skończenia liberalnego i niekontrolowanego żądnych prawidła, prócz wewnętrznej konieczności artystycznej, żądnymi normami społecznymi nieograniczonego rozwoju, toczącego się od czasu rewolucji romantycznej. Jest ostatnim i błyskotliwym fajerwerkiem tej ewolucji. W formie próbnej stanęły do gry odwieczne problemy sztuki i grę taką rozegrano na niby, bo tylko w formie eksperymentu, doświadczenia przyspieszonego oraz skróconego o cały rzeczywisty podkład wszelkich doświadczeń sztuki.

Eksperyment jest brosią niebezpieczną. Czyżbyśmy uważali, że w ogóle nie ma dla niego miejsca w sztuce? Nic podobnego. Należy się przyjrzeć genezie psychologicznej eksperymentu, by zrozumieć dlaczego i w jakim miejscu nastąpiło wówczas jego przekrzywienie. Dążność do eksperymentu, szczególnie u młodego artysty, polega na tym, że silniej odczuwa on swoją odrębność, aniżeli panuje nad środkami, które by obiektywnie tę odrębność narzuciły. To poczucie odrębności, konieczność wyrazu własnego jest objawem zasadniczo dodatnim i zdrowym, jest samoobroną wchodzącego w życie organizmu przed rutyną organizmów już zamkniętych w swojej formule. I w tej sytuacji, jakże naturalnej w młodości, gdzie poczucie różnicy góruje nad opanowaniem środków, z pomocą przychodzi eksperyment. Jest on próbnym i przesad-

nym stosowaniem form, jest krojeniem ich na wyrost i w poprzek, w oczekiwaniu, że może przez próbę formy ta niemogąca się wyrazić odrębność znajdzie ujście. Dlatego eksperymenty tak łatwo się zmienia i odzuca za młodu, bo są przecież tylko funkcją. Dlatego w tym postępowaniu nie ma kłamstwa, póki... otóż to, istnieje pewne póki. Póki nie okaże się, czy odczuwana odrębność była istotna, czy też wmówiona; jeżeli była istotna, natrafiwszy na swoją przybliżoną formę, nie będzie dalej szukać. Jeżeli wmówiona, będzie szukać ciągle, bo to rzekomo — jeszcze nie zdołałem się wypowiedzieć. Eksperyment konieczny a eksperymentatorstwo złudne. Młodość tak przeciągnięta, gdy zbyt długo trwa, staje się zadziwiająco podobna do... zdziecinnienia.

Taka spóźniona młodość stanęła przed sztuką europejską około 1910 roku. Wiadomo, że najbardziej wykrętne i niebezpieczne bywają spóźnione wybuchy namiętności — zwłaszcza wmówionych. Sztuką europejską, od czasu kiedy wraz z resztkami pseudoklasycyzmu runęło przekonanie, że można być oryginalnym także w obrębie wzoru i normy, poczęła rządzić wiara, że można być oryginalnym tylko poza jakąkolwiek normą, lub wyłącznie w obrębie normy indywidualnie sobie nadanej. To jest młodość romantyczna, wybaczalna póki popierały ją wielkie osobowości twórcze. Ta młodość oryginalności absolutnej została na niby, w samej grze znaków i problemów, powtórzona i skończona u schyłku liberalnego rozwoju sztuki. W formie eksperymentu i nowości stanęły przed sztuką wszystkie jej odwieczne problemy wyrazu i konstrukcji, formy i prawdy. Ale to właśnie, że kształt eksperymentu pozwalał przechodzić do porządku dziennego nad pytaniem, czy podawane nakazy możliwe są do realizacji równoczesnej, odsłania podstawową słabość zjawiska.

Pierwsza wojna światowa ideologicznie i społecznie zakończyła się nierozegraną. Zwycięzcy niebardzo wiedzieli, po co wygrali, pokonani nie wiedzieli, dlaczego właściwie przegrali. Sytuacja istniejąca przed wybuchem wojny nie uległa na Zachodzie Europy wielkiej zmianie, w pewnym sensie nawet się pogłębiła przez to, że poległ najlepszy z młodych a ster ujęli znów starcy. Dlatego prądy wyłonione przed zawieruchą mogły się kontynuować po jej ucieszeniu. Tylko w krajach, które nie pozostały na pozycjach przedwojennych, okazało się rychło na prądzie najbardziej obojętnym, że nabiera on płci dopiero zależnie od treści i kierunków społecznych, które się z nim skojarzą: futuryzm włoski a futuryzm rosyjski! Futuryzm sam w sobie, jeśli nie wkroczyły elementy postępowe ideologicznie, był bezsilny wobec faszystowskiego wstępnictwa. Ba, podniecał go, nadawał mu złudę konieczności poprzez złudę dynamizmu i ruchu.

Takie rozszczepienie nie zarysowało się równie ostro w Polsce. W naszej nieruchawej atmosferze przy naszym braku samodzielnego niepokoju intelektualnego, każde poszukiwanie artystyczne stawało przeciwko bierności i tradycjonalizmowi, tak w ich sensie artystycznym, jak ideowym. I rozważania powyższe mogą się wydać krzywdzące, podczas gdy stanowią właśnie próbę sprawiedliwości.

### III

Po drugiej wojnie światowej na całą tę wielką przygodę artystyczną patrzymy jak na część tradycji, wobec której musimy zająć stanowisko, przyjąć lub odrzucić. Co jest w niej do przyjęcia? Nieaktualna jest przede wszystkim sama zasada eksperymentu. Związana była z hiperliberalnym, a nadto w tym sensie



skończenie schyłkowym etapem rozwoju, że uprawiającym równocześnie eksperymenty, wykluczające się w swojej zasadzie. W rzeczywistości społecznej, a nie w jej próżni, nie mogą zakwitać równocześnie postawy tak sprzeczne, jak te, które ujawniały się wówczas. Oceniać możemy wobec tego tylko treści tych postaw, o ile dadzą się wyodrębnić i traktować oddzielnie. Futuryzm z jego pochodnymi, ekspresjonizm z jego satelitami są w tym względzie dwójką najbardziej przegraną. Bełkot dynamiczny, czy bełkot irracjonalny, w który zwyrodniały te prądy, jest zjawiskiem, jakie dzisiaj najbardziej odpycha. Wspólny im ekshibicjonizm bezkierunkowych marzeń o potędze, czy ekshibicjonizm przeżyciowy, stają w sprzeczności z wszelkim ładem, bez którego nie ma sztuki trwałej.

Tylko tendencje formistyczne, chociażbyśmy nie akceptowali ich ówczesnego wyglądu, przechowują założenie słuszne, bez którego nie masz jakiegokolwiek odbudowy sztuki. Istnieją dwa bieguny sztuki: *rzeczywistość i forma*. Pierwszej nie stwarza artysta, drugą artysta posiadać musi, jeżeli nie chce, by rzeczywistość mu przeciekła przez palce. Nie muszę chyba dodawać, że pisząc w tym miejscu *forma*, nie mam na myśli biegania za coraz to inną formą. Mam tylko na myśli ten pewnik, który znały okresy najbardziej dbałe o prawdę, że nie ma prawdy w sztuce bez dbałości o jej instrument, o formę. Takie dziedzictwo po kierunkach konstruktywnych i formistycznych jest najbardziej płodne. Jeżeli np. najmłodszy do pewnych typów poezji awangardowej dorabiają jakiś ciałniutki i śmieszniutki normatywizm, nie jest to na pewno wina tych, co zajęli przed laty dwudziestu pięciu pozycje względnie najszlachetniejsze. Wina tych, co źle pojmują.

Naturalnie sama sprawa formy nie jest dzisiaj założeniem dostatecznym dla pełnej odbudowy sztuki. Jest jak orzeczenie, do którego musimy stworzyć podmiot. Orzeczenia bywają podobne w różnych okresach, podmioty historyczne inne, a wtedy zdanie całe brzmi odmiennie. W naszej sytuacji forma nie ma służyć eks-

perymentatorstwu. Ma służyć odbudowie pełnego sensu Arystotelesa: prawda poprzez formę. Klasycyzm i realizm nie są zjawiskami sprzecznymi. Przeciwnie — zawsze w historii kojarzyły się ze sobą. Jeżeli z naszej perspektywy pewna wierność rzeczywistości i pewna wierność normie zdają się być sobie dalekie, to dlatego, ponieważ jesteśmy zanurzeni w historii, ponieważ jedynym zakresem naszej twórczości nie są jakieś normy idealne, ale konkretny historyczny, podczas kiedy zanurzenia tego brakowało wówczas, kiedy klasycyzm i realizm kojarzyły się ze sobą. Kiedy wierzono w istnienie norm. Można do nich docierać, bynajmniej nie wpadając w idealizm.

Właśnie dlatego, że wkładamy pomiędzy nie człon trzeci, który jeszcze nie istniał, gdy te dwie tendencje chodziły ze sobą w parze, skojarzeniu klasycyzmu z realizmem, formy z prawdą, nie grozi martwość. Medium historii sprawia bowiem, że posiadamy podstawę orientacji, według której dokonywać możemy wyboru tradycji, oceny przydatności niedawnych postulatów. W tym świetle okazuje się, że postulaty zdawałoby się dalekie sobie, jak *prawda i forma* właśnie odpowiadają sobie, albowiem odpowiadają potrzebom sytuacji po drugiej wojnie światowej. Odbudowa sensu sztuki od strony rzeczywistości, odbudowa sensu sztuki od strony jej praw wewnętrznych. Odbudowa łączna postulatów Arystotelesa, równie aktualnego i prawdziwego, jak prawdziwy jest Homer.

Ruiny, wśród których stoimy po drugiej wojnie światowej, bardziej są ruinami złudzeń, niżeli rzeczy samych i wartości. Złudzenia dla klęski swojej wymagają zawsze ceny lichwiarskiej — zapłaciliśmy tę lichwę w zniszczeniach rzeczy. Ale za niedawne złudzenia eksperymentu w próżni, rozwoju na niby, takiej lichwy płacić nie chcemy. Likwidujemy je sami, oceniamy błędną podstawę ich interpretacji w Polsce, a jedynej zasadzie, którą przenieść można, *formie*, odpowiadamy — — —

*tak, ale nie dla gry.*

**ADOLF RUDNICKI**

## KARTA ZNALEZIONA POD MUREM STRACEN

Pamięci Karolinera Hattrehta — przyjaciela.

1.

Obchód żandarmów trwa. Pod moimi oknami zjawiają się co osiem, dziesięć minut. Zapowłada ich szorstki stuk butów, który po przejściu jeszcze się jakiś czas rozlega. Wiele domów w pobliżu zajmują SS i Wehrmacht. Od jesieni patrolują je bez przerwy. Narożniki wzmocnili bunkrami, które wyglądają jak kapliczki, pobliskie pola zryli gniazdami karabinów maszynowych: wszystko to przeciw frontowi, który się zbliża i przeciw miastu, gdy ono powstanie. Mieszkam w dzielnicy, która nie będąc niemiecką, posiada — obok Mokotowa i Cytadeli — najsilniejszą koncentrację jednostek wojskowych.

Jest styczniowa noc, właśnie minęła pora światła dla domów o numerach parzystych, w pokoju płonie karbidówka. Gdy Jan po nastaniu godziny policyjnej zamknie bramę, odczeka krótki czas i włączy światło na

nowo. Kontrolerzy z elektrowni weszcząc za zarobkiem, doszli wczoraj do pierwszej części naszej ulicy. Do nas nie przyjdą. Odstraszą ich żandarmi, którzy w ciemnościach strzelają z byle jakich przyczyn, nie robiąc różnic między przyjacielem a wrogiem: ujadanie karabinów stanowi ozdobę każdej nocy. Kontrolerzy służą Niemcom po to, by żyć, lecz nie po to, by stać się łupem ich nerwów.

Oto jak każdej nocy zaczyna się wyczekiwanie. Młodzi ludzie w śródmieściu nie rozbierają się do snu chcą być gotowi na wypadek najścia, które powtarzają się regularnie noc w noc, za każdym razem gdzie indziej, i spróbować ucieczki jeszcze w ostatniej chwili. Tu nie ma ucieczki, ucieczka jeży się od patroli. Gdyby przyszli, wzięliby mnie jak kota. W obecnej fazie — to śmierć. Egzekucje szaleją dniami i nocą i Niemcom potrzeba materiału.

Zimno wpędza żandarmów do bram, gdzie zgromadzeni w kilku rozmawiają. Słychać każde słowo.



pod które podkłada się muzyka z niedalekich koszar. Okna mego parterowego pokoju wychodzą na małą, ciasną uliczkę, która więzi wzrok i głos, jak kotlina ciepło. Za dnia gdy żandarmi przechodzą, ich żelazne kapelusze płyną nad zazdrościami jak żółwie. Przynagleni godziną policyjną wpadają do bramy ostatni mieszkańcy. Niemcy usuwają się grzecznie: *bitte, bitte*. Jeden z pamiętnikarzy stwierdza, że grzeczni byli również ci, którzy przyjeżdżali z Trebłinki do pokoi gościnnych na Żelaznej 103, do tak zwanego *Be-fehlsstelle*. Pewnego dnia zginął klucz. Niemiec nie miał gdzie spać, nie pozwolił jednak wyłamać zamka. *Wie so den, zamek psuć?* Na polach Trebłinki wałaly się wielowiekowe majątki. Trzy miliony dusz zmieniono tam, w nawóz. Ale co innego w Trebłince, a co innego na Żelaznej 103. Jan przeszedł długą klasztorną sień i zamknął bramę. Teraz skazany jestem na los. Przyjdą czy nie przyjdą?

## 2.

Zdawało nam się, że wróg wyczerpał swą pomysłowość w dziedzinie przemysłu śmierci, że mury w środku miasta stanowią granicę dla bestialstw pewnego rodzaju, których nie odważy się przerzucić. Jednakże pewnego dnia — było to zdaje się 16 października w godzinach popołudniowych — żandarmi pokazali się w dwóch falach na Madalińskiego. Pierwsi oczyścili i zamknęli ulicę. W drugiej fali widziano dwa wozy, jeden z plutonem egzekucyjnym ubranym na białe, następny ze skazańcami. Młode kobiety w sąsiednich domach zaczajone pod oknami patrzyły i patrzyły. Nie dały się ruszyć z miejsca domownikom, póki nie upadły zemdlone.

Z rana idących do pracy zatrzymał piskliwy głos w megafonach, który zapowiadał nadzwyczajną audycję o równej godzinie. Wólne chwile wypełniały foxtrotty i marsze. W specjalnym komunikacie generał SS i policji miasta Warszawy zawiadamiał o wczorajszej egzekucji i podał nazwiska dalszych osób, które podziela los poprzednich „Jeśli nie ustaną zamachy na osoby niemieckie, lub nieniemieckie pozostające na służbie niemieckiej, lub osoby państw związanych z Niemcami wziętami sojuszu wojennego”. Komunikat powtarzano co godzinę. Tłumy słuchały go wśród niemej ciszy. Na placach gdzie mieściły się głośniki, płakały kobiety. Obok nich stali mężczyźni z twarzami skamieniałymi z nienawiści. Mówić przy nich wydawało się profanacją.

Odtąd każdy dzień przynosi nowe straty. Chłopcy i dziewczęta, które z życia poznały tylko mrok konspiracji, giną razem ze starcami pod jednym murem. Wielu urodzonych w Wolnej Polsce rzeka życia zatrzymała na swym pierwszym brzegu, gdzie w ogniu i mgłę wszystko dopiero się zaczyna: ich to wróg tępi szczególnie zaciekłe. Po dwóch lub trzech dniach głośniki zamilkły. Teraz różowe afisze podają miastu dwie kondygnacje ofiar: rozstrzelanych i „mających być rozstrzelanymi na wypadek powtórzenia się zamachów z nakazu Moskwy i Londynu”.

Naród niemiecki słynie z tego, że każdą rzecz umie — w jej zakresie — udoskonalić. Po jednej z egzekucji na Pradze, gdzieś na końcu linii tramwajowej, ludzie opowiadali, że wywiezieni z wozów skazańcy strasznie się bronili, uciekali tak, że im plecy wystębowano garścią kul. W aktach straceń nie było wlec plynności i ład. Teraz jest już ład. Bierni i obojętni idą skazańcy pod mur. Na podwórzu Pawiaka zapychają im usta gipsem, poddają zastrzykom i pakują do

papierowych ubrań. Są już prawie martwi — tam, na Pawiaku. Już tam nawiedza ich myśl, która wśród zalewu wewnętrznego rozjaśnia ostatnie chwile umierających: że oto koniec. Do tej pory wróg robił to samo, lecz w ukryciu, za murami. Teraz wystąpił na widok powszechny, aby nam plunąć w twarz. Pisma podziemne tak to objaśniają w artykułach, które próbują być rozsądne. Obok widać wiersze, które nic wspólnego z rozsądkiem nie mają, które są tylko szlochom poruszonych serc.

Nie ma już w Warszawie ulic niezalanych krwią. Marszałkowska i Piękna, Puławska i Aleje Jerozolimskie, Chłodna i Leszno i dziesiątki innych. Również mosty stały się miejscem kaźni. Nie zostawiają zwłok. Zabierają je te same wozy, które je przywożą. Potem gumowymi wężami policjanci spfukują krew i kawałki mózgu. Pozostaje nagły mur, który dawał straconym ostatnie oparcie, i kamienie chodnika — ich ostatnie poduszki. Chodzi po nich wzrok, jak po najdroższym łonie.

Tłumy przychodziły na te puste, zatarte groby, ukwiecały je, paliły światła nad nimi, znajdowała się ręka księdza, co je poświęcała. Gdy na miejscach straceń zaczęły się łapanki, połączone ze strzelaniną akty hołdu wyskromniały, ale trwają nadal. Na Nowym Świecie między dwoma zdrowymi stol szczątek domu zburzonego we wrześniu, murek mniej więcej na wzrost człowieka. Trudno go nazwać frontowym, choć stol od ulicy — ruina. Ostatnio odbyło się tu kilka egzekucji. — Niemcy polubili ten zachwaszczony kąć w środku żywej ulicy. Po fakcie postawili jednego żandarma na rogu Ordynackiej, a na przeciwnym, na Wareckiej drugiego, którzy lustrowali przechodniów. Ale pod murkiem, pod samym jego środkiem, leżał wianuszek nieśmiertelników.

Niemoc ludzkich zwłok ukrzyżowanych niewidzialnie nad miastem, odkryła całą naszą nędzę również tym, którzy narzekając na Niemców, w duszy błogosławili ich. „Ludźmi pozostającymi na usługach Moskwy i Londynu” są wszyscy, nawet spekulanci i szmuglerze, którzy dotąd wierzyli, że wystarczy pewny ausweis i plik góralski aby żyć. Niemcy przeszli na ilość i każdy zmieści się na różowym afiszu. Rano z domów wychodzą tylko tacy, których chroni praca dla niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, albo tacy, w których wojna rozkołysała pasję do handlu w tym stopniu, że nie usiedzą. Nie przyćśnięci koniecznością czekają. Gdy około południa zaczynają wychodzić, posuwają się jak na froncie, kawaleczkami, od domu do domu, zasięgając języka u napotykanym. Pytani i nie pytani poczuwają się do obowiązku informować. Wszyscy należą do zwiadu. Wzmocnionej kaźni towarzyszy wzmocnione poczucie braterstwa. W takich chwilach to gorzko i ciężko dotknięte miasto staje się bliskie, jak matka.

## 3.

Dzisiaj z rana przywieźli księży pod kościół świętego Jakuba i wykończyli ich. Nade mną mieszka jubiler Orłowski. Jego 17-letni syn znalazł się na liście przyszłych ofiar. Całe miasto wie, że ojciec daje milion złotych za zwrócenie mu dziecka. Na krótko ten nowy odcień powszechnej tragedii zafrapował miasto, które wie również, że plutony egzekucyjne pracują sprawniej, niż drukarnie i że druga rubryka tak samo jak pierwsza, zawiera nazwiska trupów. Tak, ale gdy na afiszu zobaczy nazwisko syna, nie ma takiego ojca, który by nie zaczął „szukać dróg”.

Lomot w bramę. Na cóż przytaczać, co się wtedy



czuje? Żaden przyływ noony w tych czasach nie odbywa się bez trzepotania serca. Ta burza we krwi wywołuje potem tylko uśmiech. Był to ktoś ze spóźnionych lokatorów, posiadacz przepustki nocnej.

Przestałem nasłuchiwać. Chcę spać, ale jest coś jeszcze innego co męczy mnie niemniej od żandarmów. Wyskoczyłem z łóżka, podbiegłem do komody, wyciągnąłem stamtąd zeszyty, pisma i dwie książki. Rozrzuciłem to po stole, przysunąłem do łóżka, głowę włożyłem w poduszkę i długo, długo nie mogłem się zdecydować aby zająrzeć do zniesionych materiałów, aby się raz jeszcze przekonać naprawdę, bo może się mylę, może się jednak mylę i moja główna udręka nie ma uzasadnienia.

Jan nie włączył dziś światła, karbidówka płonie, żandarmi wielokrotnie przeszli i wrócili i znów przeszli, a ja wciąż leżę nieruchomy. Odwlekam chwilę sprawdzenia, która zada mi ból jałdowitszy i głębszy, niż Niemcy, ból który ostygnie dopiero pod murem znanej od dzieciństwa ulicy, zamkniętej z bliska zasiekami z żandarmskich pysków, Bergmannów i samochodów, a w dali niebem nasyconym zapachem wszystkiego co było, jak jabłko schowane w bieliźnie zapachem sadów. Potrzeba cudu aby wyjść cało z tej lawiny przypadków, z których każdy jest śmiertelny. Nie wierzę abym przeżył, jak się to powszechnie mówi. „Nie wierzę“ nie jest właściwym słowem. Ani wierzę, ani nie wierzę. Po tylu latach nieustającej śmierci nie myślę o niej. Przyjdzie jak kiedyś koniec wojny, jak naloł. Bakcył śmierci wyszedł z fazy młodości, nie podgryza już tylko myśl. Wszedł w okres rozkwitu, zmienił życie, zmienił nas.

Dwie książki, które leżą na stole — ja napisałem. I one to sączą we mnie jad, zrozumiały tylko dla wtajemniczonych. Boję się ich. Bywa, że jak głupiec chowam je do szafy pod stos innych, ale nawet ukryte sprawiają mi ból, jak widok domu, gdzie umarł ktoś drogi. Książki te, jak również szereg mniejszych utworów, napisałem i wydrukowałem na przestrzeni osiemnastu pięciu, sześciu lat przed wrześniem. Jednakowoż dopiero teraz widzę ich błędy, ich miażdżące mnie błędy. Wojna postarzała to co napisałem o tysiąc lat. Czytam siebie pełen zdumienia. Czytam w złości i dezaprobacie. Czytam i nie poznaję. Szczegóły dawniej rozdręgały, jak krople wody na naoliwionym torsie pływaka, zachowały coś co wzmacnia jedynie moją frytację. Od moich książek bije duszność papierów, porzuconych na strychach. Wojna już je spaliła, choć nie tknęła jeszcze ich materialnego kształtu. Refleks wielkich pożarów odebrał czytelność stronicom, zniekształcił je, jak pocisk wiązania mostu. Życie uszło z nich, jak ze stepu pod ugniotem czołgów. Moja sztuka wydaje mi się nędzna jak grób.

Nie rozumiem, nie poznaję człowieka, który to pisał. A wszyscy mówią, wszyscy zawsze powiedzą, że to ja. I coś, co budzi we mnie trudną do wyrażenia nienawiść, co uważam za swoją karykaturę, co urąga mi i nieklamany wstrętem do siebie przejmuję, właśnie to pozostanie po mnie, lecz śladu tej wielkiej, bezsilnej świadomości zdolnej, mój Boże, do czego zdolnej, tego się przecież nikt nie dowie! Więc pisać? Więc pisać na nowo? Ba, sztuka z tej nowej świadomości zrodzona wymaga lat, tak jak lat wymagało uchwycenie błędów. A tu naloty, a tu rewizje, a tu żandarmi pod oknem, egzekucje na ulicach, noce nad przepaścią i dnie nie inne — każda godzina tak jakby ostatnia! Już straciłem nadzieję... Morza uzasadnionej — jak mi

się kiedyś zdawało — wiary w siebie, więc tam właśnie dosychają; na tych zapomnianych, nigdy przez nikogo nieodwiedzanych cmentarzach literatury, gdzie trawa zarasta pogruchotane nagrobki o nazwiskach szarych, jak liczby? Więc te przesmutne cmentarze są dla takich właśnie jak ja? I kryją tyle ile sam przeżyłem górnych, szalonych, wspaniałych, nieba sięgających snów, których nie wzmocni, nie rozgrzeje słońce lata, nie utrwali, nie wyzłoci mądre słońce jesieni? Więc tak i tam się to skończy?

Nieśmiertelność? Nieśmiertelność nie syci i to nie jej utrata, jak wierzącego utrata życia wiecznego, gryzie. Z męczeństwem szukamy w sztuce tego, co tam być powinno wedle naszego najlepszego zrozumienia. W przednikim nie odkrywanej głębi duszy stawiamy sobie zadanie, które ścigamy do granic obłądzenia. A jak wygląda to „najlepsze zrozumienie“, jak wygląda „moje wewnętrzne zadanie“ wedle tych dwóch książek ze stołu? Kłeska w sztuce, jak kłeska w miłości, podważa całego człowieka. Nie wychodzi mi teraz z pamięci malarz Karwowski, który do pewnego ze swoich obrazów, malowanego w mozołach i cierpieniu, nabrał takiego wstrętu, że wśród nocy zerwał się i porzucił go w kawałki. Słyszałem o tym kilka lat temu, ale naprawdę tom usłyszał dopiero dzisiaj.

Nie rozumiem w swoich książkach ani ludzi, ani stylu, ani zagadnień. W swoich książkach? Cała generacja pisała w ten sposób. Literatura niepodległościowa i październik 1939 obudziła się starsza o sto lat. Ktoś niedawno mówił mi, że znajomy nasz P. jest malarzem o klasie Rafaela, tylko w przeciwieństwie do Rafaela żyje w wieku niemalarskim. Potrzeba więc szczęścia i do wieku w którym się żyje? Tam na stole leży pewna drobna rzecz, opowiadanie. Jest martwe dzisiaj choć pamiętam, jakie wrażenie zrobiło na wszystkich gdy się ukazało. Więc wtajemniczeni wiedzą tyle, co profani? Więc oczy jednych i drugich deformowane są przez braki lub nadmiary swego czasu? Więc jedni i drudzy szukają w sztuce kompensaty i szukają jej zawsze, nawet wtedy, gdy im się wydaje, że jej nie szukają? I wszyscy jesteśmy ani powyżej ani poniżej, ale w środku pewnego czasu, a gdy on mija, wysycha tysiąc źródeł, które wzmacniały i puls sztuki. A gdy czas się zmienia, zamiera tysiąc dawnych źródeł, a odzywa się tysiąc nowych. Nowy czas zmienia nam oczy. I tymi nowymi oczami patrząc na dawne źródła, odnajdujemy jedne z nich, jak deszcz w czas suszy, inne zaś, jak powolną, okrutną i trzeźwą śmierć z głodu.

Pod oknem jeden z żandarmów mówi do drugiego: Za Luckiem, Peter, kończy się Europa i zaczyna równina, eine Ebene, eine glatte Ebene, und nichts als Ebene. Te słowa wgrzyzają się w noc, noc poczyna drgać bezkresem stepów, ścisnęły one, rzekłbyś ulicę, utonęło wśród nich miasto. — Wy, którzy wróciście do słowa przerwonego; wy, którym dana będzie szansa zwycięstwa, oddajcie hołd każdemu na miarę jego cierpienia. Wspomnijcie przyjaciół, którzy do tego, co powiedzieli, już nie dorzucą ani jednej litery, którzy dzieło swoje pozostawili niby zaczęty dom, gdzie nikt nigdy nie zamieszka. Wspomnijcie ich nocie rozpaczki nad książką, nad książką niedonoszoną, po której nie przyjdzie dojrzala. Wspomnijcie przyjaciół, gdyż tylko tyle jesteśmy wari, ile kochamy naszych zmarłych.

I nachyleni nad tymi drżącymi, bratnimi sercami, których słowo poczęte w muzyce, pozostało belkotem — zdrzyjcie!



## PIEŚŃ JAROSŁAWNY

Nie za siedmioma jest górami  
Ten jutro obiecany kraj,  
I przyszłość mieszka tuż przed nami,  
I już niewiele do niej staj.

Gdzie życie będzie ludzką rzeczą:  
Ogień i chleb i wody bieg,  
I komu dziś ojczyzny przeczają,  
Ten jutro będzie pił z jej rzek.

I kto przeżyje, ten zobaczy,  
Ze dzieje nie są jako targ,  
Ani jak wielki dom rozpaczy  
Pełen szaleństwa, krwi i skarg.

Nie za siedmioma jest górami  
Ten kraj, gdzie cichy pada śnieg —  
Powietrzem, wodą płynie śpiew,  
A w pieśni radość płynie łzami.

Tak Jarosławna na Putywlu  
Płacząca wzywa zbrojny step —  
Słyszę, jak śpiewa wieścią dziwną  
Ogień i wody nurt i chleb.

1943 r.

## WOJNA W STEPIE

Pod słońcem, jak olbrzymi skrzep,  
Gdzie czołgów zaciśnięte pięści  
Stalowe suną poprzez step,  
Gdzie się od huku ziemia trzęsie —

W Mongola skośnej twarzy, w żółtej  
Połudzie nieba, w płótnach szatr,  
W obłokach, jak kirgizkie jurty  
I w szumie, który ściga wiatr —

Gdzie niegdys Tatar z morza traw  
Napinał krzywy łuk w parowie,  
Gdzie złote banie lśniły traw  
Jak odrąbane kniaziów głowy,

Tam dziś najeżdźca czaszką twardą  
Bije o miast zburzonych gruz,  
W niebo zwalone, w ziemię startą  
Na proch dla jego martwych ust.

Bez ziemi, wody, bez powietrza:  
Strzep mięsa lub przelękły zbieg.  
Na wiek — uderza młot Zadnieprza,  
Granat rozrywa się — na wiek.

Umierający tu, przed zgonem,  
Poprzez gasnący źrenic blask  
Widzą na czołgach zapalone  
Czerwone światło ziemskich gwiazd.

1943 r.

## FRAGMENT ODNALEZIONY

Niedokonany jego czas; niedokończone dzieło!  
Tylko kilka tych liści zostało,  
Zapisanych pismem już mitycznym, bo to wszystko  
się z niego poczęło.  
Co już stygnie w naszych oczach w doskonałość.

Do budowy, którą znaleźliśmy do końca, budowy  
Od korzeni kolumn do kapiteli,  
Przybyła cegła, w obrotach jego gwałtownej mowy  
Wypalona, której już nie zdążył wcielić.

I nagle przez konar wykopanego z nicości płomienia  
Jego dom przeraża jak ruina,  
Co rozjaśnia historię, a nam w nocnych cieniach  
Prócz rozstania nic nie przypomina.

1938 r.

A jednak trzeba to powiedzieć dziś,  
Jak rzecz, którą się mówi po raz pierwszy:  
Najcięższą spośród wszystkich była myśl  
O śmierci.

Poezja zostawiła mi niejedną cieką,  
Niejedną miłość.  
Długo walczyłem, by wśród mrocznych brzmień  
Jedno czyste zalsniło.

A teraz jak zamieszkać ten milczący dom,  
Jego zimną pokoję?  
Jak moje dni, już niepodobne dniom,  
Z białą pustką oswoję?

Teraz mój śmiercią osaczony dom  
Pełen jest światła i chłodu;  
To uchylono porannym snem  
Drzwi do ogrodu.

1941 r.

## ZWYCIĘSTWO

Historii nie zagrzeję w dłoniach, ani w sercu  
Nie zmieszczę choćby jednej, zbyt wielkiej, godziny,  
I to, co powiem wiekom o Czasie Morderców,  
Mniej powie im, niż cegła z warszawskiej ruiny.

Spytaj brata twojego, przechodnia, człowieka,  
Odpowie Ci: „Kochałem tu jedną rzecz bliską,  
Nawet ojczyzna była mi nazbyt daleka,  
Niemcom zemstę przysiągłem, tym żyję, to wszystko”.

I mnie nie to dziś cieszy, że grozie bez granic  
Uszliśmy — lecz, że nigdy w tęsknocie tulaczey  
Nie będziesz w kraju obcym, w gniewie i rozpaczey  
Nosila wody wrogom, ani przedla dla nich.

W. lutym 1944 r.



TADEUSZ BREZA

## (2) MURY JERYCHA

(Ciąg dalszy)

Tu się popatrzył w okno. Domki pokurczone, zżynki pól, znowu zbiegowisko chałup, grupka chłopów chwilę postać patrząc na pociąg, aż się rozlaźla. Kozic patrzył na ludzi, bo co człowiek to człowiek. Tylko w nim siedzi ważność. Reszta świata to podmalowanie. Trochę tego więcej czy mniej, trochę tak, czy trochę inaczej — wszystko mi za jedno — powiedział Kozic. I nie kłamał. Za niczym w życiu się nie obejrzał, na niczym oczu nie zatrzymał, tylko na ludziach. Ubranie, niech będzie wygodne, samochód, niech wiezie, meble, obrazy, postawić czy powiesić, dobrze, ale czy jest się czemu przyglądać. Przecież się nie odwiesił! To samo książki. Nie żeby Kozic nigdy nie przeczytał. Z chęcią! Tylko komu potrzebne by o tym wciąż mówić. To czemu nie na temat pierwszego lepszego ludzkiego odbicia na wodzie. Spojrzysz, ciemnozielona twarz faluje. Jest. Odchodzisz, zabierasz co twoje, woda zabiera co było jej. I nie ma żadnego gadania. To co może być do powiedzenia o książkach? Dopiero jak się dwu ludzi spotka, świat się zaczyna. Reszta to jarzyny — śmiał się Kozic — człowiek to mięso. A wódka — zbijał go z tropu kolega — nic nie warta? Warta, przyznawał Kozic i z całą oczywistością stwierdzał — ale dopiero jak jej nalejesz w człowieka. I właśnie jemu wypadło być psem gończym za ludźmi, łapać ich do więzień czy na stryczek. Za co? Za bazgranie, po notesach, za druczki, za te wszystkie kombinacje pozbawione rzetelnego, ludzkiego istnienia. Gdyby sobie kiedy wspomniał na słowo — inkwizytor, siebie by ujrzał i potępił w tej nazwie. Taki się czepiał ludzi również za faramuszkę. Pewne, uchwytne, prawdziwe i żywe psu, niszczył, kaleczył dla spraw oderwanych. Kozic się złościł i smucił, że na głowę upadł. Ale robił co do niego należało, zęby zacinał i łapał. Łapał i łapał. Tych od Papary także, akurat takich samych niemądrych i upartych, powiadał, jak tamci z lewego kraja, tylko do tego wszystkiego leżących mu sami w ręce. Trochę ich było nadusić, a zaraz każdy sypał siebie i drugich. — Tak to głupstwo z człowieka wyłazi! — powiadał z ubolewaniem, nierad, że swoich zysków w tej partyjce o fraszki, granej zanadto poważnie.

Przyjrzał się znów Jelskiemu, który się na niego zagapił. — Też z tych, co to dla nich świat to papier — poddał się tej myśli ze złością. — Ale taka już jest teraz nasza ziemia — i tym ufagodzony zelżał w swej niechęci choć nie poweselał.

— Grzebać człowieka, no, ho, ho, ho, — sam do siebie się nad tym cudował, — to dzisiaj umieją. Ja właśnie w tym pracuję. Rzecz jest taka, panie, że obecnie przekonania rachuje się do spraw zakaźnych. Zatem podejście obowiązuje profilaktyczne, nie wolno czekać aż sprawa wybuchnie. Jak, panie, zarazek stwierdzony, już dzwonić po karetkę. Czasem dzwoni doktor, czasem ja. To zależy, od rodzaju choroby. No i podług choroby — karetka.

Pacyfista, przemknęło na początku przez głowę Jelskiemu, ale w miarę jak oficer mówił, na tyle się stało wyraźne o co tamtemu szło, że Jelski podejmując jego ton, zagadnął:

— I teraz pan chodzi głównie za jaką zarazą?

Lecz Kozic należał do ludzi, którzy z trudem utrzymują język za zębami, byle ich o nic nie napałować. Zapytany byłby więc zamilkł, gdyby się nie

utwierdził w pewności co do zawodu Jelskiego. Przekliwnością swoją musiał się pochwalić.

— Ja jestem — rzekł — kiper od komunistów, ale jak na mnie zaleci od kogo urzędnikiem to i ministerstwo mu rozpoznaj. — I zaśmiał się zachwycony sobą.

Jelski był coraz mniej. Ale im bardziej go wojskowy raził, tym karciała go mocniejsza chęć, aby z nim gadać. Tę ochotę zresztą zabarwiał lęk. Co też on o nim wie?

— Brawo — rzekł — teraz to pan trafił. Po czym to się nas poznaje?

A przez ten czas myślał: — Pewnie sobie mnie przypomniał, gdzieś w Warszawie widział, lecz trzeba mu podbić bębenka, że zgadł. — A Kozic wypowiadał charakterystykę.

— Panowie są we wszystkim prawie jak ktoś! W językach prawie jak cudzoziemcy, ubrani prawie na hrabiów, towarzysko wyrobieni prawie jak światowcy, umysłowo jak docenci, w koncepcjach politycznych jak mężowie stanu, ale prawie! Kiedy widzę kogoś, kto w każdej rzeczy jest prawie kimś, a w niczym nie jest całkowicie, stawiam, że to jest pana kolega i wygrywam.

— Albo, że to ja? — Jelski zażądał jeszcze potwierdzenia. Dla niego to przestały być żarty. Lecz Kozic, jak zawsze, cofał się przed pytaniami. Podłubał palcem w nosie. Popatrzył, otarł chustką.

— Et, lepiej, mówię panu, będzie się umyć — zdecydował w końcu. Nie wiadomo czy to miał być wybieg, żeby zmienić temat, czy wyrok na brud rąk. Po chwili dodał — Dobrze oczu człowiek nie przetał, a już bajdurzy — i powiedział to takim smutnym tonem, jak by chciał by go Jelski jeszcze pocieszał.

— Tymczasem wcale tego nie potrzebował. Dobrze mu robiło, ile razy mógł takim ministerialnym pankom przyciąć. Królewiczom, paziom, cherubinom państwowym, zamkniętym w rzeczywistości jak w reprezentacyjnej łoży, w arce przymierza, w miejscu świętym świętych.

Kozic nie był żadnym anarchistą. Rząd to rząd. Trudno inaczej. Niektórzy ministrowie nawet mu się podobali, ale co był cięty, to na ich młódź! Ta dobra, desygnowana do spadku, lekko nadążająca. Dech mu zapierało na myśl, co państwu z niej przyjdzie, Z królowania nijakich. Chrząstek i śluzu z nosa. Taka ich kość i krew!

Na Jelskim swoją miną zrobił wrażenie, że się cofa przestał więc się go strachać i patrząc nań wzrokiem jak na maluczkich, pomyślał: — głupi wał! Z tych co to są za krzepą i trzymaniem za mordę. Z tych, za którymi już się niebawem zamknie przeszłość, kiedy się wreszcie zakończy królowanie rzemieślników. A miejsce chłopskiego rozsądku weźmie myśl klarowna, zrównoważona i światła.

— Radcę Dykierta zna pan? — oficer postawił mu to pytanie rapiem i na pewniaka. Gdzieżby się tacy nie wzięli. Już można podpisać analizę. Jedna paczka!

Jelski przytaknął skwapliwie. — Czyż Dykiert nie świetny urzędnik! — W tym sporze, który tu szedł wzdłuż słów, czy nie był pysznym argumentem. Zdolny, zręczny, oddany swej pracy, z głową o szerszych horyzontach, doskonale przygotowany. A przed oczami Kozica stanęła kanciasta, zorana twarz, o tęym,



chłodnym wyrazie, o ustach mięsistych i zaciętych. To nie był radca Dykiert, to był jego brat. Jeszcze nie siedział. Ale to tylko kwestia czasu. Chroniło go jedynie nazwisko. Jakże w samym sercu Patrycjatu uznać, że wyrasta taki chwast. Byłaby to woda na młyn czerwonej propagandy! Tu się nie miało do czego bezpieczeństwa spieszyć. Może z czasem zmięknie młodzieniec. Może go rodzina gdzie wyśle. Przy jej pieniądzach niejedno się jeszcze zdolne stępić. Wolno poczekać. Kozic znał ten wypadek, choć nikt z defensywy za tym Dykiertem nie deptał. Otarł się o niego, to prawda, nawet nie tak całkiem bagatelnie. Podczas gorszej sprawy, grubej, bo sowieckiego wywiadu i dosyć dawnej, temu z pięć lat, przemknął po Dekiercie cień podejrzenia, że miewał z jednym podświadym spotkaniem, wspólny wyjazd, wymiany druków i książek, ot takie styczności. Innemu może by nie przepuszczono, dla przestrogi całego środowiska, ale z Dykiertem to inna rzecz! Można się było zadowolić jego wyjaśnieniem, że nie wierzy w tę prawdę, ale że tę nieprawdę chciał poznać u samego źródła. Sędzia śledczy zamierzał jeszcze od niego wytargować, by pomógł prokuratorowi na sprawie nieprawdę zdeptać. Wtedy się okazało, że choć innych uczuć może Dykiert jej nie słubował, jedno zapewnił i tego się trzymał, dyskrecję. Kurs w tej epoce nie był taki ostry na komunizm, ostatecznie to było dopuszczalne zachowanie, tak wziąć wodę w usta, na migi dając znać, że to rycerskość. Więc po przesłuchaniach Dykierta nie zatrzymano. Zwłaszcza, że sędzia pewnego rodzaju otepienie, które okazywał Dykiert, wziął po prostu za tępotę i zwątpił o zysku dla sprawy z podobnej jednostki. Kiedy śledztwo się zakończyło, przesłano akty panom z dwójki do wiadomości. Ktoś je tam przejrzał, natrafił na postać Dykierta; brulion aktu oskarżenia napomykał o nim, że nierozgarnięty. Do aktów przypięto karteczkę: kapitan Kozic. On wszystkich prosił o tępych. Zapalał się do tych twardych, tych jak kolek, tych na niskim poziomie. Ileż z nich można było wydosłać! Bo taki nie łął przed sobą. Nosił się trudny, nieczytelny, zamknięty. W środku był cały na sztywno poukładany jak na półkach. Tylko znaleźć do niego klucz. Kozic najczęściej znajdował. I podobnie się stało z Dykiertem. Rozpoznał się w nim od razu. Że to było cierpienie, skurcz, jedna wciąż ogłuszająca myśl. Przez nią milczał, albo odpowiadał nie do rzeczy. Nie przez zaciętość, czy głupotę. Lecz na skutek zapamiętania. — Więc to trzeba zdradzać! — obracał w sobie to przykazanie. Nie ma bez tego prawdziwej wiary w nowy porządek świata. Tylko połowiczność. I kiedy tak stała przed nim prawda o tym, nie ruszał się, wpatrywał, niemy z wrażenia. Ale Kozic nie potrzebował wielu słów. Ów człowiek skamieniały z wrażenia do głębi go poruszył. W ten sposób, pomyślał, należy w życiu czuć. I tak się dawniej, wspominał swoje lata, czuło. Zaprzestał pytań. Zdjął go żal. Że też się podobny człowiek wziął z takim naporem przy próżni. Czemu on właśnie tego nie chwycił. W taki czas pcha się na zmarnowanie. Cóż to takiego w tym naszym nowym życiu, że podobnych ludzi coś od niego przegania.

— Radca Dykiert to pana krewny? — raczej się zdziwił niż spytał. Na pożytek tych radców z pomady szedł teraz cały jego własny trud. Zachnął się. I to samo w sobie czuł obecnie, zagadawszy do Jelskiego. Ale ten nie odgadnął.

— To mój bardzo bliski przyjaciel! — i następnie wstał, jak gdyby po wywołaniu takiego nazwiska z przedziału kolejowego robił się od razu salon. Przedstawił się oficerowi. Oficer o nim słyszał.

— Nie skleję skąd — rozmyślał głośno. — Najpewniej w biurze. Pan przedtem zdaje się był w Opiece. — Jelski przytwierdził. — A ja panie — odpłacał się Kozic — siedzę w tym swoim Oddziale od lat. Jak kto za czerwony to łapie, jak za amarantowy też.

— Cóż on się w to łapanie stroi — zastanowił się Jelski. — Ale Kozic mówił sobie na przekór, bo zarazem lubił swoją robotę, choć wściekał się na cel. Wszystko co żywsze wychwytać, rozmyślał zły. Potem służy zamknąć. Niech stoi staw. Ciepły, mdły. Urządzone dla żab. Jelski coś mu podsuwał pod nos.

— To właśnie od Dykierta! — chciał oficera zadziwić i tym mydelkiem i całym zbiegiem okoliczności. — Fenomenalne, co?

Aż Kozic rzeczywiście rozdziawił usta i zapytał jakoś i niedowierzająco.

— Od Dykierta, tego komunisty?

Wlepił w Jelskiego wzrok. Ani rozpoznać że kpi.

— Nie, to od jego brata! — krzyknął Jelski i głos mu drgnął. Spojrzał na Kozica z ubolewaniem. Jakaż to nieprzyjemna sprawa! Ileż razy dawniej na myśl o tym Janku Jelski drżał. Przecież on mógł pociągnąć za sobą i jego osobiście i brata. Dla studentów głupia rzecz takie kontakty. A jakże się było przed nimi uchronić.

— To jego brat — powtórzył i nagle poczuł, że pod wzrokiem Kozica poczerwieniał. — Kontakty, kontakty — zatrzepotało mu w głowie to słowo. Co sobie taki oficer o nim myśli, coż to ma za znaczenie — jakoś się skrzepił. Lecz co podejrzenie, to podejrzenie. Zawsze nieprzyjemna rzecz.

— Ale owego komunistę — wydzielił to słowo sztucznym tonem, jako niebardzo właściwą ale poniekąd ułartą nazwę — również znam.

Kozic go tłumaczył:

— Całkiem naturalne. Skoro to brat, a radca — pański przyjaciel.

Tymczasem Jelski właśnie myślał nad tym, że to było inaczej. Zresztą do tego wszystkiego zmuszał czas. Rząd wtedy trochę się wziął na lewo. Więc Jelski i jego koledzy zaczęli macać lewy brzeg. Czy da się spolszczyć, udobruchać, oświecić komunizm. Bo w naszej epoce to był dogmat zebrani na folwarku, nowoczesny ruch polityczny musi być skrajny. Więc jak nie socjaliści i nie ludowcy, to kto. Tylko jakiś swojski komunizm. Oczywiście jeżeli się wybiera lewy skraj. Zatem poznać, podpatrzeć tę doktrynę. Najlepszycy z ruchu wziąć. Z tej branki porobić urzędników. Państwu trochę czuba podczerwienić. Podjąć hasła. Dostosować. Potem poprzydzielać do pism rządowych, trochę do okólników. Homeopatycznie przeprowadzić rewolucję. To się na folwarku zwało; — postąpić z komunizmem jak ryba z Jonaszem. Jedyny sposób polityczny na proroka.

Kogo łyknąć z komunistów? Z młodego pokolenia których? Naturalnie najwybitniejszych. Tylko jak ich przyholubić? Jelski ślezczał nad personalnymi aktami. Ważna rzecz było chłopczyków podejść od strony ich słabostek i potrzeb. Tęgo brać na zagranicę, tęgo na posady, innego na sławę. A Dykierta? Na profesurę? Na naukową karierę! Wtedy został asystentem. Każdemu można przecież pomóc na jego drodze. Państwo ciebie pochwała, ocenia, uznaje. Tylko że Dykierta nie dało się zaozarować. Owszem, dawali, to brał. Ale się na uboczu trzymał. Z innymi półkniętymi przestał się zadawać. Wszystko tak, jak on to robił: z zastanowieniem, z niechęcią, zwolna. W końcu i jego wystawiono na próbę. To był czas hi-



starych procesów w Moskwie. Protestowała polska nauka, nie z tego nie pojmując. Dykiert się nie podpisał. Namyslał się. Godzinami tekst przed nosem trzymał. Nie mówił nic. Nie wnosił o poprawki. Jeszcze w domu odszukano go telefonicznie. — Wy mnie żadną miarą nie podpisujcie! — rzekł. Prezes koła otwierał mu oczy. — Kolega się ze społeczeństwa wyklucza! — Co mu się nie nakłumaczył. W końcu chciał zebrać owoce. Huknął na Dykierta. — No więc. — A ten uparł się, że żadną miarą, choć przecież musiał czuć, że teraz nawa państwowa zwraca się na prawo. Kto z lewych ucześć się nie zdaży, do tego nikt już nigdy nie wyciągnie ręki. Został. Po roku w uniwersytecie się skończył.

— I pan go zna? — Kozic podrobił w głosie lekkie oburzenie. W duchu się złościł i śmiał. Już sobie tego nie przypominał o Jelskim. Może to także jeden z tych cudem odratowanych dla państwa radykałów, który kluczy, a nuż Kozic o tym wie, zanim zaprze się swego dawnego ducha. Lecz Kozic nie wiedział nic, tylko że w wyczuciu się nie mylił. Jelski zwędrował lewicę, pokrakał jak i oni, potem ze swego ministerstwa wychyłony ku nim jak z okna, przywabił kilku wybranych. Ale że był, to był. Z tego czasu zostało mu kilka artykułów, może jakiś protokół z posiedzeń. Nie najlepsza rzecz.

W wyprawach, tym razem na prawo, Jelski lepiej o siebie dbał. Konsultacje, ustalenia, rozmowy, ile zapraśnie dusza, byle nie- ta codzienna, partyjna robota. Najmniej daje, a najwięcej plami. Od lewej strony, czuł że ma na sobie plamkę.

— Teraz to tak jakgdyby już nie — odrzekł. — Przez jego brata czasem coś o nim slysze. Biedny brat.

Kozic warknął:

— Który?!

Jelski uniósł w górę prawą brew. Jakaż to niezdarne sonda, ocenił. Co on sobie wyobraża, że będzie przed nim żałował wywrotowca! Ale Kozic ani myślał pytać. Porwał się w nim gniew. Ujrzał naraz osobno biedę każdego z braci. Już myślał że zawoła: — Towarzyszu drogi, zapragnął pan nad radcą wykapać łzę. Proszę dla tego Jana o drugą! — Poszedł krok dalej.

— Wie pan — raptem olśniony wybuchnął — raczej we dwu, tak jak tu jesteśmy, pożalujemy starego. To moje pokolenie. Ja w tym starym Dykiertcie widzę symbol. Ojca naszych czasów. Jednego syna ma mydłką, drugiego pomyleńca. W czyje ręce teraz za przyszłość wypić, proszę wybierać!

Wernyhora się kłania, napuszył się Jelski.

— Pan, zdaje się, lubi straszyć — powiedział zimno. To z wieku. A teraz szczerść za szczerść — dodał błędąc. — Należy się panu ode mnie podział starych. Też jest dwoisty. Jedni to panowie, którzy mają tupet, drudzy to panowie, którym strach. Do kogo teraz chodzić po naukę, proszę wybierać.

Kozic poraz pierwszy popatrzył na Jelskiego przyjaźnie. Miło drasnąć i przekonać się, że jest krew. O to tylko chodzi, żeby była. Powiedział po prostu.

— Żal mi tego Janka Dykierta. Szkoda mi takich twardych. Ot co.

— Pan mu może pomóc.

— Phi — mruknął oficer, ale nie zaprzeczył. Jelski sobie zanotował, trzeba o tym pamiętać. Ten Jan musi w końcu wpaść. Dla Dykiertów cóż to za nieprzyjemność. Jakie niemiłe położenie najbliższego przyjaciela. Radca, prawa ręka wiceministra, a tu w rodzinie proces, wyrok, więzienie. Taki brat! Jelski prze-

powiedział sobie kilka razy nazwisko. — Nie ma co zapisywać! — przyszło mu potem na myśl. — Ten Kozic coś mi się ochopia, że to znany gość.

— W Warszawie może się do pana odezwę — zapowiedział. A Kozic znów tonem dobrodusznym, który niby nie wie o co chodzi:

— Odszukacie mnie na pewno, jak będzie potrzeba. — Pobiądział chwilę wzrokiem po osobie Jelskiego. Raptem:

— Na miłość boską, panie — krzyknął z udanym zgorączkowaniem. — Pan w gaciach, a Brzesć tuż, tuż!

Jelski posłusznie zdjął spodnie od pyjamy. Jeszcze jakaś uprzejmość!... — próbował jej w głowie poszukać. — Co by tu mu rzec? Że ciekawe spotkanie. Nie prosty przypadek. Przypadek, przypadek! Jakżeż to mówi Krystyna, znieruchomiał w roztargnieniu. Takie ma jedno powiedzenie z dostatku jej stałych zdań, które wyrzuca z siebie jak okrzyk, ledwie że ledwie uprzytamniając sobie ich sens, zatarty od częstego użytku, jak rysy osób na banknotach. Krystyna, pomyślał Jelski, ta najbardziej żywa z osób. Ta niespokojna, zgorączkowana. To czarne maleństwo. W ciąglej odmianie nastrojów, a wytrwaniu przy tych samych gestach i wierności dla jednakowych słów. Mieć dzień podobny do dnia i wyrażać go wciąż inaczej, to ja! — zadumał się nad sobą Jelski. — Mieć jeden dzień całkiem różny od drugiego, a mówić o nich zawsze na tę samą nutę, oto ona. Jakże się pogodzić z jej lataniem. Co za sens tak się na wszystko rzuć. Teraz z tym jej *ruchem*. Państwo narodowej wspólnoty. Mocny, ważny ruch — powiadał Jelski sobie, który już się z jego mrokami oswoił. Dobra! Motor jest, który należy w ustrój włączyć. Nauka, którą można było z pewnych sił obracać. I przepuściwszy przez Prezydium Ministrów zaoferować narodowi. Jelski westchnął. Ale pracować! Czy nie lepiej, na przykład, byłoby dla Krystyny ot właśnie w takim prezydium. Szkoda na ten temat gadać. Jelski już ją dobrze znał. Wszystko, byle broń Boże, nie biuro. A jeżeli, to za nic państwowe. Ona ma do tego wstręt. — Przecież ja nie o panu mówię — przysięgała — ale proszę pomyśleć, z urzędnikami całe życie przesiedzieć. Much nabierać na papier i jeszcze samej się przykleić! — Naprawdę nie wiadomo o co jej szło. Z jej nazwiskiem, językami, sprytem. Jakaż efektowna urzędniczka! Naturalnie w biurze, gdzie konieczna towarzyska kultura. Czy nie bardziej na miejscu w jakimś poselstwie. Hen w Europie, a nie na tajnych zebraniach, po drukarniach, do których wpada policja, lub objazdach, które śledzi starosta. Co sobie jej stary myśli? Jelski nie znał księcia Medekszy, a go pożalował. Niemajątnego, prawie bez stanowiska z procesem chronicznym o dobra powstańcze. A do tego jeszcze z taką właśnie Krystyną! Jelski poraz drugi westchnął. Tym razem jednak nad sobą. Może tylko dzięki temu ją troszkę miał. Mogłaby nosa nie wytykać ze swego środowiska. Te ich lasy na Bramurze, to puszcza. Krążyłaby sobie w bogactwie. Czyżby się zetknął z nią wtedy, a jeżeli, to czyżby się z nią zbliżył. A zresztą gdyby nie całe narwanie, to nawet w biedzie, mogłaby gdzieś cupnąć przy ciotce. A dech by straciły wszystkie rewolucje, zanim by po świecie zabrakło w rodzie Medekszów starych, bogatych bab. Krystyna się ich nie trzymała. Czy to też nie sprawa jej nasyconej bziłkiem własnowolności. Buntu przeciw światu, który przecież znała po łebkach i przymerza z nowym, którego nie rozumiała ani w ząb. Uśmiechnął się do jej twarzyczki. Wielkie, brunatne oczy, nieuważne i złe, czarna, nieprzyczesaana grzywa, też wróg ładu; twarda jak włos, w którą coraz to zanurza pal-



oe. Ruchy jej, lekkie przygarbienie i zapach, którego ostrość przebija poprzez perfumowaną nawierzchnię. Jelski specjalnie by go sobie nie obierał, ale raptem wspomina go z dreszczem. I dla jego pobudliwości nagle staje się on esencją Krystyny. Czymś co przeciw niej bluźni, a zarazem jest najmocniejszym jej potwierdzeniem, jak okrucieństwo dla siły.

— Cóż pan tak zamarł — Kozic go tracił. — Popatrz że się, już miasto.

Do okien pociągu zaczęły nabiegać małe czarne daszki. Białe domy leciały wstecz. Przy szlabanach skupiły się wozy. Potem plac, dolina pełna ludzi. Jarmark się pstrzył biednymi, wystrzępionymi kolorami. Cała kolonia garnków u podnóża zakutanych bab, poleгка materiałów rozłożonych tu przy ziemi, wozy zbite w gromadę. Konie z łbami w torbach. Kozic błdził po tym spokojnym okiem. Jelski jeszcze się otrząsnął z zapachu Krystyny. — Cóż to ja chciałem jeszcze? — suszył sobie głowę. — Coś temu oficerowi powiedzieć na pożegnanie! Że przypadek. Ach tak, już wiem, jakie to jest to jej rzeczenie! Więc najpierw pochwalili traf, że nie ślepy, że to widać tak chciał los. A w końcu co miał na języku, wyrecytował:

— Zawsze każdy przypadek czuć trochę opatrnością.

## WLADYSŁAW RYMKIEWICZ

# TONIC

Ogień pod blachą wygasł. Matka Pawła dorzuciła porę szczap; były suche, paliły się dobrze. Niebawem w czajniku zaczęła szumieć woda, w rondlach zabulgotały ziemniaki i kasza.

Przez opary kuchenne spoglądała raz po raz w ogród, gdzie w strzępiastych oknach zieleni widać było ruchomą, białą plamę — płócienne ubranie Pawła, przechadzającego się po ogrodzie. Paweł ukazywał się i znikał, daleki i jakby odmaterializowany, taki sam, jak w życiu codziennym, oderwany od rzeczywistości.

Ostry, metaliczny szcęk klamki i przejmujące brznięcie dygocących szyb w oszklonych drzwiach werandy rozerwały ciszę w mieszkaniu. Ktoś dobijał się gwałtownie od frontu.

Zafrasowana, wytarła pośpiesznie ręce ścierką i podreptała drobnym kroczkiem starej kobiety w kierunku pokoju. Uchyłwszy drzwi z korytarza, zajrzała jednym oknem przez szparę i struchlała. Na werandzie stało dwóch żandarmów z karabinami. Ich mundury o barwie jadowitej zieleni rozlewały się jaskrawą plamą na szybie.

Zdjęta przerażeniem, poczuła, że nogi się pod nią uginają. Zaciśkając jedną rękę na klamce, drugą — przytrzymywała się kurczowo futryny.

Żandarmi przypuścili nowy atak, zaczęli łomotać gwałtownie, zdawało się, że nic nie oprze się ich furii, że wyważą drzwi. Rozdygotane szyby brzęczały metalicznym, przejmującym dźwiękiem.

I nagle wszystko ucichło. Na szybie rozpląszczyły się dwie zdeformowane potwornie twarze, nabiegłe krwią i błyszczące dziko białkami oczu.

Przerażona, obserwowała z zapartym tchem. Niemcy odstąpili od drzwi. Naradzali się chwilę. Jeden z nich zarzucił karabin na pas, na ramię, jakby zbierając się do odejścia. Zrozumiała, że obejdą dom, zaczną

## ROZDZIAŁ II

Jelski obszedł kościół sam. — Pogrzeb, Te Deum, byle nabożeństwo, myślał, zawsze się kończą w człowieku na jeden ton. Popatrzył na mur, przyjrzał się liściom. Nogą zruszył ziemię na ścieżce. Z szarego stropu zwołna schodził mrok. Przy dzwonnicy stali Zawada — Czernski we dwu z profesorem. Jelski podszedł do nich. I usłyszał to wyrwane zdanie:

— Przypadek ma zawsze jakieś *faux airs'y* opatrności! Przystanął. Ten stary nudziarz molestował profesor czy konserwator, uczepił się Czernskiego jak rzep. Nie dawał innym dostępu. Jelski choć znał ministra z Warszawy, zdołał z nim zamienić ledwo kilka słów. Starosta i potemu nie znalazł okazji. Jelski był zły, jak księżę wątpliwej krwi, któremu nie chcą uznać rangi. Przecież nie na to się chyba tu przyjeżdża, żeby być ostatnim. Tymczasem, a jakże, przywitali się, ukłonili, lecz zabawiają się człowiekowi sam! Jelski się obejrzał. Nawet starosta gdzieś się podział z proboszczem. Profesor ciągnął.

((D. c. n.))

się dobijać od kuchni i na tyłach ogrodu zobaczą Pawła, który spacerował nie podejrzewając niebezpieczeństwa.

Zatem rzuciła się przez pokój, dopadła drzwi, przekreśliła klucz.

Pierwszy wtargnął pies, wspaniały ciemny wilczur. Okrążył bezgłośnie chodem stół i leży na podłodze z wyciągniętymi przednimi łapami, z otwartym pyskiem i z wywieszonym między białymi kłami różowym jęzorem.

Za psem wszedł żandarm z karabinem na ramię. — Ty, stara wiedźmo — zagadał po polsku. — Czemu nie otwierałaś?

Wierzchem ręki otarł pot z czoła. Jego towarzyszy, gruby, opasły szwab, smagnął się pejcem po cholewach, zaszwargotał po niemiecku i zajrzał do kuchni.

Udając zadyszana, przyłożyła rękę do serca i wykrztusiła przez wyschłe gardło: — Byłam w ogrodzie. Przyleciałam. Przez kuchnię.

Twarz Niemca pociemniała z gniewu. — Nie lżyj! Nie lżyj, stara. Godoj prawdę!

Chwycił ją gwałtownie za ramię i potrząsnął brutalnie. — Godoj zaraz. Gdzieś go ukryła?

Wilczur zerwał się z podłogi, najeżył się, zawarczał. Matka Pawła uginiała się pod ciężarem przytłaczającej ją ręki.

— Gdzieś go ukryła? Godoj zaraz!

Żandarm z pejcem zajrzał z kolei do sąsiedniego pokoju, wrócił i stanął w otwartym oknie. Wypatrując coś daleko za ogrodem, smagał się niecierpliwie pejcem po cholewach.

— Kogo? Kogo? — zapytała, usiłując przedłużyć rozmowę. Może kto z sąsiadów widział wchodzących do willi żandarmów? Może ostrzeże Pawła?

Naraz tamten w oknie odwrócił się, krzyknął niezrozumiale, gwizdnął na psa i rzucił się do wyjścia.



Przytlaczający ciężar na ramieniu matki Pawła zelżał.

Obaj żandarmi z wilczurem wybiegli z pokoju. Na kamiennej podłodze i schodkach werandy rozległ się ostry grzechot podkutych butów.

Matka Pawła rozcierala sobie nadwierzęzone ramię. Syczała z bólu.

I nagle znieruchomiała.

W pobliżu za domem padły dwa strzały karabinowe.

Znieruchomiała w mdlącym uczuciu grozy. Odeszły ją wszystkie siły. Wsparta o stół, trwała chwilę bez ruchu.

Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, wypadła do kuchni. — Paweł! Paweł!

Wypatrywała białej, ruchomej plamy w strzępiastych oknach zieleni. Nie było.

Pobiegła do ogrodu. — Paweł! Paweł! — krzyczała rozdzierającym głosem, biegnąc wzdłuż muru.

I wtedy właśnie wychylił się zza węgla. Szedł, biały, z zaciśniętymi ustami. — Co się stało? Cemu mama tak krzyczy? — odparł ze złością.

Nie mogła wyrzec słowa.

— Wie mama, co się stało? — powiedział zduszonym głosem, przez zęby. — Ścigali i zabili tego małego Herszka, który się ukrywał. Takie łotry!

Westchnąwszy z ulgą, oparła się o mur. — To nic! To nic — szepnęła omdlewająco.

Wyraz twarzy Pawła zmienił się, zrobił się zły i nienawistny. — Co mama powiedziała? Jak można tak mówić? Czy mama zdaje sobie sprawę ze swych słów? To podłość! Wstyd! Wstyd!

Zachwiała się jak od uderzenia.

— Gdyby zabili kogo innego, to by mama z pewnością tak nie powiedziała. Ale ponieważ to chodzi tylko o Herszka — „to nie szkoda“, „to nic“. „To prawie jak nie człowiek“. Wstyd!

Pokonana, zwiesiła głowę.

Odgłos kroków Pawła rozlegał się na kamiennym chodniku, ułożonym wokół domu. Potem dał się słyszeć jeszcze szczepek domkniętych drzwi.

Oparta o mur, matka Pawła drżącą ręką głaskała chropawą, szarą ścianę budynku. — To nic! — powtarzała w dalszym ciągu, jakby mimowiednie. — To nic.

## PAWEŁ HERTZ

### PROUST

*Nie mów, że wszystko mija. Był w naszej młodości  
Picasso półklasyczny, dym fajki i niskie  
szły obłoki po niebie. I sen był jak pościg  
za czasem utraconym w ulicy paryskiej.*

*Jeśli spotykam Swanna, to jak emigranta,  
choć ma uśmiech na twarzy i palto zapięte  
widzę w oczach nie spokój flamandzki, Rembrandta,  
zgaduję raczej burzę. Bo Swann stracił rentę.*

*Autoportret jak martwą naturę holendrów  
wypada mi malować. Ty wiesz, mój Marceli,  
jak duszą świeże kwiaty, dopóki nie zwiędną,  
jak pali żywy ogień, nim się nie spopieli.*

*I włosy przysypane żużlem ruin chłodnym,  
oprócz szubienic smukłych już nie ma cyprysów.  
I na umarłej ziemi z uśmiechem pogodnym,  
jak Proust w pustym Paryżu nie skończę opisu.*

### DIALEKTYKA

*Okno historii. Balkon epok.  
Mieszkańcy historycznych sal  
Femidę wiodą w tańcu ślepa  
i kończą polonezem bal.*

*Dozorcy w ciężkich futrach z tchórczy  
wywoływali karet rząd  
i zapraszali do podróży  
z cesarstwa blasków prosto w sąd.*

*I tak mieszając Rzym ze śniegiem,  
z cesarstwa blasków w nędzę zim  
przez brąz portyków szli szeregiem.  
nie wiedząc, że już upadł Rzym.*

*I tknięci chłodem niespokojnie,  
znużeni kochankowie sjęst,  
o nadaremnej marząc wojnie  
czynili bohaterski gest.*

*A tu przebranych Fortynbrasów  
nie czeka wzniosły dialog scen,  
Tu — ręka okrutnego czasu  
zdziera ich feodalny sen.*

*I oślepieni już śmiertelnie,  
biorą z historii swoją część,  
zamiast ich rąk — podnosi kielnię  
dłoń — wczoraj zaciśnięta pięść.*



## O SZOPENIE\*)

Nietrudno być realistą w malarstwie — sztuce skierowanej wizualnie raczej w stronę świata zewnętrznego. Czym jest wszelako realizm w muzyce? Nigdzie przecież konwencjonalizm i rymijająca, pobieżna ogólnikowość nie bywają tak łatwo wybaczone i dobrze widziane jak w niej właśnie. Żadna dziedzina twórczości nie jest tak przepojona i owiana duchem potocznego romantyzmu, który bywa tu zawsze fortunny i stosowny, jako czynnik niepoddający się kontroli, jako pierwiastek dowolności.

A jednak i tu wszystko oparte jest na zjawiskach wyjątkowych i one to składają się na historię muzyki. Są przecież dwa wyjątki nad wyjątkami. Mowa o Bachu i Szopenie.

Czym jest więc realizm w tym sensie, który nas interesuje? Nawet w malarstwie jest to zapewne ów szczególny stopień zupełności i detalizacji artystycznej, którego nie wymagają od artysty — malarza ani ogólne kanony estetyki, ani też jego współcześni.

Poprzestałby na tym artysta — romantyk. Posługuje się on fantazją; rozporządza środkami potocznej ekspresji: teatralną retoryką, oratorskim krasomówstwem.

Co zaś cechuje i kształtuje artystę — realistę? Przypuszczalnie wrażliwość w dzieciństwie i techniczna rzetelność w dojrzałym wieku. Ich właśnie przymus, ich nieprzeparta moc zniewala go do pracy, której romantyk nie zna i nie uważa za obowiązkową. Tyrania wspomnień osobistych prowadzi go nieuchronnie do odkryć i wynalazków technicznych, niezbędnych dla ich odtworzenia. Ranga i stopień realizmu artystycznego zależą, naszym zdaniem, od głębokości impresji biograficznej, od śladu życiowego, który staje się dla artysty zapowiedzią i głównym bodźcem twórczości, skłaniając go ciągle do nowatorstwa i oryginalności.

Szopen jest realistą tego samego autoramentu, co Lew Tołstoj. Utwory jego są na wskroś oryginalne i to nie dla odrębności od kompozycji konkurentów, lecz dzięki ich zgodności z przyrodą, którą Szopen portretował.

Twórczość jego nosi wszędzie charakter biograficzny — bynajmniej nie z jakiegoś egocentryzmu, lecz z tej przyczyny, że — podobnie jak wszyscy wielcy realisci — Szopen upatrywał we własnym życiu jedynie narzędzie poznania wszelkiego życia w ogóle i dlatego właśnie prowadził ów rozrzutnie — osobisty i nieprzewidująco — samotny tryb istnienia.

Najważniejszym środkiem ekspresji, mową, w której u Szopena wyrażone jest wszystko, co chciał on wypowiedzieć, była jego melodia — najpotężniejsza i najoryginalniejsza ze wszystkich nam znanych.

Nie jest to krótki, na modłę kupletu powracający periodycznie motyw ani też temat arii operowej, gdzie jeden i ten sam głos powtarza ciągle jedno i to samo — nie to myśl, rozkwitająca stopniowo na wzór porywającej opowieści, lub relacji historycznej

Potęga tej melodii nie ogranicza się tylko do jej władzy nad nami; przemoc jej poznał Szopen na sobie samym, gdy wyłęczając całą swą inwencję, cyzelując i harmonizując potok melodyczny — dążył za każdym subtelnym skrętem i drgnieniem władczygo i wymagającego żywiołu.

Tak na przykład Etiuda C-dur mogłaby dać autorowi sama przez się sławę nie mniejszą, niż ta, której Schumannowi przysporzyły najpiękniejsze jego pieśni, nawet w tym wypadku, gdyby temat jej był rozwinięty bardziej ogólnikowo i wstrzemięźliwie.

Lecz nie! Dla Szopena melodia ta była wysłannicą, posłanką rzeczywistości, stał za nią jakiś realny obraz czy zdarzenie (podobno pewnego razu, gdy ulubiony jego uczeń grał tę etiudę, Szopen podniósł splecione dłonie i zakrzyknął „Ojczyzno moja!”) i oto trzeba było niezmiernie nawiązywać modulacje i wariacje, przetrząsać do ostatniego półtonu wszystkie sekundy i tercje średnich oktav — tylko po to, by dochować wierności wszystkim trełom i poszumom wołającego o wyraz tematu, pierwokształtu, po to by nie odbiegał od prawdy.

Albo w 18-ej Etiudzie Gis-mol z drogą zimową (którą to „treść” częściej przypisuje się Etiudzie 7-ej — C-dur) „nastrojowość można było — jak to bywa z elegizmem u Schuberta — osiągnąć znacznie mniejszym kosztem. Lecz nie! Rzecz w tym, że trzeba było wcielić w muzykę nie tylko zapadający się i rozkołysany pęd sani poprzez duszę autora, przez koleje jego losu i dookolne dzieje Polski, ale przecież jednocześnie strzałę drogi pod jednym kątem przekreślały płynące ukośnie białe płatki śniegu, a pod drugim przecinała ją czarna linia widnokregu i cały ten żmudny wykres rozłąki mógł oddać tylko ten właśnie, chromatycznie spotykający się, raz po raz nikiący, drętwo rozdzwoniony i zamierający minor.

Także w *Barkaroli* efekt, przypominający *Pieśń gondoliera weneckiego* Mendelssohna, można było uzyskać prościej i łatwiej i mielibyśmy wtedy do czynienia z tym poetycznym, ogólnikowym prawdopodobieństwem, które cechuje zazwyczaj utwory tego rodzaju. Lecz nie!

— Oleście i krągło zbiegały się i rozbiegały światła wybrzeża w czarnej i gibkiej wodzie, ścierały się fale, ludzkie okrzyki i czołna i po to, by to wszystko utrwalić, sama barkarola, jak długa i szeroka, ze wszystkimi swymi arpedżiami i trełami winna była ni by cała laguna kołysać się, wznosić w górę i padać z rozmachem w dół, na własny ton organowy, hucznie rozdzwiczona od majorowo — minorowych wstrząsów żywiołu harmonicznego. Zawsze przed oczyma duszy (a to właśnie jest tzw. słuch) znajduje się jakiś pierwotny wzór, do którego trzeba podejść jak najbliżej, przysłuchując się, doskonaląc i odrzucając wszystko, co zbędne.

Tu właśnie źródło owego loskotu, który słyszemy w *Preludium* Des-dur, dlatego właśnie szarżuje na słuchaczy szwadron kawalerii w *Polonezie* As-dur, nie dla czego innego padają wodospady na perć górską

\*) Utwór znakomitego poety sowieckiego, napisany specjalnie dla tej książki.

Z upoważnieniem autora tłumaczył Jerzy Pomianowski.



w finale Sonaty H-mol i z tej właśnie przyczyny niespodzianie otwiera się okno we dworze podczas nocnej nawałnicy w samym środku pogodnego i spokojnego Nokturnu F-dur.

Szopen wiele podróżował, koncertował, pół życia strawił w Paryżu. Znało go dobrze mnóstwo ludzi. Mamy o nim świadectwa takich znakomitości, jak Henryk Heine, Schumann, George Sand, Delacroix, Liszt i Berlioz. Jest w tych wypowiedziach i wspomnieniach sporo cennego, ale jeszcze więcej znajdujemy tam opowiadań o rusałkach, harfach eolowych i zakochanych peri, które ponoć winny nam dać pojęcie o utworach Szopena, o sposobie jego gry, o wyglądzie jego i charakterze.

Zachwyty ludzkie wyrażone są nieraz w sposób zupełnie fałszywy i niestosowny.

W człowieku tym nie znalazłbyś ani cienia rusałek i salamander. Przeciwnie, to wokół niego mrowił się rój romantycznych motylek i elfów, które wirowały w salonach wielkoświatowych, podczas gdy on — zatrzasnąwszy wieko fortepianu — kroczył przez rozstępujące się pary, fenomenalnie skupiony i jasny, krańcowo, nie do zniesienia genialny, powściągliwie ironiczny i śmiertelnie wycieńczony zarówno pisaniem po całych nocach, jak lekcjami w dzień.

Opowiadano o nim, że często po takim soirée, pragnąc wytrącić gości ze stanu osłupienia, w jakie wprawiły ich jego improwizacje, cichaczem przekradał się do przedpokoju, by tam przed zwierciadłem rozłagać fryzurę i rozluźnić krawat, a następnie — w nowej postaci — pojawiał się znienacka w salonie i tam, dla żartu, wymyślając ad hoc wesołe teksty — udawał to znudzonego lorda - turystę, to egzaltowaną paryżankę, to znów żyda - starowinę.

Jak widać, wielki talent tragiczny jest nieodłączny od wyczułonego poczucia obiektywności, a poczucie to nie obywa się bez żyłki mimicznej.

## STANISŁAW PIĘTAK

# NAGŁE OD WIEDZINY

Światła już prawie wszędzie pogasły, kiedy Ludwik Goraj zapukał do drzwi domu Sądejów, stojącego na skraju wsi. Noc była bezksiężycowa, majowa, ale zimna. W ogródku u Sądejów kwitł już bez drzewa były zielone. Liście lekko poruszały się na wietrze i znać było ich wykres, kiedy patrzyło się na zachód.

Ponieważ nie otwierano mu, podszedł do okna i tym razem zapukał w szybę.

— Kto tam? — usłyszał zaraz głos — poznał po mowie, była to młoda Sądejowa.

— Swój — otworzyć.

Drzwi się otwały. Sądejowa już prawie rozebrana, krzyknęła, gdy go poznała i mimo woli cofnęła się o dwa kroki.

— Niech się pani nie boi, pan profesor w domu? — rzekł Ludwik i zamknął drzwi lekko za sobą.

— Kto tam, Ludwiko? — dało się w tej chwili słyszeć zapytanie Sądeja.

— Mówiono wszędzie, że pan zabity — wyjąkała Sądejowa.

— Takiego diabła, jak ja, nie prędko ubijają! — zaśmiał się.

Rzecz znamienita, że dokądkolwiek nas Szopen prowadzi i cokolwiek tam ukazuje, zawsze poddajemy się przemożnej władzy jego fantazji ufnie i bez przymusu wewnętrznego.

Wszystkie jego burze i dramaty są nam znane i bliskie, bez trudu dają się one umiejscowić w wieku kolei żelaznych i kinematografu.

Nawet tam, gdzie — jak w fantazjach, niektórych polonezach i w balladach — występuje element legendarny, którego źródła szukać należy w twórczości Mickiewicza i Słowackiego, to przecież nici jakiejś wspólnoty i prawdopodobieństwa łączą go z człowiekiem współczesnym.

Są to raczej podania rycerskie w opracowaniu Michelet'a, lub Puszkina, a nie srodze kosmate i gołonogie mity w rogatych szyszakach.

Szczególnie głęboka jest pieczęć jakiejś powagi na tym, co u Szopena jest najbardziej szopenowskie — na jego etiudach. Jeśli ćwiczenia w grze na organach i fortepianie Jana Sebastiana Bacha (a z nich najznakomitsze — *Dem temperierte Kavalier*) chciałyby się nazwać teologią praktyczną, przetłumaczoną na dźwięki, to to samo dotyczy etiud Szopena.

Nie bacząc na formę ćwiczeń praktycznych, jest to — jeśli już mamy stosować analogie pedagogiczne — raczej studium badawcze a nie podręcznik.

Są to wykłady muzyczne z dziedziny teorii dzieciństwa, a także wybrane rozdziały fortepianowego wstępu do śmierci (uderzające, że większość z nich napisał człowiek dwudziestoletni!) i dają one pojęcie raczej o historii i strukturze wszechświata, oraz o nowej współmierności starych prawd ewangelicznych z przyjętym przez nas sposobem bycia, rodzenia się, rośnięcia, ubierania, poruszania, grzeszenia i umierania — niż o grze na fortepianie.

Znaczenie Szopena sięga daleko za obręb muzyki; jego działalność równoznaczna jest dla nas z powtórnym jej odkryciem.

— Z kim że to rozmawiasz? — Sądej zbliżył się i też mimo woli złapał się za usta ze zdziwienia. — Ty Ludwik? Do licha, myśmy cię już pochowali.

— Chciałem się ogrzać.

Sądejowa jeszcze stała w miejscu pełna przerażenia i lekko drżała.

— Ależ wchodź, wchodź, co prędzej — rzekł Sądej rozebrany już do koszuli i w pantoflach nocnych.

— Ludwiko, trzeba zagołować mleka, usmażyć kilka jaj.

— Najchętniej bym się wódki napił. Zmarzłem trochę, bom leżał w twojej stodole, a słomy już ni garstkę nie ma u ciebie — zaśmiał się znowu Goraj.

— Pan był w naszej stodole? Dlaczego nas pan nie uprzedził? — powiedziała poważnie Sądejowa.

— Spałem — zmorzyło mnie.

— Rewizje dzisiaj były we wsi, jakby tak trafili — wybąkała.

— Mnie by nie wzięli, bądź pani pewna — wyrzekł twardo.

Ludwika Sądejowa, zanim rozpałała w kuchni, szczerze pozastała okna, poprawiła główkę synkowi, leżącemu w łóżeczku i jeszcze chwilę zatrzymała się przy siole.



— Idź, pośpiesz się — rzucił Sądej. — Ludwik na pewno mocno głodny. — Widząc jej strwożony wzrok, dodał uspokajającym tonem. — Nie bój się, nikt nie przyjdzie, gestapowcy na pewno chleją w Choinach, bo tam pojechali szukać przecie zabójcy wójta.

— Słyszałeś? — zwrócił się do Goraja — wójta Cegłę ktoś kropnął w nocy. — Wyciągnął go z domu i zabił zaraz za bramką.

— Tak, słyszałem.

— Pamiętaj o Hani, jakby tak zapłakała — szepnęła w tej chwili Sądejowa i udając, że poprawia poduszeczkę w kolebce, rzucała skłopotane spojrzenie na męża, wciąż, głęboko nad czymś myślała.

— A to co? Drugie dziecko ci się urodziło? — zapytał Goraj i znów zaśmiał się. — Kiedy poprzednio byłem, Jaś był malutki.

— Był pan przed dwoma laty jesienią, gdy to był za panem pościg w Choinach — rzekła Sądejowa i dopiero teraz przeszła do kuchni.

— Ano tak, spałem u tej cholery małpy, Franki Kudelkówny, a tu ktoś zdradził — gestapowcy zajechali w biały dzień. Z miejsca zacząłem ostrzeliwać się i uciekłem. Ich było trzech, a ja jeden. Do tego na bosaka. Biłem ze spluwy zza każdego drzewa i cofałem się, wreszcie dałem skoka.

— Daj wódki, Stasiu, chce mi się pić — mruknął nagle i skrzywił się.

Sądej wyszedł i wrócił z flaszka wódki. Potem znowu wyszedł, porozmawiał z żoną i wrócił z chlebem.

— Jedyne mam ciebie we wsi. Wszystko inne to draństwo, skurwesyny! — począł zlorzczyć Goraj. — W tyłek by wleźli Niemcom, gdyby mogli, i soltys i polowy i inni.

Sądej nalał powoli małe szklaneczki i podsunął Gorajowi.

— Cóż to, ja jestem gorszy od innych? — krzyknął i nagle wypił szybko. — Miałem tam wypadek za młodych lat, ale bo przecie Boguntanka żarła mi krew, a ja nie panowałem nad sobą.

— Daj pokój — szepnął Sądej.

— A prawda, bo ona i ciebie oplątała. No, zresztą szkoda gadać o tamtym.

Ludwika Sądejowa przyszła znowu z powrotem i przyniosła dymiącą jajecznicę. Stawiła talerzyki, ale jej biała ręka wciąż drżała lekko.

— Herbatę gotuję — powiedziała niesłychanie łagodnym głosem.

— Dobra — zawołał Goraj i zmrużył czarne brwi. Włosy miał krucze i do góry zaczesane. Wyglądał przy tym młodo, choć był bladej i miał zapadnięte policzki.

— Ja chcę się nagadać. Niech i pani przysiądzie się do nas i napije się z nami.

Skoro odeszła z rozpuszczonymi włosami, w szlafroku, pobladała, zamyślona, Goraj znowu nachylił się do Stasia i stuknął się z nim wódką.

— Nie jestem złodziejem ani bandytą; a dlaczego mnie za takiego podali wójt, soltys i może kto jeszcze inny? Odsiedziałem karę i przykładowie biłem się w 39-ym roku. Byłem w Warszawie cały czas. Dzisiaj kto zabija Niemców? Ja. Zabiłem ich już osiemnastu. Bo jestem Polak, bo ich nienawidzę!

— Nie musisz mi tłumaczyć. Wiesz przecie dobrze, jaki jest mój stosunek do wsi i do ciebie. Wolę w ciemności o północnej godzinie ciebie, niż choćby tych urzędników w najjaśniejszy dzień. No, Cegle rabusiowi

wreszcie się dostało. Pił krew ludzką, obdzierał bledotę, jak mógł — mówił porywczo Staś Sądej i podniósł się z krzesła.

— Wygnali mnie z domu — denerwował się Goraj i coraz bardziej stawał się zachmurzony. — Żonę wysłali do Niemiec, zniszczyli gospodarstwo, a przez co? Bo chcieli się mnie pozbyć, zniszczyć mnie, wiedząc, że ręka moja nie zdrzy, gdy trzeba!

Wstał teraz też i podszedł do Stasia tak, że otarł się prawie o niego ciałem.

— Stasiu, to ja zabiłem Cegłę — mruknął.

— Ty? Ty? — wybelkotał Sądej i jednak się cofnął.

— Obmterzła świnią. Pił tylko z Niemcami i szpiegował. Za mnie, by mnie zgładzono, dałby może z tysiąc złotych. Wiedział, co go czeka i był mocno obstawiony psami i opatrzone zasuwami, ale ja sobie ze wszystkim dałem radę. Wyważyłem drzwi i nie minęła minuta, a wyciągnąłem go na dwór. Jęczał, żebrał, dawał okup, zaklinał się, że dla Polski pracuje i musi tylko udawać, ale ja tylko rzekłem: „Popatrz sobie, Mateuszu w niebo, koniec twój, nie ma o czym gadać“.

— Ludwik, 20 tysięcy dam! — wołał.

— Mnie nie trzeba. Brałem udział w napadzie na kasę w Lipnicy, wzięliśmy 300 tysięcy.

— Rodaka zabijasz, Ludwiś, rodaka? — skamlał.

— Żonę-ście mi skurwili i wysłali do Niemiec, mnie szpiegujecie, chcecie zgładzić. A przecie to ja walczę, ja tkuję Niemców, nie ty! Ty z nimi chłasz i bogacisz się. Nie będziesz się już bogacił, nie będziesz się śmiał z naszej biedy. Powiniennem zabić jeszcze i twoje dzieci, ale precz, giń sam — i niech cię szlag trafi!

Wywaliłem w niego trzy kule i poszedłem w pola. Udałem się do Choin, ale coś mnie tknęło i wróciłem. W Choinach zrobiono oblawę w sto chłopów i może by mnie chwycili, tu zaś nie!

Goraj znowu usiadł i roześmiał się niespodzianie.

— Nie namyślaj się, nie bój się, zaraz idę, nalej tylko jeszcze wódki — powiedział.

— Tu nie o strach idzie, myślę o twoim życiu. Szkoda mi ciebie. W innych warunkach może byś był wspaniałym człowiekiem — namyślał się Staś.

— Bujda. Lej wódkę — to ważne w tej chwili.

— Dlaczego nie wyjedziesz? nie ulotnisz się? Tu cię śledzą dziesiątki oczu. Bój się ciebie i chcą cię widzieć za wszelką cenę umarłym.

— Ano — cóż — kraj rodzinny ciągnie.

— Herbatę — szepnęła w tej chwili Ludwika i zaczęła stawiać szklanki na stole. Oczy szaroniebieskie miała wciąż uważne, ale już trochę weselsze. Zaplotła włosy i jakby nawet umyła twarz.

— Nie mam czasu pić już herbaty — zachmurzył się znowu Goraj. — No, Staś powie pani o wszystkim. Lubię go, to jedyny człowiek, który by mnie nie zdradził tu we wsi.

— Potrzeba ci pieniędzy, dam ci — podniecił się nagle.

— Nie, Ludwik, nie mi nie trzeba. Widzisz, zarabiam lekcjami, mam żonę, dzieci, czuję się z nimi szczęśliwy. Ale ty szanuj życie, Patrz uważnie na życie. Życia szkoda.

— Strachy na lachy! — krzyknął niezwykle jasnym głosem Goraj naraz i sprośował się na całą wysokość. — Zagaś, wychodzę w tej chwili.

Zgasili światło i słychać było przyspieszony oddech Ludwika Sądejowej w tym momencie.



— Jeśli kogo trzeba będzie sprzątnąć, daj znać — zaśmiał się znowu Goraj. — Nie bój się, zabijać trzeba, bo zasłużyli na to.

— Ja się nie mieszam, uczę młodzież, uważam to za najważniejsze — szeptał Sądej i szedł aż za próg, choć Ludwika chwylała go za rękę i powstrzymywała.

— Nie bój się, co drzysz, słyszysz przecie jaka cisza. Ucałował tuląc się do niego żonę i długo patrzył na gwiazdziste niebo i stał z nią przy otwartych

dzwoniach. Goraj tymczasem już był daleko, skręcił na dworskie pole i na przelaj, wędząc, jak pies, szedł ku torowi kolejowemu, kierując się na Bożków.

„Porządny chłop ze Stasia, tylko za miękki — myślał. — Co tu żalować tych, co oszukują nas. Zabiłbym przecie i sołtysa i Owenickiego, bo jest kat dla ludzi”.

Zaśmiał się nagle, przypominając sobie przerażoną twarz Ludwika Sądejowej i śmiech jego zniemacka poszedł przez pustkę aż w niebo.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

## JULJAN PRZYBOSI — MIEJSCE NA ZIEMI \*)

Dla wszystkich, którzy myślą nad przyszłością literatury polskiej i może radziby planować politykę kulturalną w tym zakresie — nowy tom Przybosia jest istotnym tematem do rozmyślań.

Jednocześnie — tak trudny dla oceny (choć budzi niezaprzeczony podziw) — uwidacznia jak bardzo problematyka naszej polityki literackiej jest niedojrzała, jak gruntownych wymaga rozważań — aby móc ustalić jakiegokolwiek plany działania na przyszłość.

Jak bardzo dziś jeszcze nie możemy kępować wszelkiego typu poszukiwań, popierać takiego czy innego rodzaju pisarstwa. Oczekiwana literatura odrodzonego narodu wyrosnąć może tylko z pełnej i nieskrępowanej swobody, poszukiwań, polemik, starć, wielości kierunków. Co nie tylko nie przeszkadza, a właśnie powinno upoważniać wyraźne literackie grupy ideowe do ostrej selekcji we własnym środowisku, do wymagania pełnej konsekwencji ideowej i artystycznej.

Piszę to na marginesie tomu Przybosia. Są to jego wiersze wybrane — z lat 1922—1945! Jak mówi poeta w przedmowie, „nie wszystkie poezje z tego zamkniętego okresu ocaliłem w tej książce, która ma dać jego — moją pełnię. Utwory, które do zbioru tego nie weszły, skazuję na zapomnienie”.

Otóż ta książka wielokrotnie czytana, przereczana, jak przerezuca się kartki ulubionego poety — wytrzymuje najbardziej surową próbę bezpośredniej reakcji: wzrusza swym oczywistym poetyckim pięknem głęboko i szczerze.

A z drugiej strony to są istotnie trudne wiersze. Wiem, że trzeba się uczyć je czytać i rozumieć. Dość jest głosów, które twierdzą, że wielu czytelników nie umie się spoufalić z poezją autora *Oburącz*. A przecież — to jedyny poeta w naszej literaturze, który naprawdę przewyciężył poetykę symbolizmu, poetykę o blisko stuletniej tradycji, która ciąży nad całą naszą poezją, zamyka jej możliwości rozwojowe, uniemożliwia nowe przyżycie świata, nowe prawdziwe nazwanie rzeczy i zdarzeń, niebывалей dotąd współczesności. W poezji Przybosia jest, obiektywnie biorąc, jedyna dotychczas znana nam droga wyjścia z tego zakłętą koła. Jest to nadto z punktu widzenia techniki literackiej jedno z najdojrzalszych i najbardziej przodujących osiągnięć.

Przybos pisze od 1922 r. Tuwim, Słonimski, Wierzyński, Hłakowiczówna — wyprzedzają go o 3—4 lata (ostatnia nieco więcej!). Wystarczy zdać sobie sprawę z własnych przeżyć. I to — ośmielam się powiedzieć — z przeżyć każdego z czytelników. Przecież czytanie dziś wierszy zebranych wymienionych poetów — jako książek współczesnych, które mają odpowiadać potrzebom artystycznym współczesnego człowieka — jest niepodobieństwem. To są umarłe książki.

Owszem, wiemy, że to są książki wielkich poetów, ale zeszej epoki. Patrząc na ekspresjonistyczne liryki Tuwima jak na dorobek klasyki poezji polskiej — dostrzeżemy w nich nieprzemijające piękności — tak jak w lirykach Kornela Ujejskiego czy Franciszka Karpińskiego. Ależ nikt *Melodyj biblijnych* czy *Tęskności na wiosnę* — nie będzie czytał jako współczesnych tekstów.

A z Przybosiem inaczej. W każdej stronicie tej przejmującej książki — urzeka niespokojna, śmiała, nieuległa poezja dzisiejszości.

Przypomnijmy sobie liczne wiersze o drodze — Staffa potem Tuwima — te tęskne zaśpiewy „o drodze dalekiej” — Jakże obco i niecierpliwąco brzmi zachwyt tych poetów dla polotu dalekiej i strzelistej drogi. Jak właśnie niecierpliwie pisanie z nadzieją, że wiersz rozkołysze w nas to życiowe wzruszenie, które łączyło się w pojęciu mieszczańskiego poety — z daleczną drogą do nikąd. Nie ma w nas struny, która by odedrgała w tym wypadku. I to nie o to chodzi, że inaczej (nie tak wycieczkowo) przeżywalismy drogi wojenne. Piękno strzelistej drogi czujemy. Ależ inaczej o tym trzeba mówić. Nie wystarczy piętrzące się przymiotniki symbolistów, na które zwykli byli naprzywać skojarzenia życiowe czytelnika, ratując w ten sposób ubóstwo i monotonię środków artystycznego wyrazu. Uprawiana przez nich liryka wyczerpała swój kredyt, wyczerpała możliwości artystycznego szalbierstwa. Przez sto lat (od Baulelaira! od Maelarmée! od Walta Whitmana!) wygrała się ta nuta rzewna. Dziś już nie wystarczy zestawienie wokół danego ośrodka syntaktycznego (np. drogi) łańcucha epitetów (strzelista, biała, daleka), z którymi łączy się określone ładunki emocjonalne, znane z doświadczeń języka komunikatywnego, tj. z praktyki życiowej.

Jakże inaczej, jak świeżo, odkrywczco brzmi liryka Przybosia, oparta przede wszystkim na przenośni, na metaforze, na istotnej, odrębnej właściwości poetyckiego języka. „Drogą, silnioną przez widnokrąg, po którym przewiał linie pól —

Obok — stwardniała glina, jak ciężka, nabrzmięta. —

To kopiec — który odmilkł: Jak gruby pomruk natury do-  
szedł do mnie  
z obszaru.

Gdzież jest zastonięte horyzontem, najdalej; zakopane  
koło

Ziemi,

Głucha mogiła narodzin,

z którego wytrysło me ciało?

Kształzę się światła nadmiarem:

wolam.

— idę w grudach i lodzie szosą zgruchotaną przez koła”.

\*) Julian Przybos — Miejsce na ziemi — 1945 — Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”



Temat podobny: droga. A poezja inna. Właśnie trafiająca w naszą współczesną gotowość do przeżyć artystycznych. Uświadomijmy sobie: to jest niezmiernie wiele — książka zawierająca wiersze z okresu dwudziestolecia, która tak triumfalnie wytrzymała próbę czasu. Tryska żywym nurtem poetyckiego wzruszenia, bogata, ciągle nowa, co raz niesłychanie mistrzowska w przemysłanej realizacji artystycznego zamierzenia.

A przy tym mocny w niej jest i pewny ton ideowy. Od pierwszych stron do ostatnich jednakowo surowo prowadzony:

„...wiesz znów człapie setkami chodaków skąd  
w kaluży zieleń jak słońce kołyszą się — dwór i oczom  
fornali

błyszczą na ganku jasnie pan.

Utyłkami w lepkiem upale

zapadają w chłód

mroku.

Lecz kiedy niebo ponocne czerwien na wschodzie podnosi  
w szybach,

rozgarnia promienie blysk

widel.

Dwór bliżej do drzew pod siekierami słońca przypadł.

Widać:

Pionowo cichnie huk niewybuchłych chatup: dym  
i z urwisk strzela bór“.

Tak samo wymownie wypowiada ta poezja walkę okresu okupacji, tak samo aprobuje trud fabryk, uzbrajających antyfaszystowskie siły. Było by jednak przesunięciem akcentów traktować ten tom jako manifest społeczny w poezji. Nurt ideowy jest żywy, ale przeważa bogactwo po prostu wszechstronnie ludzkich możliwości doznawania i pojmowania świata.

Osobny problem, to rozdział *Pióro z ognia*. „...naprzeciw ciągną na wiatrowisko bitwy dwa aeroplany i trąbiąc obwołują zorzę schwytaną we włosy. Wytacza się orbita przestrzeni okrągłej i nasadzisz dwie ścięte głowy, przeladowuje chmurę gradową na zmniejszone miasto, ciągnięte przez lokomotywę“...

Ten ujmujący dziwnością utwór jest prosty jako utwór, skomplikowany jako obraz. Wymaga elastyczności wyobraźni — ale jest doprawdy jasny. Niewątpliwie dziś jak cały nadrealizm należy do przeszłości. Jest przecież świadectwem bogatych możliwości języka polskiego, jest też istotnym jego poszerzeniem.

I to się da uogólnić. Ta nowa pod względem metaforyki, rytmiki, składni polszczyzna — to jest niezaprzeczony wkład Przybosia do starożytnego dorobku naszej literatury i kultury w ogóle.

A poza tym — powtarzam — są to doskonale wiersze, które wzruszają wielu. Cóż więcej uczynić może poeta?

Pozostaje zagadnienie społeczne. To Przybosz z dorobku literackiego naszych lat międzywojennych wyszedł zwycięsko, wytrzymał próbę życia i czasu. Trudno dziś o decyzje (Ja sam widzę inne możliwości — w twórczej i podniosłej poezji Jastruna — innej i prostszej, choć

bliższej symbolizmowi i tradycji). Trudno o decyzje. Ale poezja Przybosia stoi przed młodymi pisarzami jako najaktualniejszy problem, jako jedna z dróg przyszłości.

A jednocześnie możliwości związania tej poezji z naszymi czytającymi są nikłe. Jest tu jakiś próg do przezwyciężenia. Bez tego grozi tej poezji najgorsze osamotnienie społeczne.

I to uważam za temat do rozważań najbardziej żarliwych — dla krtyków i ideologów polityki kulturalnej. Drugiego tak doniosłego tematu do poszukiwań aktualnych dwudziestolecie międzywojenne nie zostawiło nam. Wszystko inne to już historia literatury.

Bez rozwiązania sprawy Przybosia nie pójdziemy naprzód. Nie umiałbym dziś tego zagadnienia rozstrzygnąć. Chciałbym przecież zacząć dyskusję. Wierzę, że powinna być owocna.

Trzeba pamiętać o następujących prawdach ogólnych:

1. Obóz polskiej lewicy, obóz socjalizmu polskiego nie może izolować się od żywych nurtów kultury narodowej. Przeciwnie, winien je wchłaniać i urabiać, sam przez to wzbogacając swą treść ideową, która tylko wtedy będzie przodującą ideologią narodu.

2. Poezji nie da się robić na rozkaz. Można pisać wiersze na zadany temat. Ale głębokie ruchy literackie kształtują się przez tworzenie właściwej atmosfery kulturalnej. A tego nie osiąga się ignorowaniem istotnych zjawisk życia literackiego.

Nie stworzy się poezji społecznej zniechęcając poetów, tępiąc ich żywe dążenia i pasje.

3. Niefalszowany marksista formułując program swej polityki tak gospodarczej jak kulturalnej, bierze za punkt wyjścia trzeźwą, empiryczną znajomość faktów swego czasu.

Trzeba nadto zdać sobie sprawę:

1. Poezja Przybosia w naszym życiu literackim jest ośrodkiem formowania się ruchu artystycznego młodych i posiada po temu obiektywne dane. Ruch ten nie posiada cech wsteczności, owszem posiada wiele możliwości kulturalnego przodowania (Negatywny stosunek do mieszczańskiego rozkładowego symbolizmu!)

2. Poezja odrodzonej demokratycznej Polski winna być wyrazem żywych potrzeb narodu, powinna być czytelną dla wszystkich, których przyciągniemy do kultury.

Sprawy te muszą być rozważane łącznie. Obrona tylko poetyki Przybosia byłaby zdradą słusznej proletariackiej ideologii literackiej. Natomiast obrona poezji „dla mas“ pojmowana jako obrona łatwizny retorycznej, tradycyjności byłaby tępym doktrynizmem, niedostrzeganiem tego, co jest rozstrzygającym faktem współczesności literackiej.

Marksizm i wyrastająca zeń ideologia kulturalna ma dość szerokie horyzonty. Obóz polskiego postępu właśnie nie jest sekciarsko ciasny, chociaż jest ideowo zwarty i konsekwentny. Obóz polskiej lewicy socjalistycznej potrafi związać ze sobą młodą inteligencję piszącą, nie broniąc jej poszukiwań artystycznych. Nie odetnie nigdy pisarzy od tego, co jest na naszym etapie historycznego rozwoju literatury technicznie przodujące. Ale też ideologia obozu socjalistycznego ma dość siły, aby urobić tę nową literaturę tak, iżby stała się bliska i wymowna dla każdego czytającego chłopca i robotnika. Wierzę w siłę twórczą ideologii lewicy polskiej, ideologii przodujących klas narodu.



BOLESŁAW DUDZIŃSKI

## POLITYKA PRASOWA HITLERYZMU PODCZAS OKUPACJI (CELE, DAŻENIA, METODY)

Krótki zarys niniejszy ograniczony jest terytorialnie do obszaru b. Generalnej Gubernii i nie obejmuje całości polskich ziem okupacyjnych. Na terenach bowiem „przyłączonych do Rzeszy” hitlerowskie wydawnictwa w języku polskim nie istniały. Wprawdzie w pierwszych tygodniach okupacji ukazywała się np. w Łodzi „gadzinówka” p. n. *Gazeta Łódzka*, jednak z chwilą urzędowego włączenia zachodnich i północnych terenów polskich do „Reichu” wydawnictwa tego rodzaju zostały zlikwidowane, a zadania informacyjno-propagandowe przekazano wyłącznie prasie niemieckiej.

Polityka prasowa władz Generalnej Gubernii była, rzecz prosta, częścią ich polityki ogólnej, stosowanej względem podbitego kraju, a zmierzającej uparcie i konsekwentnie do złamania fizycznej i duchowej odporności społeczeństwa polskiego i uczynienia zeń uległego obiektu hitlerowskiej ekspansji. Tzw. rząd Generalnej Gubernii zdawał sobie sprawę ze znaczenia własnej prasy wydawanej w języku polskim, zwłaszcza że mógł tę prasę obdarzyć przywilejem wyłączności. To też natychmiast niemal po zajęciu Warszawy władze okupacyjne powołały do życia w większych miastach polskich prasę codzienną, mającą za zadanie zaspokajać potrzeby informacyjne ludności „nie-niemieckiej”, a jednocześnie — służyć propagandowym celom okupanta. Sprawą „wydziału oświaty ludowej i propagandy” przy „rządzie Generalnej Gubernii” było ściśle związanie tych dwóch stron działalności prasowej i czuwanie nad tym, by prasa po polsku drukowana trzymała się bez odchylenia wytkniętej przez właściwe czynniki kolei.

Mimo, że Kraków — a nie Warszawa — był urzędową stolicą „Weichsellandu” — gazetą najbardziej „reprezentatywną” stał się od razu *Nowy Kurier Warszawski*, redagowany i drukowany w gmachu dawnej „prasy czerwonej” przy ul. Marszałkowskiej.

Ku dobrej sławie polskiej publicystyki podkreślić trzeba, że władze okupacyjne znalazły w jej szeregach znikomą zaledwie ilość ludzi, skłonnych z tych czy innych względów do „współpracy” dziennikarskiej. Wyjątków tych było tak niewiele, że możnaby je policzyć na palcach jednej ręki. Przy tej szczupłości personalnej nie łatwo było realizować codziennie wskazania krakowskiego wydziału propagandy, choćby ułatwionym trybem kompilacji z prasy niemieckiej. Zwykle tłumaczenia oraz inne drobniejsze posługi spełniali znający język polski „volksdeutsche”, bądź też mniej lub więcej ciemne typy reporterskie.

### „EIN FUER ALLEMAL”

Głównym celem „gadzinowej” publicystyki *Nowego Kuriera Warszawskiego* i jego pomniejszych kwaterów było wytworzenie i utrwalenie w społeczeństwie polskim przeświadczenia o nieodwołalności klęski wrześniowej i braku wszelkich szans na jakiegokolwiek zmiany w losie Polski i Polaków. To, co się stało, stało się — mówiąc prasowym żargonem niemieckim — „ein für allemal” i „für alle Zeiten”. Raz na zawsze nieodwołalnie i bezapelacyjnie. Znane skądinąd: „Point de réveries!” odrodziło się w nowym wydaniu i powtarzane było codziennie w sposób bez porównania brutalniejszy i bardziej bezceremonialny. Z „nieodwracalnego” faktu upadku państwowości polskiej wypływały praktyczne rady i nauki dla dotkniętego

tym losem narodu. A więc konieczność rezygnacji z wszelkich dążeń niepodległościowych i regeneracyjnych, pogodzenie się z rzeczywistością, uznanie wyższości niemieczyny w każdej dziedzinie życia i dobrowolne wprzęgnięcie się w służbę idei „Nowej Europy”.

Każdy rozsądny Polak — trąbity i szeptający na przemian *Nowe Kuriery Warszawskie* — powinien pozbyć się bezpłodnych rojeń i we własnym interesie stanąć do pracy nad pomnożeniem „opiekunczej” potęgi niemieckiej. Należy więc gorliwie wykonywać nakazane przez władzę obowiązki, punktualnie płacić podatki, dostarczać w porę kontyngentu, przeklinać aliantów i modlić się o zwycięstwo Hitlera. Ktoby śmiał zboczyć z tej jedynej zbawczej drogi, ten nie znajdzie u „surowej, lecz sprawiedliwej” władzy okupacyjnej względów ani pobłażania. Okupacja ta zresztą nie jest zwykłą okupacją wojenną, to znaczy stanem przejściowym i zmieanym, lecz historycznym faktem dokonany, który zmienił do gruntu polityczny i terytorialny układ stosunków między Polską a Niemcami. Z charakterystycznym, a z perspektywy dzisiejszej groteskowym wprost uporem słowa „Państwo Polskie” poprzedzano w „gadzinówkach” zawsze literą *b.*, nie wolno było bowiem czytelnikowi zapomnieć ani na chwilę, że to Państwo Polskie stało się już tylko przeszłością bezpowrotną.

Po napadzie Niemiec na Związek Radziecki w r. 1941 powiały w hitlerowskiej polityce prasowej nieco inne wiatry i podmuchy. Odwołując się dość nieoczekiwanie do poczucia wspólnoty europejskiej kultury zachodniej, tradycji chrześcijańskiej itp. szacownych walorów narodu polskiego, „gadzinówki” zaczęły ukazywać swoim czytelnikom dalekie miraży jakichś ewentualnych zmian w sytuacji Polski, jakiegokolwiek bliżej nieokreślone możliwości poprawy losu Polaków, pod warunkiem jednak, że Polska (raczej Generalna Gubernia) weźmie czynny udział w „krucjacie” antyradzieckiej wespół „ze wszystkimi niemal — jak pisało — narodami Europy”. Były to aluzje bardzo mgliste, obietnice mętne, dwuznaczne i nie wiążące, które w każdej chwili dawały się cofnąć bądź też sprowadzić do praktycznej fikcji.

Szczytowym punktem tej zakłamanej propagandy stała się prowokacja katyńska, montowana w „gadzinówkach” z niezwykłym nakładem energii, pomysowości i — farby drukarskiej. Ponieważ — mimo wszelkie wysiłki — sprawa udziału w „krucjacie” nie znalazła w społeczeństwie polskim żadnego oddźwięku, „gadzinówki” z westchnieniem żalu przeszły nad tym do porządku dziennego, powracając do bardziej realistycznych koncepcyj „gorliwej i wyteżonej pracy”, jako jedynej możliwego wkładu Polaków w dzieło „obrony cywilizacji europejskiej” przed grożącym jej rzekomo „barbarzyństwem Wschodu”. Tendencje względnej pojednawczości „w obliczu wspólnego wroga” odżyły w trzy lata później, wraz z rozpoczęciem przez Armię Czerwoną ofensywy letniej r. 1944, niosącej Niemcom zapowiedź klęski ostatecznej. Dalszy przebieg wojny i jej wynik zarysowywały się już wtedy z taką wyrazistością, że nie mogło być w Polsce dość tępego człowieka, któryby hitlerowską „pojednawczość” brał za dobrą monetę i z jej nędznych liczmanów składać chciał kapitał przyszłości.



## KOMPLEKS NIZSZOŚCI

Dopełnieniem i podbudówką tezy o ostatecznym już jakoby usadowieniu się Niemców w „obszarze nadwiślańskim” było uporczywe przedstawianie Polaków jako „*minderwertige Nation*”, według recept, znanych co najmniej od czasów Bismarcka i pruskiej haki. Usilnie i systematycznie starały się „gadzinówki” wszczepiać w społeczeństwo polskie poczucie kompleksu niższości, aby tym sposobem okaleczyć nas duchowo, sparaliżować ośrodki naszej woli i aktywności. Zgodnie z wykładnią propagandy hitlerowskiej, naród polski, liczebnie słaby, kulturalnie zacofany i nieproduktywny, pozbawiony wszelkich zdolności organizacyjno-państwowych, nie miał ani praw, ani kwalifikacji do samodzielnego istnienia. Jedynie pod opieką i kierownictwem „mądrej i przewidującej” władzy niemieckiej, mogliby Polacy, jako grupa etniczna, a nie organizm państwowy, utrzymać się przy życiu i przetrwać wśród wzburzonych fal dziejowego przełomu.

Aby dowieść naszej rzekomej słabości liczebnej, aby nas pozbawić poczucia siły, jedności i zwartości narodowej choćby na niewielkim terytorium, hitlerowska propaganda prasowa przedstawiała zawsze ludność Generalnej Gubernii nie jako pewną całość, której oczywistym i potężnym trzonem są Polacy, lecz jako pstry konglomerat najrozmaitszych narodowości, wśród których nie brakło i takich stwarzanych ad hoc, jak — górale i cyganie... Ubóstwo kulturalne narodu polskiego było — zdaniem propagandzistów hitlerowskich — notoryczne i uderzające. Wszystkie prawie zabytki architektury, wartościowe obiekty sztuki plastycznych itp., znalezione przez najeźdźców na ziemiach polskich, stanowiły rzekomo wytwór obcego — przede wszystkim germańskiego — ducha. Wit Stwosz, Mikołaj Kopernik, nie mówiąc już o innych, zaanektowani zostali dla Niemczyzny w trybie administracyjnym, szybko i bezapelacyjnie.

Te wszystkie „teorie” niższościowe, stanowiące tworzywo wielu publikacji „gadzinowych”, wsączane były w świadomość czytelników na ogół tak niezręcznie i obcesowo, że jad nie działał, a perfidne, złe zamaskowane wywody budziły raczej politowanie niż oburzenie.

## WŚCIEKLIZNA NORYMBERSKA

Hitlerowskie „gadzinówki” nie byłyby tym, czym im być kazano, gdyby od chwili swego powstanie nie przystąpiły natychmiast do propagandy rasistowskiej. Trzeba przyznać, że pod tym względem publicyści z *Nowego Kuriera Warszawskiego* i podobnych mu wydawnictw znaleźli w niektórych warstwach naszego społeczeństwa grunt nie najgorzej przygotowany, boć epidemia wścieklizny norymberskiej nie ominęła, jak wiemy, i przedwrześniowej Polski. Jeszcze przed wybuchem wojny było u nas sporo wyznawców haseł rasistowskich i miłośników „judenhecy”. Przybył im potężny, zbrojny w pełnię władzy sprzymierzeniec. Wprawdzie nie mogli pójść z nim razem drogą celów ogólnych i zasadniczych, ale na pewnym odcinku tej drogi istniało, niewątpliwie, pokrewieństwo „ideologiczne”.

„Gadzinowcy” zabrali się do rzeczy z niejaką zreżnością, opartą na znajomości psychiki drobno-mieszczkańskiej. Prześladowania Żydów zmierzały rzekomo nie tylko do obrony polskiego stanu posiadania

gospodarczego, lecz miały ponadto na celu, poprzez eksterminację Żydów z handlu i przemysłu, powiększenie i rozszerzenie tego stanu posiadania. Niektóre artykuły „gadzinówek” oparte na znanym skądinąd motywie „żydokomuny”, zdawały się być żywcem przepisane z naszej przedwojennej prasy „narodowej”; poza tym autorzy tych artykułów nie szczędzili wymownych cytatów z rozmaitych dawniejszych publikacji polskich antysemitów. Dla straganiarzy i sklepikarzy wszelkiego autoramentu, urzeczonych perspektywą łatwego zdobycia fortun wojennych, była to, zaiste okazja wyjątkowa. I chociaż olbrzymia większość społeczeństwa polskiego z najwyższym wstrętem obserwowała podstępne manewry hitlerowskiego rasizmu i oceniała je należycie — w pewnych, nielicznych zresztą, sferach polityka gospodarczego, a później już biologicznego wyniszczania Żydów przyjmowana była z zadowoleniem, a nawet z uznaniem. Antysemityzm podsycany m. in. tak naiwnymi trikami, jak fingowane „listy do redakcji”, żądające takich czy innych represyj w stosunku do Żydów, był dziedziną, w której propagandowe wysiłki „gadzinówek” osiągnęły, niestety, pewne wyniki. Że stało się to ze szkodą dla naszej morale zbiorowej, rzecz jasna i oczywista. Ślady „wścieklizny norymberskiej” zatruwać będą z pewnością jeszcze przez czas dłuższy atmosferę naszego życia publicznego, albowiem zbytek wielu jest — z łaski hitlerowskiej — użytkowników mienia pożydowskiego, których dręczy dziś „złe sumienie” i obawa przed — zmiennością fortuny. Omalwając ten niemiły temat, trudno się oprzeć refleksji, że niejednym z głupców, którzy poklaskiem witali pierwsze represje antyżydowskie, ginął nieco później wspólnie z ofiarami żydowskimi w tym samym piecu krematoryjnym.

Antysemitcka propaganda „gadzinówek” miała w sobie wiele cech ordynarnej i wyuzdanej demagogii. Podobna demagogia, przeniesiona później na grunt polskich zagadnień społecznych, pozwalała publicystom „gadzinowym” twierdzić, że to właśnie okupacja hitlerowska przyniosła polskiemu chłopu i robotnikowi... wyzwolenie spod ucisku kapitalistów i obszarników!... *Non plus ultra!* — jeśli chodzi o cynizm i perfidię w zakłamaniu propagandowym.

## NIEBEZPIECZNE NEKROLOGI

Już w początkach r. 1940 zaczęły się ukazywać, głównie w *Nowym Kurierze Warszawskim* nekrologi donoszące o „tragicznych” lub „nieoczekiwanych” zgonach Polaków w Mauthausen, Dachau i innych obozach koncentracyjnych. Liczba tych nekrologów zwiększała się coraz bardziej; zdarzały się numery *Nowego Kuriera Warszawskiego*, zawierające po kilka, a nawet kilkanaście podobnych ogłoszeń. Nie szło to, rzecz prosta, po linii interesów i zamiarów władz okupacyjnych, toteż wkrótce wydane zostało zarządzenie co do bardziej „odpowiedniej” — więc mniej sugestywnej — stylizacji nekrologów: wolno było jedynie zawiadamiać o śmierci, nie wolno było natomiast wspominać o śmierci „tragicznej” i „niespodziewanej”, ani też podawać nazwy miejsca kaźni. Uważny czytelnik orientował się jednak, mimo tych ograniczeń, co do istotnych okoliczności zgonu: niewskazanie w nekrologu daty i miejsca pogrzebu już samo przez się legitymowało zmarłego jako ofiarę zbrodni hitlerowskich. Takich z konieczności niepełnych a wymownych nekrologów było — niestety — wciąż bardzo wiele. Należały one do tych czynników oddziały



wania prasowego, które bez udziału i wbrew woli wydawców neutralizowały skutecznie propagandę politycznej części dziennika.

Charakterystycznym redukcjom uległa też bardzo szybko prowadzona początkowo w *Nowym Kurierze Warszawskim* rubryka wiadomości z prowincji pt. *Zycie kraju*. Ponieważ już pod koniec r. 1940 rubrykę tę zaczęły wypełniać niemal całkowicie dane o napaściach zbrojnych, zabójstwach i grabieżach dokonywanych przez najrozmaitsze czynniki, co składało się na kompromitujący „silną władzę” okupacyjną obraz bezpieczeństwa kraju, zakazano w ogóle publikowania tego rodzaju wiadomości. Wskutek tego, rubryka prowincjonalna, pozbawiona swej głównej treści, przeszła w stan zaniku.

### TOKSYNY ARTYSTYCZNE

Jednym z przejawów hitlerowskiego „kulturregerstwa” w Generalnej Gubernii było zakładanie, zwłaszcza w Warszawie, teatrzyków rewiowych, pozostających oczywiście pod czujnym nadzorem wydziału propagandy i przez ten wydział inspirowanych. Artystyczny bezsens, wyświechtany szablon i ordynarna pornografia walczyły z sobą o lepsze w tych teatrach otwieranych celem oglupiania publiczności polskiej. Nawet w „reprezentacyjnym” teatrze m. Warszawy dokumentowano „wyższość” kultury niemieckiej jedynie wystawianiem starych operetek w rodzaju *Ptasznika z Tyrolu*, uważając widocznie, że tego rodzaju produkcje odpowiadają duchowym potrzebom „nie-niemieckiej ludności”. Wszystkie te widowiska, nie wyłączając najędźniejszych kiczów rewiowych, były na łamach „gadzinówek” bardzo hucznie reklamowane za pomocą odpowiednich notatek, wywiadów, zdjęć fotograficznych, sążnistych sprawozdań itp. Chodziło o systematyczne demoralizowanie publiczności polskiej, o absorbowanie jej myśli pseudoartystyczną bzdurą. W ogólnym systemie hitlerowskiej propagandy rola teatrów i teatrzyków była dokładnie określona, dlatego też na stanowiska kierownicze powoływano ludzi, których szkodliwą działalność trzeba było likwidować w drodze wyroków naszych organizacji podziemnych.

Wychwalanie bezmyślnych a deprawujących produkcji „artystycznych” należało do zespołu trucicielskich obowiązków prasy „gadzinowej”. Istniały zresztą wśród niej wydawnictwa specjalne, jak np. tygodnik „Fala”, które dobozem ilustracji, wierszyków i całego w ogóle materiału miały pogłębiać i upowszechniać demoralizujące działanie prasy codziennej.

### WYMOWNE MILCZENIE

Rozpatrując działalność „gadzinówek” w dobie okupacji, trzeba brać pod uwagę nie tylko to, co w tych czasopismach drukowano, lecz i to również, co pomijano świadomym milczeniem. Zwłaszcza, że te sprawy pomijane należały do rzędu faktów i zjawisk dla opinii polskiej notorycznych, a charakteryzujących zarazem najlepiej metody i cele rządów okupacyjnych.

Nie ogłaszano więc w prasie wiadomości o „łapaniach” czyli obławach ulicznych, choćby w największej skali dokonywanych, o zamachach na dygnitarzy i urzędników niemieckich, o egzekucjach publicznych, o represjach względem ludności żydowskiej itp., choć o niektórych spośród takich faktów gło-

siły często obwieszczenia urzędowe na murach i parawanach. Nawet trwające przez kilka tygodni powstanie w ghetcie warszawskim i związane z powstaniem okrucieństwa władz okupacyjnych — cała ta tragedia wielotysięcznych mas żydowskich, znana tak z bliska ludności Warszawy, a poza obrębem stolicy również bardzo głośna, nie znalazła w prasie „gadzinowej” absolutnie żadnego odbicia.

Wyjątki od stosowanej szeroko zasady przemilczania były niezmiernie rzadkie i uwarunkowane zawsze jakimśi okolicznościami szczególnymi. Tak np., gdy w końcu r. 1943 z rozkazu hitlerowskiego sady sty powieszono na balkonach jednego z domów przy ulicy Leszno dwudziestu kilku więźniów politycznych, a wstrząs wśród opinii polskiej był już zbyt widoczny i gwałtowny, uznano za konieczne ogłosić w *Nowym Kurierze Warszawskim* krótki komunikat „uzasadniający” niesłychane bestialstwo koniecznością „walki z bandytyzmem”.

Nakazane milczenie „gadzinówek” o faktach powszechnie znanych i szeroko komentowanych nie było jedynie stosowaniem metody, określanej niemieckim słowem „*totschweigen*”. Tu chodziło raczej o coś innego, mianowicie — o zacieranie w miarę możliwości śladów popełnianych zbrodni, o utrudnianie ich ewentualnej rekonstrukcji na podstawie materiału dokumentarnego.

Numer legalny gazety z wydrukowanym w niej obwieszczeniem urzędowym o rozstrzelaniu tylu bardzo ryzykowna.

Te właśnie względy brane były z pewnością pod uwagę przez okupacyjnych „speców”, którzy — jako wytrawni i doświadczeni zbrodniarze — starali się zmniejszać do minimum sumę materiału dowodowego.

### PARĘ SŁÓW NA ZAKOŃCZENIE

Pobieżny i niepełny — głównie na podstawie pamięci autora odtworzony — obraz polityki prasowej hitlerizmu w czasach okupacji uzupełniony będzie niewątpliwie w przyszłości niejednym bardzo dokładnym i źródłowym opracowaniem. Na tym miejscu chodziło mi jedynie o zaznaczenie pewnych linii kierunkowych tej polityki, o uwydatnienie jej najbardziej znamienych cech i właściwości.

Na zakończenie należało by jeszcze postawić pytanie, czy, pod jakim względem i w jakim stopniu propagandowe cele prasy „gadzinowej” zostały zrealizowane, czy istnieją w zmienionej już rzeczywistości naszej oznaki, które mogłyby świadczyć o pewnej trwałości śladów tej destrukcyjnej roboty. Odpowiedź na to pytanie nie mieści się w ramach naszego tematu, wymaga bowiem rozleglejszych badań, szerszego i specjalnego omówienia. Uważna obserwacja bieżących faktów i wydarzeń poucza pod tym względem o niejednym i ułatwia postawienie sprawy na gruncie niezbędnej rzeczywistości.

Badając problem wpływów, pozostawionych przez wydawnictwa „gadzinowe” w naszej świadomości zbiorowej, należy uwzględnić dwa bardzo istotne czynniki. Po pierwsze: codzienna prasa „gadzinowa”, dysponująca w zakresie legalnym przywilejem wyłączności informacyjnej rozpowszechniana była w wielkiej ilości egzemplarzy; np. nakład *Nowego Kuriera Warszawskiego*, w szczytowej fazie „rozkwit” tego dziennika, przewyższał 100.000, co było cyfrą imponującą w porównaniu do przeciętnych nakładów przedwojennych dzienników polskich. Po drugie: działalność prasowa „gadzinówek” trwała z górami lat pięć, to znaczy okres sączenia trucizny w nasz orga-



nizm społeczny był tak długi, że nie mogły nie wystąpić tu i ówdzie objawy zatrucia. Uwzględnienie tych dwóch czynników — intensywności i czasu oddziaływania — jest konieczne przy badaniu kwestii wpływu prasy okupacyjnej na polskiego czytelnika.

Poczytność tej prasy była — rzecz można — zastraszająca, choć wymuszona istniejącymi warunkami; jej „słowo drukowane” trafiało oczywiście na

różny stopień intelektualnej i moralnej odporności konsumenta. Dlatego też nie wszystko, co pisały „gadziniówki”, stawało się zawsze tylko grochem rzucałym o ścianę, dlatego też czerpane z nich przez lata całe pewne propagandowe szablony pojęciowe, pewne uproszczone złośliwie kompleksy i skojarzenia polityczne, pokutują i straszą po dziś dzień, nawet w odmienionych już całkowicie warunkach naszego bytu.

**HENRYK SZIPPER**

## STRATY WŚRÓD POLONISTÓW

Pomimo ciężkich warunków, w jakich rozwijała się oświata w Polsce przedwrześniowej, panował dość ożywiony ruch umysłowy w dziedzinie polonistyki i to zarówno w zakresie nauki o literaturze i języku, jak w metodyce nauczania tych dyscyplin w szkole średniej czy powszechnej.

Na terenie Polski ścierały się różne prądy badań literackich, idące z Zachodu i Wschodu, krzewiły się też zdobycze nowych kierunków w dydaktyce języka ojczystego, oparte na wzorach wiedeńskich z epoki austromarksizmu, niemieckich z doby weimarskiej oraz anglosaskich, możliwie przystosowywane do warunków miejscowych.

Katedry polonistyki na uniwersytetach, Tow. Literackie im. A. Mickiewicza, Tow. Polonistów Rzpl. Pol., Tow. Miłośników Języka Polskiego, Tow. Poprawności Językowej, czasopisma „Pamiętnik Literacki”, „Ruch Literacki”, „Życie Literackie”, „Polonista”, „Język Polski”, „Poradnik Językowy”, periodyczne wydawnictwa rozpraw doktorskich (jak „Badania Literackie” Kleinera, Prace Historyczno-Literackie Chrzanowskiego i in.), Centrala instruktorska oraz Ogniska Metodyczne Języka Polskiego przy Kuratoriach Szkolnych i podporządkowane im Podogniska — oto różne ośrodki, z których promieniowała polonistyka naukowa i stosowana. Wokół tych ośrodków skupiały się całe zastępy oddanych pracowników, przy czym większość ich, z powodu braku materialnych możliwości poświęcenia się wyłącznie pracy badawczej, łączyła zwykle zawód nauczycielski ze studiami naukowymi.

Z wymienionych placówek działają dziś jedynie niektóre katedry uniwersyteckie, poza tym w Krakowie odżyło Ognisko Metodyczne Języka Polskiego. W innych działach odbudowa jest jeszcze sprawą przyszłości. Jako główna przeszkoda występuje tu — oprócz ogólnych spustoszeń i trudności życia powojennego — ogromna liczba strat, jakie poniosła polonistyka w czasie wojny.

Sporządzając bilans strat ludzkich w tej najważniejszej dziedzinie kultury polskiej, pragnę podkreślić, że daleki jest on od zupełności, nawet jeśli chodzi o nazwiska wybitne. Ogranicza się bowiem jedynie do osób, o których zgonie posiadam informacje, nie budzące wątpliwości.

Listę ofiar otwiera jedno z najbardziej szacownych nazwisk: Ignacy Chrzanowski, profesor historii literatury polskiej na uniwersytecie krakowskim, wychowawca kilku pokoleń naukowców i nauczycieli — polonistów. Aresztowany podstępnie przez Niemców wraz z wieloma innymi uczonymi, został wywieziony do

oboju koncentracyjnego w Oranienburgu, gdzie go zamorzono głodem.

Nie była to jedyna strata wśród uczonych. Śmierć męczeńską poniósł również drugi profesor wszechnicy krakowskiej Stefan Kołaczkowski, autor studiów o Wyspiańskim i Kasprowiczu, redaktor czasopisma „Marcholt”, poświęconego zagadnieniom kultury, krytyk literatury najnowszej. Kołaczkowski zmarł po opuszczeniu „oboju profesorskiego”.

Od bomby w czasie obrony Warszawy w r. 1939 zginęli Józef Gołębek, uczony sławista, znawca folkloru, współautor wypisów polskich dla wszystkich prawników klas szkoły powszechnej i gimnazjum, oraz Józef Birkenmajer, propagator literatury polskiej na uniwersytetach amerykańskich. Na liście ofiar Katynia figuruje nazwisko Henryka Życzyńskiego, profesora uniwersytetu lubelskiego, historyka literatury, jej teoretyka oraz dydaktyka, uczonego o bardzo szerokiej skali zainteresowań, co znajdowało wyraz w jego publikacjach.

Obóz w Majdanku stał się miejscem kaźni Kazimierza Kolbuszewskiego, profesora literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim, mianowanego w r. 1940 z racji długoletnich studiów w Niemczech — kierownikiem katedry germanistyki w tejże uczelni. Szczegóły aresztowania nie są dostatecznie znane. Pono wchodziła tu w grę pomoc udzielona osobom, ściganym przez niemieckich siepaczy.

Stanisław Windakiewicz, długoletni profesor historii lit. pol. na uniw. krakowskim, autor monografii o Kochanowskim, o „Teatrze polskim przed powstaniem sceny narodowej” i in., zmarł w r. 1943 w Krakowie.

Leon Pomirowski, znawca teatru i literatury współczesnej, autor książek „Doktryna i twórczość”, „Nowa literatura w nowej Polsce” i in., aresztowany przez gestapo za przynależność do organizacji konspiracyjnej grupującej się wokół pisma „Głos Prawdy”, zmarł w Majdanku.

Ludwik Kdmykowski, docent historii oświaty uniw. Jagiell., autor pracy o Krasickim, uległ chorobie nabytej w Sachsenhausen. Zmarł w Krakowie w r. 1944.

Józef Flach, autor szeregu studiów o poetach „Młodej Polski”, recenzent teatrów krakowskich, zmarł przedwcześnie wskutek wyczerpania wojennego.

Henryk Oesterreicher, adiunkt uniw. krak., czynny na polu lingwistyki, współpracownik „Języka Polskiego”, zmarł w Krakowie w czasie wojny.



Nie był polonistą, ale duży wpływ wywarł na polonistów pracami i wykładami germanista warszawskiego uniwersytetu *Zygmunt Lempicki*, podobnie jak pod innym względem oddziałal na nich swymi studiami z historii literatury i recenzjami teatralnymi *Tadeusz Boy-Żeleński*, w latach 1939 — 1941 profesor literatury francuskiej na uniwersytecie lwowskim. Pierwszy został zamordowany w obozie oświęcimskim, drugiego gestapo rozstrzelało w kilkanaście dni po wkroczeniu Niemców do Lwowa w r. 1941.

Ciężkie warunki wojenne przyspieszyły w r. 1941 zgon *Aurelego Drogoszewskiego*, profesora historii literatury polskiej w Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. W pamięci ogółu uczony ten przetrwał jako przyjaciel Orzeszkowej, redaktor zbiorowej edycji jej dzieł i listów oraz autor monografii o czołowej pisarce naszego pozytywizmu. Kontynuował on na terenie życia naukowego najlepsze, postępowe tradycje tej doniosłej dla naszej kultury epoki.

Przechodzę do zasłużonych polonistów spoza terenu uniwersyteckiego. W Oświęcimiu zginęli: *Konstanty Troczyński*, poznański myśliciel i teoretyk literatury, oraz *Ignacy Fik*, autor znakomitej rozprawy o języku Norwida, pisarz, który podjął w swym *Społecznym rodowodzie literatury polskiej* pierwszą u nas próbę ujęcia dziejów literatury polskiej w duchu teorii materializmu historycznego.

W Oświęcimiu zmarł na tyfus (1941) zapowiadający się dobrze w dziedzinie badań estetyczno-literackich i dydaktyki języka ojczystego polonista warszawski *Kazimierz Lissowski*. W Linzu został zamęczony *Stefan Przybóś*, kierownik Podogniska Metodyki Języka Polskiego w Samborze, współautor szeregu przewodników metodycznych do wypisów polskich. Zadenuncjowali go w r. 1939 po wkroczeniu Niemców miejscowi nacjonaliści ukraińscy. W Katyniu zginął *Franciszek Koziół*, zasłużony kierownik Ogniska Polonistycznego w Katowicach.

W związku z aresztowaniem prof. Lempickiego zginęła też *Anna Chorowiczowa*, autorka cennej rozprawy o „Konfederatach barskich” Mickiewicza, współredaktorka encyklopedii dla młodzieży „Świat i Życie”. Pod gruzami domu przy ul. Królewskiej 31 w Warszawie znalazła śmierć w r. 1939 *Regina Reicher-Karniółowa*, recenzentka prac historyczno-literackich w *Wiadomościach Literackich*. W październiku 1939 roku rozstrzelano *Rafała Marcelego Blütha*, przychwyconego na robocie piśmarniczej antyhitlerowskiej. Myśliciel ten, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli ruchu katolickiego, skupiającego się wokół czasopisma *Verbum*, przysłużył się polonistyce głównie wartościowymi przyczynkami do analizy *Dziadów* drezdeńskich; później przerwucił się na teren badań nad literaturą rosyjską.

W czerwcu 1941 r. została we Lwowie zabita odłamkami bomby niemieckiej *Zofia Charszewska*, autorka wierszyków dziecięcych i *Elementarza*, wydanego tamże w r. 1940, bardzo czynna przy układaniu nowych programów literatury polskiej w latach 1939 — 1941. W kilkanaście dni później zginął na wsi z rąk nacjonalistów ukraińskich (w czasie wycofywania się na Wschód) mąż jej, wybitny polonista-marksista, współautor wydanych podówczas wypisów polskich.

W czerwcu 1942 r. wstrząsnęła inteligencją warszawską wieść o straszliwych przejściach na Pawiaku

*Anny Białokurowej*. Pani Anna, uwielbiana przez młodzież nauczycielka w szkołach stolicy, osoba pełna pogody i uśmiechu, entuzjastka Żeromskiego, o którym pisała i wykladała, wpadłszy wskutek prowokacji w sieci gestapo, uznała za jedyny ratunek przed dalszymi torturami samobójstwo w szpitalu więziennym.

Gruźlica strawiła w czasie okupacji młody organizm *Franciszka Siedleckiego*, autora dwutomowego studium o metryce polskiej. Strata to dla polonistyki wprost niepowetowana, gdyż był to jeden z nielicznych w Polsce ludzi torujących nowe drogi nauce o wierszu. W Uzbekistanie padł ofiarą epidemii tyfusu *Józef Cinader*, współautor podręcznika gramatyki polskiej, wydanej we Lwowie w r. 1940 i *Schwamm* (imienia nie pamiętam), autor studium o Słowackim, które miało wejść do opracowywanej we Lwowie w latach 1940 — 41 zbiorowej *Historii literatury polskiej* pod redakcją Jerzego Borejszy.

W czasie powstania warszawskiego zginął wskutek działań bojowych *Alfred Tom*, polonista starszego pokolenia, zasłużony głównie jako wydawca pism poświęconych Langego i Leśmiana (skądinąd utalentowany tłumacz, czemu dał wyraz w różnych antologiach i wydawnictwach). W tym samym okresie został aresztowany przez żandarmów we Włochach pod Warszawą przy pisaniu na maszynie pracy o powstaniu *Jan Miernowski*, zapowiadający się ciekawie poeta, krytyk literacki i dydaktyk. Rozstrzelano go wraz z całą rodziną. Wskutek ran odniesionych w czasie powstania zmarł w Milanówku *Karol Irzykowski*, jeden z najwybitniejszych krytyków literackich starszego pokolenia. Irzykowski wyniósł z uniwersytetu solidne przygotowanie naukowe, nie tylko w dziedzinie polonistyki, ale też germanistyki i filozofii; prace jego z zakresu krytyki literackiej i teatralnej zawierały wiele cennych i twórczych bodźców dla młodej generacji badaczy literatury polskiej.

Osobną grupę męczenników tworzą ci poloniści, którzy zostali zamordowani wyłącznie z powodu pochodzenia żydowskiego. Na czoło wysuwa się *Ostap Ortwin*, przed wojną prezes oddziału lwowskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich. Debiutował jako krytyk literacki, bodaj w r. 1902, recenzjami w *Krytyce o Wyzwoleniu* i innych utworach „Młodej Polski”. *Ostap Ortwin* oddziałal na naukowe badania w zakresie literatury polskiej głównie studiami o liryce i recenzjami, zamieszczanymi w *Przeglądzie Literackim* i *Pamiętniku Warszawskim*. Po wkroczeniu Niemców do Lwowa nie chciał nosić upokarzającej opaski; później po utworzeniu ghetta nie podporządkował się zarządzeniom niemieckim, lecz przygotowany w każdej chwili na śmierć, pozostał w swoim mieszkaniu. Znaleźli się oczywiście zdrajcy, którzy wskazali go władzom niemieckim, czego wynikiem było rozstrzelanie nestora krytyków literackich w Polsce.

Do nieco młodszego pokolenia należała *Julia Wieleżyńska*, autorka monografii o Konopnickiej, studiów o Asnyku i wielu prac z dziedziny literatury polskiej, włoskiej oraz filozofii, ponadto inicjatorka wielu pożytecznych instytucji, komitetów itp. Córka zasłużonego z czasów caratu profesora matematyki *Samuela Dicksteina*, również nie poszła do ghetta. Zadenuncjowana przez jakąś kucharkę, została aresztowana i po odsiedzeniu kary więzienia przetrzona za mur do



ghetta, skąd niebawem zbiegła. Kryjąc się pod przybranym nazwiskiem, schorowana i na wpół oślepiła, zmarła w r. 1943 w przytułku na Powiślu.

Nieomał rówieśnikiem Wieleżyńskiej był Józef Mirski, pochodzący z dawnej Wschodniej Galicji. Przed pierwszą wojną światową wydał jako Józef Kretz studia historyczno-literackie o Wyspiańskim. W tymże okresie zaczął ogłaszać poezje w stylu młodopolskim pod pseudonimem Józefa Mirskiego. Wydał antologię poezji polskiej pt. *Od Asnyka do poetów Wielkiej Wojny*. W okresie międzywojennym pracował w Warszawie, gdzie przerwano go na pole nauk pedagogicznych, propagując zdobycze postępowej pedagogiki zachodnio-europejskiej. W roku 1943 zadenuncjowano go na ulicy w Warszawie i odtąd ślad po nim zaginął.

W tymże roku przepadł podobnie we Lwowie Włodzimierz Jampolski, syn znanego niegdyś w Galicji posła ludowego z Piasta. W Polsce przedwrześniowej był Jampolski wybitnym i nieustraszonym publicystą obozu demokracji. Jako poloniista zasłużył się szeregiem studiów, z których najbardziej znane nosi tytuł *Stefan Żeromski jako duchowy wódz pokolenia*.

Z młodszych polonistów zmarł w dwa tygodnie po wkroczeniu Niemców do Lwowa Henryk Balk. Popęłił samobójstwo przez zażycie cyjankali, nie chcąc nałożyć upokarzającej opaski. Był on autorem książki o wyobraźni artystycznej Wyspiańskiego (*Badania Literackie* tom III) i cenionym nauczycielem. Przez wiele lat zamieszczał w lwowskiej *Gazecie Porannej* artykuły literackie, wydał też tomik poezji pt. *Anioł nieznan*. W Nowogródczynie został zamordowany przez Niemców Ludwik Fryde, znany z prac ogłaszanych w *Pionie* i *Drodze*, współautor wydanej w roku 1939 antologii współczesnej poezji polskiej, niewątpliwie najzdolniejszy krytyk młodego pokolenia przed wojną.

W ghetcie warszawskim zostali zabici: znawca literatury staropolskiej Alfred Fei oraz marksistowski teoretyk literatury Dawid Hopensztand, autor studium o literaturze XVIII wieku, włączonego do wspomnianej już lwowskiej *Historii literatury polskiej*. Ponadto zginęli teatrologi: Stefan Rumielt, współautor wypiśców polskich z roku 1940, i Jerzy Centnerszwer.

W obozie złoczowskim zatorturowano Wilhelma Barbasa, autora monografii o stosunku twórczości Wyspiańskiego do romantyzmu polskiego i stałego współpracownika wydawanego przez prof. Ganszyńca *Przeglądu Humanistycznego*. W tymże piśmie zamieszczali studia Karol Klein i Karol Dresdner (ten ostatni również poeta, autor tomiku *Heine i nieznajoma*). Obaj ponieśli śmierć. Tak samo zginęli znani z terenu łódzkiego poloniści: Wilhelm Fallek, teatrolog i autor wiele studiów o wpływach biblii na literaturę polską, oraz Gizela Reicher-Thonowa, autorka wydanej przez Polską Akademię Umiejętności książki *Ironia w twórczości Słowackiego*, asystentka Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi. W rodzinnym Trzemeszynie koło Czortkowa padł ofiarą likwidacji ghetta Leon Langholz, autor wartościowych prac o wpływach metod badania literatury na metody nauczania w szkole. We Lwowie rozstrzelany został Adolf Schall, który jako jeden z instruktorów metodycznych języka polskiego w latach 1939 — 1941 walczył przyczynił się do utrzymania wysokiego poziomu tego przedmiotu w szkołach Okręgu Lwowskiego. We Lwowie również poniósł śmierć męczeńską z ręki nacjonalistów ukraińskich wybitny sławista Juliusz Ramberg.

Zegnając w tym ponurym a pobieżnym wykazie drogie cienie zmarłych pionierów polonistyki, pragnę choć w ten skromny sposób przypomnieć wielkość ich zasługi wobec kultury narodowej.

## 1-szy WRZEŚNIA

Wojna, zakończona rozgromieniem Niemiec i dogasająca na dalekich przestrzeniach Azji Wschodniej i wysp Oceanu Spokojnego, nie bez powodu nazywana bywa „wojną polską”. Bezpośrednią bowiem przyczyną wybuchu wojny była odmowna odpowiedź Polski na terytorialne żądania Hitlera, co stało się hasłem do zaatakowania jej przez Niemców w dniu 1-szym września 1939 roku. Gdańsk był Sarajewem drugiej wojny światowej. Tak jednak, jak zamach na austriackiego arcyksięcia, tak i walka o ten port bałtycki nie zdolne były same wywołać potężnych dziejowych kataklizmów.

Nieprędko zapewne dowiemy się, kto i w jakim celu wyniósł Hitlera, który stał się miał narzędziem dla poskromienia wszystkich sił postępu politycznego i społecznego w Europie. Rękami tego historyka chciano cofnąć wstecz koło historii. Kiedyś opowie nam ktoś może dzieje buntu tego narzędzia międzynarodowej reakcji, odkryje tę chwilę, gdy Hitler, spostrzegłszy swą siłę, postanowił odegrać rolę samodzielną, stać się panem świata, w walce nawet ze swymi mocodawcami. Stało się więc tak, iż monachijskie sztuczki i zakłęcia okazały się bezsilne. Interesy narodów były zbyt wyraźnie

sprzeczne z dalszym „pokojowym” pochodem narodo-„sojalistycznych” Niemiec, by mógł ostać się rząd, który by poszedł na dalsze ustępstwa.

Rezultatem tej polityki było, że i Polska i Wielka Brytania, a częściowo także i Francja przystąpiły do walki z największą potęgą militarną owego czasu całkowicie nieprzygotowane. Linie obronne naszego kraju według planów sztabowych leżały na wschodzie a nie na zachodzie. Wszystkie plany operacyjne przewidywały wojnę ze Związkiem Radzieckim a nie z Niemcami, a liczba wojska angielskiego, które miało wystąpić w obronie wysp macierzystych i olbrzymiego imperium przedaw milionowym armiom Osi, nie sięgała stu tysięcy. Siła zaś militarna Francji osłabiona była przez wewnętrzną defetystyczną propagandę, działającą pod hasłem: „Nie chcemy umierać za Gdańsk”.

Głosili ją ci sami, którzy nie zawahali się potem posyłać swych rodaków na śmierć za Hitlera w walce z broniącymi swej wolności Rosjanami, Białorusinami i Ukraińcami.

Do tego wszystkiego dochodził brak porozumienia między mocarstwami Zachodu i Związkiem Radzieckim, porozumie-



nia, które jedno mogło zasachować Niemcy lub też spowodować krótsze trwanie nieuniknionej wojny.

To porozumienie dokonane zostało dopiero w toku wojny, tak samo jak i w toku wojny dopiero demokracje dokonały swego dobrożenia, które umożliwiło pokonanie wroga. Na to jednak trzeba było, by odsunięci zostali od władzy monarchicy, by działać zaczęły motory demokracji, która zaprzęgała do pracy wszystkie siły ludowe w obronie swego istnienia. Pozostaje rzeczą do obliczenia, o ile to militarne i polityczne nieprzygotowanie państw, które stać się miały przedmiotem agresji Niemiec, przyczyniło się do przedłużenia wojny, i o ile więcej pociągnęło za sobą ofiar. Będą to straszliwe liczby,

oskarżające wszystkich popleczników, jawnych i tajnych agentów faszystów w sztabach i gabinetach ministerialnych.

Dziś obchodzimy szóstą rocznicę wybuchu największej wojny w dziejach świata, mając już poza sobą tę straszną walkę o być albo nie być ludzkości. Ludzkość została uratowana o krok niemal od ostatecznej zguby. Polska i świat cały pragnie pokoju, trwałego wielkiego pokoju, który by dał narodom możliwość odbudowy zniszczeń materialnych i moralnych i umożliwił odnowę życia na innych zasadach — na zasadach wolności i sprawiedliwości — dla ludów i dla jednostek. Tylko wówczas, gdy pokój taki zostanie zbudowany, wszystkie ofiary tej wojny nie pójdą na marne.

## UMARŁ STEFAN JARACZ

„Nadszedł czas, że teatr może się stać poważną instytucją w budowie kultury narodu, taką, jaką jest w świadomości społeczeństwa bezsprzecznie szkoła. Jest to czas, w którym może się skończyć dwuznaczność społeczna teatru.

„Sklep, czy potężna instytucja, zaspakajująca głód sztuki w najbardziej zrozumiałej i dynamicznej formie?

„Przedsiębiorstwo tandetnej sztuki stosowanej czy trybuna idei?

„Arena tanich popisów aktorskich, czy szkoła gestu, mowy i obyczajów?

„Do tego wyjaśnienia i rozgraniczenia dojść wreszcie musi, aby uniknąć nieporozumień i wyjść z mętnej zakłamannej atmosfery“.

Tymi słowy zwracał się Stefan Jaracz na kilka dni przed śmiercią do aktorów polskich i do całego społeczeństwa. Kreśląc te zdania, wielki artysta zamykał w nich treść swego życia, wciągającego się nierozdzielnie z historią teatru polskiego ostatnich lat czterdziestu.

Syn wiejskiego nauczyciela, urodzony w roku 1883 w okolicach Tarnowa, odbył ciężką drogę życiową, nim dotarł do wrót Uniwersytetu Jagiellońskiego, na wydział filozoficzny. Pracował przy tym zarobkowo jako korektor w redakcji NAPRZODU. Rzucił jednak to zajęcie, by poświęcić się wyłącznie teatrowi. Wielki jego talent rozblysnął w całej pełni i dojrzał w latach po pierwszej wojnie światowej. Kładąc

kres ciągłym życiowym i artystycznym nieporozumieniom z kierownikami scen oficjalnych, założył w Warszawie na Powiślu, w gmachu Związku Zawodowego Kolejarzy, własny teatr — ATENEUM, którego utworzenie umożliwiły mu organizacje robotnicze i TUR. Tam skupił wokół siebie szereg młodych aktorów i z tego periferijnego, skazanego zda się na zagładę teatrzyku, uczynił pierwszą scenę stolicy Polski.

Tu, w atmosferze niezależności i całkowitej nieoficjalności, stworzył swe najznakomitsze kreacje. Po wybuchu wojny przebywał w Warszawie, stając się duchowym przewodnikiem aktorstwa polskiego. Na wiosnę 1941 roku w związku ze sprawą zamordowania Igo Szyma i poszukiwaniem Dobiesława Damięckiego, Jaracz wraz z szeregiem innych aktorów został aresztowany i wysłany do Oświęcimia. Wrócił stamtąd po sześciu tygodniach ze śmiertelnymi zarazkami gruźlicy, która stała się przyczyną jego zgonu.

Z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej i Wojska Polskiego do Otwocka, gdzie ostatnio stale przebywał, udał się Jaracz do Lublina, by dać wyraz swej radości z powodu utworzenia demokratycznej władzy Rzeczypospolitej. Przez całe życie pozostał wierny środowiskowi, z którego wyszedł, i zawsze reprezentował ideologię służby sztuki dla ludu.

To też gdy zmarł, dnia 10 sierpnia r.b., zgon jego okrył żalobą nie tylko teatr polski, ale cały naród.



## KRONIKA ZAGRANICZNA

Z. S. R. R.

**Nowe książki.** Powieści biograficzne w dalszym ciągu fascynują czytelników radzieckich. Po **Piołrze Wielkim** Tolstoj, po **Dymitrze Dońskim** Borodina, po **Emelianie Pugaczewie** Szyszkowa, przyszła kolej na **Iwana Groźnego**. Napisał ją Walentyn Kostyliow, znany ze swoich opowiadań historycznych, rozkochany w podaniach i baśniach starej Rosji, autor popularnej „vie romancée” **Kozna Minia**. Kostyliow, który mieszka w Gorkim i liczy obecnie 60 lat, otrzymał niedawno order „Czerwonego Sztandaru”. Opowieść Kostyliowa, którego krytyka radziecka nazywa Walterem Scottem ZSRR, jest trylogią. Dwa pierwsze tomy – **Moskwa gotuje się do wojny** i **Morze** – opuściły niedawno prasę. Trzeci i ostatni tom jest obecnie w druku. Autor przedstawia w swej powieści postać Iwana Groźnego, jako pierwszego dojrzałego męża stanu starej Rosji, organizatora, ordonownika centralizacji i reformatora na miarę europejską.

**Zgon współczesnego Homera Kazachstanu.** Z Alma Aty nadeszła wiadomość o zgonie Dzambul Dzabajewa, największego poety Kazachstanu, zwanego Homerem XX wieku. Narodowy piewca Zw. Radzieckiego, Dzambul wstawił się swymi pieśniami, która przełożone były na wszystkie języki narodów ZSRR. Do popularnych utworów kazachskiego wieszczka należała słynna „Pieśń o Stalinie”, „Poemat o ojczyźnie”, „Pieśń o wiośnie narodów” oraz utwór pt. „Jam slyszal Stalina”. W czasie obecnej wojny stuletni ten starzec (ur. w 1846 r.) pieśniami swymi zagrzewał do wytrwania i zemsty. Pamiętne były jego „Pieśni o wojnie” i apel do obrońców oblężonego Leningradu pt. „Leningradcy, dzieci mojej”. Dzambul odznaczony był wszystkimi najwyższymi orderami Zw. Radzieckiego, a w swej bliższej ojczyźnie zżywał legendarnej wprost sławy. Warto zaznaczyć, że zmarły wieszcz narodu kazachskiego zaczął tworzyć w okresie Rewolucji Październikowej, mając lat przeszło 70, pod wpływem wyzwolenia braci swych spod jarzma carskiego.

**Utwory Wieniawskiego w Moskwie.** Na jednym z wieczorów muzycznych w Moskwie, poświęconych twórczości kompozytorów słowiańskich, wykonała Halina Barinowa, znakomita skrzypaczka radziecka, utwory Henryka Wieniawskiego. Wykonany został jego Drugi Koncert skrzypcowy. Poza tym wykonane zostały utwory Dworzaka i Głazunowa.

**Sergiusz Prokofiew wykonał własną Piątą Symfonię** (op. 100), dyrygując na koncercie w Moskwie Państwową Orkiestrą Symfoniczną ZSRR. „Piąta Symfonia” jest zdaniem krytyki muzycznej jednym z najlepszych utworów współczesnej muzyki radzieckiej.

**Aleksander Goldenweiser**, znakomity pianista i pedagog, napisał nową operę według libretta „Spiewaków” Iwana Turgieniewa. Prapremiera opery odbyła się w Domu Aktora w Moskwie. Jak wiadomo, Goldenweiser był osobistym przyjaciелеm Lwa Tolstoj, o którym napisał swego czasu interesującą książkę. Goldenweiser opisał w niej swoje spotkania z genialnym prozaikiem XX wieku.

**Prokofiew otrzymał złoty medal British Music Society.** Znany kompozytor radziecki, Sergiusz Prokofiew otrzymał z rąk ambasadora W. Brytanii w Moskwie, sir Archibalda Clarc Kerra złoty medal Królewskiego Brytyjskiego Towarzystwa Muzycznego. Prokofiew jest 49 osobą, która od r. 1813 otrzymała wspomnianą nagrodę. Między laureatami Towarzystwa znajdują się np. takie sławy, jak Brahms, Gounod, Adelina Patti i Fritz Kreisler.

**Nowe pieśni zwycięstwa.** Na cześć Parady Zwycięstwa państwowe wydawnictwo w Moskwie wydało w wielkich nakładach nowe pieśni i marsze radzieckich kompozytorów. M. in. ukazały się – „Ballada o Stalinie” M. Kowala (słowa L. Oszanina), „Pieśń sławy” Z. Kompaniejca (słowa A. Zarowa), „Pieśń bohaterów” B. Mokrousova (tekst W. Tichonowa) oraz marsz „Zwycięstwo” M. Starokadomskiego.

**Teatry narodowościowe w RSFSR.** W Rosyjskiej Federacyjnej Republice Radzieckiej czynnych jest w chwili obecnej 84 teatrów, grających w 24 językach. Na 69 sztuk, jakie ostatnio były grane w tych teatrach, 16 poświęconych było Wojnie Narodowej, reszta zaś różnym problemom, związanym z życiem nasodów radzieckich. Należy zaznaczyć, że teatry narodowe w Republice Rosyjskiej korzystały z twórczości własnych pisarzy, a tylko cztery sztuki zaczerpnięte były z repertuaru rosyjskiego.

**Trzeci tom pism Gorkiego.** W dziewiątą rocznicę śmierci Maksyma Gorkiego, która obchodzona była bardzo uroczysto w ZSRR, instytut literacki przy Akademii Nauk ZSRR wydał trzeci tom pism autora Klima Samgina. Znajdujemy tu korespondencję Gorkiego z krytykiem S. Wengierowem z okresu 1907 do 1916 r. i z redaktorem czasopisma **Wiestnik Europy** D. Owsianko - Kulikowskim, z Amfiteatrowem i redaktorem **Zur-nata** dla **Wsiech** Mirolubowem.

**Współczesny Gorki.** W wielkiej sali wszechrosyjskiego towarzystwa teatralnego otwarta została trzydniowa konferencja naukowa pt. **Współczesny Gorki** pod przewodnictwem L. Leonowa. Tematem obrad był słosunek Gorkiego do narodowej tradycji rosyjskiej klasycznej literatury. Z referatami oprócz Leonowa wystąpili I. Gruzdiew i W. Desnicki.

**Nowe książki w Zw. Radzieckim.** Ukazał się wybór utworów prozaicznych Al. Tolstoj, w którym znajdujemy m. in. opowiadania z książek: „Pod starymi lipami”, „Dzieciństwo Nikity”, „Hrabia Cagliostro” i „Powieści smutnych czasów”. Poza tym weszły tam artykuły z czasów ostatniej wojny. – Liudas Gira wydał tomik wierszy pt. „Na dalekich drogach”, na który złożyły się utwory napisane na wygnaniu w latach 1941–1943. Poeta Anton Bielewicz wydał zbiór wierszy pt. „Człowiek z dąbrowy”. Jest to młody poeta białoruski, którego wiersze były przekładane niejednokrotnie na język rosyjski. – Goshlitzal wydał pośmiertny tom Demiana Biednego pt. „Salut”. Są to wiersze wojenne o charakterze bojowym. – W Moskwie ukazał się wybór utworów chińskiego pisarza Lu Sin, pod redakcją Wł. Rogowa. M. in. znajdujemy tam 13 opowiadań z życia chińskiej wsi oraz wyjątki z biograficznej po-



wieści pt. „Podła historia A-O”. Kilka słów o autorze napisał Bogow, a Lu Sin zopatalnył rosyjski przekład swych utworów w przedmowę do radzieckiego czytelnika.

Konkurs na opowiadanie dla dzieci. Redakcja czasopisma „Murzilka” ogłosiła konkurs na opowiadanie dla dzieci. Ustanowione zostały trzy nagrody: I - 10 tys. rubli, dwie II po 5 tys. każda i trzy III nagrody po 3 tys. rubli każda. Nagrodzone prace będą po wydrukowaniu we wspomnianym czasopiśmie, wydane osobno w książce. Konkurs zostanie zamknięty 15 października 1945.

Asy radzieckiego teatru. Pod takim tytułem poszedł w eter cykl audycji radiowych, poświęconych koryfeuszom sceny radzieckiej. Dotychczas wystąpili przed mikrofonem moskiewskiej rozgłośni tacy mistrzowie, jak A. Jabłoczkina, E. Turczaninowa, W. Ryzowa, M. Babanowa, O. Knipper-Czechowa i in.

Srebrny jubileusz szkoły im. Głazunowa w Moskwie. Szkoła muzyczno - teatralna im. Głazunowa obchodziła 25-lecie swego istnienia. Jak wiadomo celem tej uczelni jest przygotowywanie kadr aktorskich dla muzycznej komedii i operetki. Na jubileuszowym pokazie dla świata artystycznego Moskwy odegrane zostały przez zespół szkolny następujące widowiska: „Karnawał w Wenecji” Straussa oraz fragmenty z operetek Offenbacha, Gadzibekowa i in.

30-lecie teatru Tairowa. Moskiewski Teatr Kameralny pod dyrekcją Aleksandra Tairowa obchodził 30-lecie swej pracy sceniczej. W r. 1915 wystawił Tairow pierwszą sztukę pt. „Sakuntala” Kalidasa. Przez okres swej pracy teatr ten odegrał 75 sztuk, w tym 40 rosyjskich i 35 obcych. Teatr Tairowa znany jest nie tylko w ZSRR, ale i na całym świecie i wielu autorów zagranicznych ubiega się o wystawienie swych sztuk na tej scenie. Tairow otrzymał w związku z jubileuszem swego teatru - order Lenina.

Mr Perkins z Chicago. Aleksander Korniejczuk wystawił w Moskiewskim Teatrze Satyrów świętą komedię polityczną pt. „Misja nr Perkinsa w kraju bolszewików”. Mr Perkins jest milionerem amerykańskim, który odwiedził Rosję jesienią 1943 r., kiedy Armia Czerwona forsowała Dniepr. Tu spotyka zwykłego chłopca - Chumaczenko - z Połtawy. Następuje zetknięcie się dwóch światów i stąd wiele komicznych i satyrycznych sytuacji i aluzji. Perkins i Chumaczenko rozmawiają swobodnie, poruszając wszystkie bolączki i zagadnienia przeżywanej wojny. Krytyka nazywa komedię Korniejczuka ostrym i mądrym felietonem dramatycznym.

Teatr Kirgizki. Pośród niedostępnych gór Tien - Szanu, w Republice Radzieckiej Kirgizji, tętni życie teatralne. Wystawiane są opery, dramaty i komedie w języku kirgizkim. Powodzeniem cieszą się zwłaszcza tematy wojenne i to z ostatniej wojny w obronie ojczyzny. Aala Tokombajew wystawił sztukę pt. „Honor”, inny pisarz kirgizki, Alykul Osmonow w swym dramacie „To nie droga” porusza temat powrotu do domu z wojny. Wielkim powodzeniem cieszy się narodowa opera kirgizka Michajła Raukwergera pt. „Chelpon i balet Anat”.

## FRANCJA

Członek akademii Goncourtów André Billy w artykule zatytułowanym „Kryzys myśli - czy jedynie skutkiem papieru?” stwierdza ogólny zastój intelektualny i literacki we Francji. Wbrew oczekiwaniom koniec wojny nie przyniósł spodziewanego rozkwitu sztuki i literatury. Przeciwnie, w porównaniu z osiągnięciami pisarzy francuskich w okresie ostatniego dwudziestolecia stan literatury obecnej nie przedstawia się zadowalająco. Młode pokolenie literackie nie wydało jeszcze ani jednego wybitnego powieściopisarza, poety czy krytyka. Jednym z powodów tej ciszy intelektualnej jest niewątpliwie brak papieru, a tym samym brak dyskusji i wymiany poglądów, brak książek i pism. Nie jest to jednak powód jedyny i najistotniejszy, mi-

mo bowiem trudności technicznych ukazują się i de pewna ilość książek i czasopism. Te właśnie publikacje są tematem rozważań Bill'ego i smutnych przestrożek na przyszłość. Obsewacja ruchu intelektualnego nie wroży zmiany na lepsze w najbliższym okresie.

Francuski ruch wydawniczy w porównaniu z polskim jest stosunkowo ożywiony. Ukazało się kilka powieści, na czoło których wysuwa się książkaiony Louis Aragona, Elsy Triolet pt. „Le premier amour” (Pierwsze rozdarcie kosztuje dwieście franków). Jest to zbiór czterech nowel, z których pierwsza zatytułowana „Kochankowie z Awinionu” ukazała się w ramach wydawnictwa konspiracyjnego Editions de Minuit w październiku 1943 roku. Jest to opowiadanie o miłości i walce prowadzonej przez dwoje młodych we Francji okupacyjnej. Dalej znajdujemy opowieść „Życie prywatne”, która zawiera historię malarza Aleksiego Salvskiego oraz nowelę „Zeszły zakopane pod drzewem brzoskwinia”. Opowiadanie ostatnie, które nadało tytuł książce, jest reportażem z wydarzeń w małym miasteczku południowej Francji podczas lądowania desantowców na morzu Śródziemnym. Książka uzyskała nagrodę Goncourtów.

Louis Aragon wydał nową książkę pt. „Servitude et Grandeur des Français” (Niewola i wielkość Francuzów) w wydawnictwie La Bibliothèque Française. Jest to zbiór nowel z okresu okupacji.

Francis Carco napisał nową powieść pt. „Les Belles Manières” (Dobre maniere).

François Mauriac wydał zbiór swych ostatnich artykułów codziennych pt. „Le baillon dencué” (Wyjęty knebel). Książka ukazała się w wydawnictwie Grasset.

Denise Aimé wydała powieść zatytułowaną: „Relais des Exilés” (Popas zblakanych). Tematem książki jest historia i przeżycia ludzi deportowanych do obozów koncentracyjnych. Jednym z naczelnych problemów książki jest położenie żydów w czasie ostatniej wojny. Książka uzyskała nagrodę Montyona w wysokości 2'000 franków.

Louise Weiss wydała powieść pt. „Allons enfants de la Patrie” (Naprzód dzieci ojczyzny), w której daje obraz Francji przedwojennej. Książka ta jest pierwszym tomem cyklu noszącego ogólny tytuł: „La Marseillaise” (Marsylianka). Wkrótce ukaże się część druga: „Le jour de gloire” (Dzień sławy). Część trzecia będzie się nazywała: „L'Étendard sanglant” (Skrwawiony Sztandar).

Z wydawnictw poetyckich ukazały się: René Merand: „Granit des Eaux vives” (Granit żywych wód), Edmond Humeau: „La vie se fait jour” (Budzi się życie), Gaston Puel: „Poèmes” (Poematy).

Osobną pozycję na rynku wydawniczym stanowią liczne publikacje poświęcone wspomnieniom i przeżyciom wojennym. Krytycy francuscy uważają zjawisko to za dodatnie. Jeden z nich pisze: „Nie zapomnieć, nie zapomnieć o niczym: to powinno być naszą pierwszą troską. Nie popełnijmy błędów literatury po roku 1918, która słuchając głosu opinii publicznej starała się być jedynie lekka i prowadziła strusią politykę. Ucieczka od rzeczywistości stała się wtedy modną, a był to sposób zamykania oczu, odcinania się od istotnych zagadnień. Od roku 1920, przy dziesiątej książce o wojnie krzyczano: dosyć. Mówcie nam o czym innym. Nie wiem, czy tym razem odważono by się wysunąć równie śmiało podobne żądania”. Pamiętniki, dzienniki, notatki - oto najczęstsza forma tych publikacji wojennych. Członek Rady Narodowej Ruchu Oporu Maxime Bloc-Mascari ogłosił, wydane przedtem konspiracyjnie, „Chroniques de la Résistance” (Kroniki Ruchu Oporu). Obecnie książka ta ukazała się w wydawnictwie Corrèa.

Galteer Boissière wydał wspomnienia zatytułowane „Mon journal pendant l'occupation” (Pamiętniki z okresu okupacji), Charles Braibant: „La guerre à Paris” (Wojna w Paryżu), Pierre Bourdan: „Carnet de retour” (Dziennik powrotu) oraz „Carnet des jours d'attente, Juin 40 - Juin 44” (Dziennik dni oczekiwania. Czerwiec 40 - 44), Tony Révillon: „Mes carnets, Juin - Octobre 40” (Dzienniki. Czerwiec - październik 40). Ponad-



to ukazały się wspomnienia Muse Dalbray i Tristana Séverè pt. *En attendant la liberté* (W oczekiwaniu na wolność), gdzie szczególnie ciekawe są sceny poświęcone partyzantom, ich życiu i akcjom. W ramach wydawnictwa France d'abord ukazała się książka J. Radwańskiego pt. *La vérité sur Varsovie* (Prawda o Warszawie). Jest to książka informacyjna o powstaniu warszawskim. W tekście znajduje się sześć fotografii.

Editions Sociales w Paryżu (Wydawnictwa społeczne) wydały broszurę Rogera Garaudy pt. *Le Communisme et la renaissance de la culture française* (Komunizm i odrodzenie kultury francuskiej). Książka składa się z następujących rozdziałów: Intelktualiści w ślepym zaułku, Metoda myślenia, Związek z narodem, Humanizm, Partia inteligencji francuskiej.

W Paryżu ukazał się przekład *Ojczyzny* Wandy Wasilewskiej pióra Dumarais.

Nowa książka Ehrenburga *Sto listów* ukazała się w Paryżu w przekładzie francuskim ze słowem wstępnym Jean Richarda Blocha. Książka wzbudziła żywe zainteresowanie ze względu na swoją wartość dokumentarną. Akcja jej rozgrywa się w ZSRR w latach 1941-42.

Ukazał się pierwszy numer *Les Chroniques de Minuit* (Kroniki o północy), który zawiera szkic Vildraca, artykuł Pierre'a Vacquin o Picassie, wiersze Elnarda oraz zestawienie dwóch tekstów o Niemcach, Jakuba Riviere i Henryka Heinego.

Drugi numer miesięcznika *La pensée* (Myśl) zawiera między innymi niewydany fragment Jacquesa Solomona, artykuły G. Teissiera: „O mechanizmie ewolucji”, N. Willarda: „O sprawiedliwości i demokracji”, A. Cormou: „O marksizmie i ideologii”. Numer zawiera bogatą kronikę.

*Coletie* została wybrana do Akademii Goncourtów.

Zmarły niedawno Paul Valéry, który przez Ruch Oporu wciągnięty był początkowo na listę pisarzy kolaboracyjnych, został ostatnio całkowicie rehabilitowany. Na krótko przed śmiercią wygłosił na zaproszenie Akademii Francuskiej odczyt o poecie angielskim T. S. Eliocie. Na pogrzebie Valérego obok przedstawicieli literatury, z Duhamelem, Rostandem i Pagnolem na czele, wzięli udział delegaci rządu.

Jules Romains po pięciu latach nieobecności wrócił z Ameryki do Paryża. W okresie tym rozwinął on ożywioną działalność literacką. Po za artykułami, które nadsyłał do dzienników francuskich w Londynie, napisał dużą ilość książek, przede wszystkim dziewięć ostatnich tomów *Ludzi dobrej woli*. Tom dziewiętnasty, składający się z dwóch części, ukazał się w krótko w Paryżu pt. *Cette grande lumière à l'Est* (Wielkie światło na wschodzie). Tom dwudziesty siódmy zatytułowany *Le 7 octobre* (7 października), którego akcja rozgrywa się w dwadzieścia pięć lat od wydarzeń opisanych w pierwszym tomie, zamknie cały cykl, rozpoczęty przez *Le 6 octobre* (6 października).

Louis Jouvet, jeden z najbardziej znanych aktorów, podkłada nie warunki dla rozwoju teatru, jakie wytworzyły się obecnie we Francji. W teatrach prowincjonalnych panuje całkowity zastój. Zarówno tam jak i w Paryżu, na skutek biurokracji i zupełnego braku zainteresowania dla spraw teatralnych ze strony administracji publicznej, teatry napotykały na ogromne przeszkody i trudności. Według opinii Jouveta sztuka teatralna i kultura w ogólności przysięść mogłaby na pomoc jedynie inicjatywa prywatna.

*Antoniusz i Kleopatra*, dramat Szekspira w przekładzie André Gide'a i w reżyserii Jean-Louis Barrault, został wystawiony przez Komedię Francuską. Przedstawienie należy do jednego z najlepszych w okresie powojennym.

Tworząca Leonida Leonowa (nagroda Stalina 1945) zyskała duże powodzenie wśród publiczności paryskiej. Według opinii krytyki jest to jeden z najlepszych dramatów, jaki ukazał się na scenie francuskiej po raz pierwszy od dłuższego czasu.

Antologia współczesnego teatru paryskiego została ukierowana przez Georges'a Pillement. Tom pierwszy, poświęcony teatrowi awangardowemu, ukazał się w końcu czerwca.

## ANGLIA

H. H. Bates, popularny nowelista angielski wydał ostatnio u Jonathana Cape w Londynie dwie książki z życia pilotów wojennych. Ote tytuł: *Za kulisami komunikatów i Droga po przez picklo*. Obie te książki, obok momentów natury propagandowej, są — jak pisze krytyka — małymi arcydziełami współczesnej nowelistyki wojennej.

*Nasze miasto (Our Town)* — oto tytuł nowego filmu angielskiego, realizacji Sama Wooda, autora cieszącej się niedawno wielkim powodzeniem komedii *Good bye mr. Chips*.

*Two Cities* nazywa się angielska wersja doskonałego filmu Marcela Riveta wg. scenariusza Józefa Kessel'a pt. *L'Armée des ambres*.

Fritz Lang, znany reżyser niemiecki, przebywający od wielu lat w Ameryce, nakręcił niedawno film osnuty na tle zamachu czeskiego na kata i wielkorządzącego t. zw. Protektoratu czeskiego gen. SS Heydricha. Film nosił wymowny tytuł *Hangmen also died* (Kaci też giną). W roli głównej wystąpił aktor Brian Donlevy.

S. S. Forster, marynista angielski wydał nową książkę pt. *Commodore*, która jest zakończeniem popularnej powieści jego *Captain Hornblower*. Forster jest jednym z najbardziej poczylnych pisarzy angielskich; jego opowieści morskie, jak *The Ship* i *The Gun* rozsprzedawane były w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

## CZECHY

Praskie teatry. Miejski Teatr (Městské lidové divadlo) gra obecnie sztukę Arnošta Dvorzaka pt. *Husyci*. Następnie wystawi Szekspira. Wiele halasu o nic. Filia tego teatru na Vinohradach, wzięła na afisz sztukę Korniejczyka pt. *Eskadra* w inscenizacji V. Hifmana. W lipcu przewidziana jest komedia Jar. Vrchlickiego — *Noe na Karlštejnle*. Narodni Divadlo wystąpiło z premierą *Luzerny Alojzego Jiraszka*, Mały Teatr (Malé realistické) — sztuki Saldovva *Dzieci*.

— Józef Hora, największy poeta czeski, zmarł w Pradze, przeżywszy lat 54. Zmarły pisarz był przedstawicielem czeskiej lewicy. Z pół-tuzina tomików, jakie pozostawił — *Struny ve větru* i *Tvůj hlas* należą do najlepszych pozycji współczesnej liryki czeskiej.

Czescy pisarze - kolaboranci. Związek Pisarzy Czeskich wyłączył ze swego grona następujących pisarzy, splamionych współpracą z okupantem: Ohnar Gatscha, dr Jan Grmela, dr Milosz Hlavka, A. J. Koziszek, Wojciech Rozner, dr Fiedor Soldan, Martin Jan Vochoz, Alois Vojkuvka. Poza tym zarząd Związku postanowił powołać komisję weryfikacyjną, która zajmie się dalszym badaniem przeszłości politycznej każdego pisarza.

Nowy zarząd Zw. Pisarzy Czeskich. Do zarządu wybrani zostali: Fr. Halas, dr Vaclav Czerny, Josef Kopta, T. Svaopluk, Vaclav Rezacz, Jan Drda, Jarmila Glazarova, Bohumil Matheisius, Ilja Bart, dr Stepan Jez.

Stanislav Kostka Neumann, nestor poezji czeskiej, obchodził 70-lecie swoich urodzin. Należał do grupy pisarzy - witalistów, czemu dał wyraz w swym zbiorze pt. *Alžbje život*. Jako eseista dał się poznać w swej pamiętnej rozprawie pt. *Analýde*, w której skrytykował postawę moralną André Gide'a z okazji ukazania się jego książki pt. *Pdwrót z ZSRR*.

Teatr Miejski w Pilźnie objeli prof. K. Szaba i Ladislav Sedlaczek, którzy niedawno powrócili z niemieckich obozów koncentracyjnych.

Premiera nowej czeskiej sztuki. W teatrze praskim U Novaka odbyła się premiera współczesnej sztuki czeskiej pt. *Spáhezek*, pióra Jana Maláta, w inscenizacji dr Jiri Czerwené.

Zbiorowe wydanie dzieł Czapka. Dr Miroslav Halik przygotował do druku i zaopatrzył wstępem zbiorowe wydanie dzieł znakomitego powieściopisarza i patrioty czeskiego, Karola Czapka, którego w Polsce zrealizujemy z przekładu Hordabla. Ten sam autor pracuje obecnie nad wydaniem pism brata Karola Czapka — Józefa, również pisarza.



**Uroczystości ku czci Jana Husa** były w tym roku niezwykle nroczyście obchodzone. Teatr Horacké Divadlo wystawił sztukę Karola Novego pt. **Na górze Tabor 1420**, poprzedzoną utworem muzycznym Smetany pt. **Blanik** i zakończoną chóralnym **Kdož jste boží bojovníci**.

**Piotr Jilemnický**, pisarz czeski powrócił z obozu niemieckiego. Autorka dramatyczna, **M. Fischerova-Balcarova** po prawie czteroletnim pobycie w obozie w Ravensbrück, zginęła z rąk siepaczy hitlerowskich.

Powieść **Franciszka Halase** pt. **Nasza pani Bożena Niemcova** ukazała się w przekładzie angielskim **F. Osta** z przedmową **Pa-wła Tigrida** w Nowej Zelandii.

W pogodny, lenie dni na Placu Republiki w Pradze zatrzymuje się auto ciężarowe. Tłum przechodniów zbiera się wokoło. Młodzi ludzie, stojący na samochodzie, wołają przez tubę: „Zaczynamy przedstawienie, pokażemy repertaż teatralny”! Conferencier przedstawia osoby biorące udział w akcji: oto karierowicz - kwislingowiec, oto Niemiec samochwał, oto patriota - partyzant. Publiczność ogląda na improwizowanej scenie epizody walki o wolność czeskiego narodu. Grają młodzi amatorzy, w swej istocie nie jest to przedstawienie, lecz ożywna propaganda, wyrażająca zarazem żywiołową dążność młodzieży do twórczości artystycznej.

Odrodził się również teatr zawodowy. Seroko otworzył podwoje Teatr Narodowy — **Narodní Divadlo**, będący skrabnicą wielkich artystycznych tradycji narodu, świątynią sztuki Smetany, Dworzaka i wielu innych. Na uroczyste otwarcie teatru wybrano operę Smetany **Libusza**, której treść symbolicznie powtórzyła przeżycia narodu czeskiego w czasie wojny. Kierownictwo teatru spoczywa w rękach znanego reżysera **Wydry**, kompozytora **Otokara Jeremiasza** i dyrygenta **Karola Nedbala**.

Jak w Polsce — hasłem dnia jest demokratyzacja sztuki w całym kraju, a zwłaszcza w stolicy. Dwa teatry niemieckie w Pradze, operowy i dramatyczny, przekazano Centralnej Radzie Związków Zawodowych. Dawny teatr niemieckiej opery nazwano **Teatrem 5-go Maja** (5 maja wybuchło powstanie w Pradze). Na otwarciu dano inscenizację powieści **Serafimowicza Żelazny Potok**. W przyszłości teatr ten stanie się przybytkiem opery narodowej. W projekcie jest wystawienie opery **Dzierżyńskiego Cichy Don**, **Słowiańskiego baletu**, opery **Smetany Prusacy w Czechach** i innych. W tym samym duchu opracowano repertuar praskiego miejskiego Teatru Dramatycznego, gdzie obecnie wspaniale wystawiono sztukę **Kornejczuka Koniec Eskadry**. W przygotowaniu — **Rewizor Gogola**, **Rosyjscy Ludzie Simonowa** i klasyczne sztuki czeskie **Jiraska Vrchlickiego** i innych.

Ogromne znaczenie dla rozwoju życia teatralnego Czechosłowacji posiada powrót zwolnionego z niemieckiego obozu koncentracyjnego znanego reżysera i kompozytora **E. Buriana**. Zespół **Buriana** podejmie swą działalność.

Liczne grupy teatralne dają przedstawienia w nowourządzonych teatrach, w salach świetlic robotniczych, wystawiając przeważnie sztuki poświęcone okresowi wojny i walce partiotów o wolność.

Podjęła również działalność czeska kinematografia. Na razie na ekranach kinoteatrów ukazują się wyłącznie filmy radzieckie, będące doskonałym przykładem dla reżyserów czeskich. Ostatnio pokazał się pierwszy dokumentarny film czeskiej produkcji „**Pozostaniemy wierni**” poświęcony korpusowi czeskosłowackiemu, utworzonemu w Związku Radzieckim. Przygotowuje się szereg filmów artystycznych. Ostatnio został mianowany dyrektorem Zarządu Państwowego Radia znany powieściopisarz **Jan Olbracht**.

## KSIĄZKI NADEŚLANE

**K. Marks i F. Engels: Manifest Komunistyczny**. „Książka” 1945. str. 45 + 3 nlb.

**Karol Marks: Wojna domowa we Francji**. „Książka” 1945. str. 76.

**K. Marks: Praca najemna i kapitał**. „Książka” 1945. Str. 34 + 2 nlb.

**F. Engels: Rozwój socjalizmu od utopii do nauki**. „Książka”. 1945. Str. 50 + 2 nlb.

**Fryderyk Engels: Ludwik Fenerbach i zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej**. „Książka”. 1945. Str. 64.

**Karol Marks i Fryderyk Engels: „O materializmie historycznym**. „Książka”. 1945. Str. 60 + 4 nlb.

**W. I. Lenin: Karol Marks**. „Książka” 1945. Str. 34 + 2 nlb.

**J. Stalin: O podstawach leninizmu**. „Książka”. 1944. Str. 76.

**O partii**. Biblioteczka Peperowca. „Książka”. 1945. Str. 28.

**S. Janowski: Pierwszy „Proletariat”** (Z dziejów polskiego ruchu robotniczego). Biblioteczka Peperowca. „Książka”. 1945. Str. 47 + 1 nlb.

**W. Gomułka (Wiesław): PPR w walce o niepodległość Polski** (Do ukonstytuowania się Krajowej Rady Narodowej). Biblioteczka Peperowca. „Książka”. 1945. Str. 55 + 5 nlb.

**Z. Kliszko: Walka PPR o Front Narodowy w okresie okupacji**. (Powstanie Krajowej Rady Narodowej i Armii Ludowej). Biblioteczka Peperowca. „Książka” 1945. Str. 24.

**Wspomnienia z pracy i walki**. Biblioteczka Peperowca „Książka”. 1945. Str. 54 + 2 nlb.

**O Związku Radzieckim**. (Zbiór artykułów). Biblioteczka Peperowca. „Książka” 1945. Str. 36.

**O Leninie i Stalinie**. Biblioteczka Peperowca „Książka”, 1945. Str. 34 + 2 nlb.

**Reforma rolna**. Biblioteczka Peperowca. „Książka”. 1945. Str. 55 + 1 nlb.

**O Ziemi Zachodniej**. Biblioteczka Peperowca. „Książka”, 1945. Str. 64.

**O polityce Zagranicznej**. Biblioteczka Peperowca. „Książka”. 1945. Str. 35 + 1 nlb.

**Pieśni robotnicze i narodowe**. Biblioteczka Peperowca. „Książka”. 1945. Str. 50 + 2 nlb.

**W. Gomułka (Wiesław): Polska wobec nowych zagadnień**. „Książka”. 1945. Str. 23 + nlb.

**W. Gomułka (Wiesław): Nowa karta dziejów Polski**. „Książka” 1945. Str. 45 + 3 nlb.

**Powstanie o Warszawie. Fakty i dokumenty**. Biblioteczka Żołnierza Nr. 4. Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy Wojska Polskiego. 1945. Str. 29 + 3 nlb.

**Odbudowa gospodareza nowej Polski**. Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy Wojska Polskiego. 1945. Str. 22 + 2 nlb.

**Słowniczek polityczny dla żołnierzy**. Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy Wojska Polskiego. 1945. Str. 32.

**Wiersze i pieśni Armii Ludowej**. Biblioteczka utworów literackich Nr 3. Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy Wojska Polskiego. Str. 31 + 1 nlb.

**Wiersze i pieśni Pierwszej Armii Polskiej w ZSRR**. Biblioteczka utworów literackich. Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy Wojska Polskiego. Str. 39 + 1 nlb.

**Zbigniew Bienkowski: Sprawa wyobraźni**. Związek Zawodowy Literatów Polskich. Kraków 1945. Str. 47 + 1 nlb.

**Jerzy Lan: U płomienia**. Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik”. 1945. Str. 19 + 1 nlb.

**Władysław Machejek: Leśne oczy**. Wiersze partyzanckie. Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik”, 1945. Str. 32 nlb.

**Stanisław Skoneczny: Z Jasna**. Instytut Naukowo-Społeczny w Radomiu. 1945. Str. 23 + 1 nlb.

**Memoriał do obywatela Ministra Oświaty w sprawie utworzenia Szkoły Głównej Ekonomicznej w Radomiu**. Instytut Naukowo-Społeczny w Radomiu. 1945. Str. 16.



Plut. Podch. E. Gerwatowski: **Raport** (Wiersze). Drukarnia Kujawska — Włocławek 1945. Str. 16.

Aleksander Gostecki: **O rangę społeczną nauczyciela szkoły średniej**. Kielce 1945. Str. 20.

Adolf Jończyk: **Ponure i jurne. Aforyzmy. Dyktonki. Dywagacje**. Kraków, Księgarnia T. Gieszczykiewicz. 1945. Str. 106 + 2 nłb

Wincenty Rzymowski: **Epoka Hitlera. Stronnictwo Demokratyczne**. 1945. Str. 35 + 1 nłb.

Dr. Mieczysław Tobiasz: **Pionierzy odrodzenia narodowego i politycznego na Śląsku (1763—1914)**. Drugie wydanie rozszerzone. Katowice 1945. Str. 135 + 1 nłb.

Bronisław Grzybek: **Miłość zdobywca w blaskach wolności**, Kielce „Tęcza”. 1945. Str. 32.

## ZJAZD PISARZY W KRAKOWIE

W dniu 30 sierpnia rozpoczął obrady w Krakowie pierwszy po sześciu latach wojny zjazd delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich. Na zjazd przybyło ponad 60 delegatów, reprezentujących sześć głównych środowisk literackich: Warszawę, Kraków, Łódź, Lublin, Poznań i Pomorze. Ponadto uczestniczyli w zjeździe pisarze chłopscy, wybrani na Zjeździe Pisarzy Chłopskich. Na pierwszy plan wysunęły się na zjeździe dwie sprawy: opracowanie norm organizacyjnych: prawnych działalności Związku w zmienionych warunkach społecznych i politycznych oraz przedyskutowanie doświadczeń ideowych i artystycznych, które stały się wspólnym dorobkiem pisarzy polskich na progu trzeciej niepodległości. Przed wojną związek literatów był organizacją o charakterze towarzyskim i samopomocowym, obecnie staje się ważną częścią samorządu kulturalnego. Stąd, w uchwalonym na zjeździe statucie uwidoczniły się wyraźnie tendencje zmierzające do podniesienia poziomu kwalifikacji zawodowych, uprawniających do udziału w związku na prawach członka rzeczywistego. Zjazd powołał nadzwyczajną komisję kwalifikacyjną dla dokonania ostatecznej weryfikacji członków związku. Aby związek zawodowy literatów nie przemienił w organizację literatów, nowy statut przewidywał obok członkostwa rzeczywistego również członków kandydatów, a ponadto współpracę i rozłoczenie opieki przez związek nad zespołami literackimi (jak np. grupa pisarzy chłopskich), których członkowie nie należą do związku.

Dyskusję ideologiczną zainicjowały cztery referaty, wygłoszone przez Ważyka, Przybosa, Jastruna, Polewkę. Referenci wykazywali zgodną zależność prądów artystycznych od ru-

chów społecznych i politycznych, odpowiedniość pomiędzy tryumfującymi w okresie międzywojennym hasłami irracjonalnymi i mistycznymi w literaturze a bazą społeczną faszyzmu, próbowali wreszcie określić nową postawę pisarza opartą na realistycznym humanizmie. Dyskusja wykazała, że w środowisku pisarzy uwidacznia się coraz wyraźniej podział na dwie grupy ideologiczne: pisarzy, którzy szukają oparcia dla humanizmu w materializmie dziejowym, oraz pisarzy — katolików. Uchwalona wspólna deklaracja ideowa dała wyraz głębokiej trosce o podniesienie poziomu moralnego pisarza.

We wnioskach i rezolucjach zjazd polecił pisarzy - kolarcejonistów: Emila Skińskiego, Stanisława Wasylewskiego i Feliksa Burdeckiego, wezwał wszystkich pracowników kultury do walki z antysemityzmem i mordami bratobójczymi oraz uczcił zasługi pisarzy, którzy wzięli udział w walce zbrojnej o niepodległość. Zjazd dał wyraz zaniepokojeniu nikłością ruchu wydawniczego i postanowił zwrócić się z apelem do władz państwowych o przydział dostatecznej ilości papieru dla wydawnictw literackich. Zjazd zlecił zarządowi głównemu poczynienie starań dla polepszenia sytuacji materialnej pisarza polskiego.

Trzydniowe obrady zakończył wybór nowych władz związku. Prezesem obrany został przez akklamację Jarosław Iwaszkiewicz. Ponadto weszli do zarządu głównego związku literatów: Mieczysław Jastrun, Adam Polewka, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Edward Kozikowski, Tadeusz Breza i Stanisław Pięta. W zrozumieniu roli stolicy zjazd przeniósł siedzibę władzy związku do Warszawy.

## WYDAWNICTWA „CZYTELNIKA”

BIBLIOTEKA SPOŁECZNO-POLITYCZNA	zł	PODRECZNIKI	zł
Stefan Litauer — Zmierzch Londynu . . . . .	15,—	A. Zarembina, H. Ozogowska Z. Batorowicz — Czytamy I. . . . .	5,—
Chłopska Reforma Rolna . . . . .	12,—	St. Jodłowski i W. Taszycki — Zasady pisowni polskiej i interpunkcji ze słownikiem orto- graficznym . . . . .	40,—
A. Horak — Wojna polsko - niemiecka 1939 (II wyd.) . . . . .	12,—	ROZNE.	
Kpt. Z. Oranowski — Materiały z dziejów po- wstania warszawskiego. I. W oczach Lon- dynu . . . . .	10,—	St. Lempicki — Słowo o Grunwaldzie . . . . .	30,—
DLA DZIECI.		Majdanek — Rozprawa przed specjalnym są- dem karnym w Lublinie . . . . .	wyczerpane
L. Krzemieniecka — Kariera Franka Żyraby	50,—	T. Ostrowski — Więźniowie czapki zdjęć	wyczerpane
TEKI GRAFICZNE.		LITERATURA PIĘKNA.	
Z. Tolkaczew — Majdanek . . . . .	wyczerpane	J. Przyboś — Miejsce na ziemi . . . . .	95,—
M. Ryger — Dni wyzwolenia . . . . .	75,—	W DRUKU.	
		Henryk Sienkiewicz — Krzyżacy.	

Do nabycia we wszystkich księgarniach i sklepach „CZYTELNIKA”



## ERRATA

- str. 1-sza, szpalta 2-ga, 16-ty wiersz od góry  
zamiast sukukurs powinno być sukurs.
- str. 17-ta, 1-sza szpalta, 15 i 16 wiersz od dołu  
zamiast hr. Krzesiński powinno być  
hr. Krasiński.
- str. 33-cia, 2-ga szpalta wiersz 21-szy zamiast „Dem  
temperierte Kavalier“ powinno być „Das  
temperierte Klavier“
- str. 35, 2-ga szpalta 22-gi wiersz od dołu, zamiast  
Maclarmée'go powinno być Mallarmée'go.
- str. 48, 1-sza szpalta, 8-my wiersz od dołu, zamiast  
„w organizację literatów“ powinno być  
w organizację elitarną.



6

Redaguje Komitet:  
Zofia Nałkowska, A. B. Dobrowolski, Mieczysław  
Jastrun, Jan Kott, Adolf Rudnicki, Stefan Żółkiew-  
ski. Wydawca: Zespół Kuźnicy. Okładkę projektował  
Eryk Lipiński. Redakcja i Administracja: Piotrkow-  
ska 96 „Czytelnik”. Telefon 205-42.